

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

www.slaskgtl.pl

Nr 11 (264) • ROK XXII • LISTOPAD 2017

Bielska Jesień

dobry start do międzynarodowej kariery





Fot. Arkadiusz Ławrywianiec

X Międzynarodowy Konkurs Dyrygentów im. Grzegorza Fitelberga został zainaugurowany 17 listopada 2017 r. koncertem w wykonaniu Śląskiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Roberta Kabary oraz Orkiestry Symfonicznej i Chóru Filharmonii Śląskiej, którą tego wieczoru poprowadził Mirosław Jacek Błaszczak. W programie znalazły się utwory śląskich kompozytorów – Eugeniusza Knapika *Przystępuję do ciebie* z partią solową Urszuli Krygier (mezzosopran) oraz Henryka Mikołaja Góreckiego *II Symfonia Kopernikowska* z udziałem Edyty Piaseckiej (sopran) i Mariusza Godlewskiego (baryton). W części oficjalnej, otwierającej konkurs, listy gratulacyjne do uczestników konkursu, jurorów i melomanów skierowali przedstawiciele m.in. prezydenta RP Andrzeja Dudy, który objął swoim patronatem X MKD, premier Beaty Szydło, ministra kultury i dziedzictwa narodowego prof. Piotra Glińskiego oraz przedstawiciele Sejmiku Województwa Śląskiego i wiceprezydent Katowic Waldemar Bojarun. W uroczystości inauguracyjnej uczestniczyli również dyrygenci biorący udział w konkursie oraz jurorzy. Zebranych gości powitali dyrektor X MKD Agnieszka Młynarczyk i dyrektor naczelny i artystyczny Filharmonii Śląskiej prof. Mirosław Jacek Błaszczak.

Fot. BP/UM



11 listopada 2017 r., w gmachu Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach odbyła się Gala Reformacyjna, jedno z najważniejszych wydarzeń w ramach obchodów jubileuszu 500. Lecia Reformacji na Śląsku i w Diecezji Katowickiej. Podczas gali wręczono Śląskie Szmaragdy, najwyższe wyróżnienie Diecezji Katowickiej kościoła ewangelickiego przyznawane osobom zaangażowanym w pojednanie, ekumenizm oraz integrację europejską. Laureatami tegorocznej edycji nagrody zostali (na zdjęciu od lewej): ksiądz profesor Manfred Uglorz, metropolita katowicki arcybiskup Wiktor Skworc, Henryk Mercik – członek Zarządu Województwa Śląskiego oraz Zespół Pieśni i Tańca Śląsk – w imieniu zespołu nagrodę odebrał dyrektor Zbigniew Cierniak.

Spektakl *Wojna światów* Herberta George'a Wellsa przygotowany przez Weronikę Szczawińską – reżyserkę, dramaturgą i kulturoznawczynię nominowaną w 2014 r. do Paszportów Polityki w kategorii teatr, to najnowsza premiera Teatru Zagłębia w Sosnowcu. W obsadzie spektaklu można zobaczyć: Nataszę Aleksandrowitch, Michała Bałagę, Ryszardę Bielicką-Celińską, Agnieszkę Bieńkowską, Kamila Bochniaka, Beatę Deutschman i Łukasza Stawarczyka.



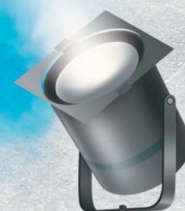
Fot. Bartek Warzecha

Nasz partner



RYBNIK





Benjamin Britten

MAŁY KOMINIARZYSK

kierownik muzyczny
Grzegorz Brajner

reżyseria
Zosia Dowjat

ZRÓBMY OPERĘ!



 Śląskie.



Opera Śląska jest instytucją kultury
Samorządu Województwa Śląskiego

Dofinansowanie ze środków Narodowego Centrum Kultury
w ramach Programu Kultury – 19nawrocenie 2017





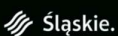
Muzeum
Śląskie

GALERIA JEDNEGO DZIEŁA

11 LISTOPADA 2017 / 16 WRZEŚNIA 2018

„[(.;/;.:?!-...)]”

MIROSŁAW BAŁKA



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją
kultury Samorządu Województwa Śląskiego
współprowadzoną przez Ministerstwo
Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl



Muzeum Śląskie wyróżnione
w międzynarodowym konkursie
na najlepsze europejskie muzeum
European Museum of the Year Award 2017



www.facebook.com/muzeumslaskie
www.instagram.com/muzeumslaskie
www.twitter.com/muzeumslaskie



MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 11 (264), Rok XXII, LISTOPAD 2017 r.

www.slaskgftl.pl

WYDAWCA:
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY
prezes
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
tel. 32 258 07 56
e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

WSPÓLWYDAWCA:
BIBLIOTEKA ŚLĄSKA
40-021 Katowice, plac Rady Europy 1
tel. centr. 32 20 83 700
informacja: info@bs.katowice.pl
sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:
WIESŁAWA KONOPELSKA
Redaktor naczelna

MARIAN KISIEL
Zastępca redaktor naczelnej

Redakcja w Opolu:
JANUSZ IRENEUSZ WÓJCIC

WOJCIECH ŁUKA
Dział graficzny

LAURA RYNDAK
Korekta

ADRES REDAKCJI:
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
e-mail: redakcjaslask@onet.pl

DTP: STP „KorGraf”
40-081 Katowice, ul. Dąbrowski 15/12
tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48
e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Łuczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań
tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek
i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku
oraz skracanie korespondencji.

Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk” 40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120. Wpłaty należy dokonywać na konto:

GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGŻ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490

Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna – 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH S.A.
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
jest dostępne w wersji elektronicznej
w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

W NUMERZE:

4. WARTOŚCI INTELEKTUALNE TO MISJA RADIA PUBLICZNEGO
Rozmowa z Piotrem Ornowskim, Prezesem Zarządu i redaktorem Naczelnym Polskiego Radia Katowice
6. *Beata Cieślak* TU, GDZIE SPOTYKAJĄ SIĘ RZEKI...
9. *Henryk Szczepański* SEKRET DOSTOJNEJ KATARZYNY
14. *Katarzyna Niesporek* IMIĘ ZIEMI. O jednym wierszu Tadeusza Kijonki
24. *Marian Kisiel* PORTRETY MISTRZÓW. PROFESOR STANISŁAW GĘBALA
28. DEKADA KAWIARENKI. *Rozmowa z dr Lucyną Smykowską-Karą*
30. BŁASK ARCYDZIEŁ
Jerzy Paszek BŁASK MISTRZA I MAŁGORZATY
43. *Anna Gąsienica-Byrcyn* O POEZJI MARTY FOX PĘDZLEM MIRÓ PISANEJ
48. CZĘSTOCHOWA, JAKIEJ NIE ZNACIE. *Rozmowa z Krzysztofem Kasprakiem*
54. MUZYCZNE ŚLEDZTWA. Tropami zapomnianych instrumentów.
Rozmowa ze Sławomirem Zubrzyckim
59. TO JEST MOJE MIEJSCE, TU SĄ MOJE KORZENIE. *Rozmowa z Arturem Barcisiem*
66. *Kinga Kawczak* PRAGNĘ BYSTRĄ SŁAWNĄ ZROBIĆ. O Muzeum Juliana Fałata w Bystrze
80. *Jadwiga Miękina-Pindur* NADAŻYĆ ZA TEMPEM ŻYCIA
82. O ARTYSTYCZNYM DZIEDZICTWIE GÓRNEGO ŚLĄSKA I ZIEM PRZYLEGLYCH
84. *Antonina Szmytowska* WEJDŹ DO GRZY. Kultura czytania i twórczego działania w bibliotece

FELIETONY

21. KAMIEŃ DROGOCENNY
Jacek Kurek PAMIĘĆ I RANA CZYLI O SPOTKANIACH NA GRANICY ŚLĄSKO-LITEWSKIEJ (2)
71. ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA
Jan Miodek KOŹDY MAJSTER MO WIHAJSTER

PLASTYKA

16. *Adam Z. Zych* POŻÓŁKŁE LISTY SPRZED 36 LAT I NIEPUBLIKOWANA ROZMOWA Z JERZYM DUDĄ GRACZEM
32. *Milena Lewicka* WSPÓLCZESNE MALARSTWO W BIELSKU-BIAŁEJ
33. 43. MIĘDZYKRAJOWE BIENNALE MALARSTWA „BIELSKA JESIEŃ 2017”
50. *Wiesława Konopelska* POWROTY HENRYKA BZDOKA
60. *Ewa Chudyba* JAK POKONAĆ SMOKA? O świętych i smokach w chrześcijańskiej ikonografii... a o Paola Uccella „Świętym Jerzym ze smokiem” – w szczególności

OPERA - TEATR

53. *Wiesława Konopelska* ROMEO I JULIA NA OTWARCIU SEZONU
79. *Joanna Warońska* ŚMIERTKA W WESOŁYM MIASTECZKU

KSIĄŻKI

72. *Magdalena Piotrowska-Grot* TAJEMNICA, JEZYK, ZBAWIENIE
73. *Ewa Bartos* HISTORIE RODZINNE
74. *Paweł Próchniak* ŚWIATOODCZUCIA
75. *Gawel Janik* MĘZCZYŻNA POD PANTOFLEM

POEZJA I PROZA

3. *Ks. Jerzy Szymik* JAK WINO
22. *Ks. Jerzy Szymik* WIERSZE
27. *Krzysztof Śniosek* WIERSZE
36. *Kordian Michalak* WIERSZE
38. *Dymitr Mereżkowski* NOTATNIK 1919-1920. *Przełożył Marian Kisiel*

STAŁE RUBRYKI

68. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. Targi Muzyki Świata WOMEX
70. OPOLSKIE. EDMUND BORZEMSKI – IKAR Z KORFANTOWA
76. NOTATNIKI KULTURALNE
85. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Małgorzata Koceł 10 x NOWE TECHNOLOGIE W MBP W PIEKARACH ŚLĄSKICH
86. ŚLĄSKI MIESIĄC

NA OKŁADCE:

II Nagroda 43. Międzynarodowego Biennale Malarstwa „Bielska Jesień 2017 – Aleksandra Bujanowska, *Bez tytułu* (fragment)

Reprodukcja: Jacek Rojkowski

Pismo wspierane
finansowo przez:

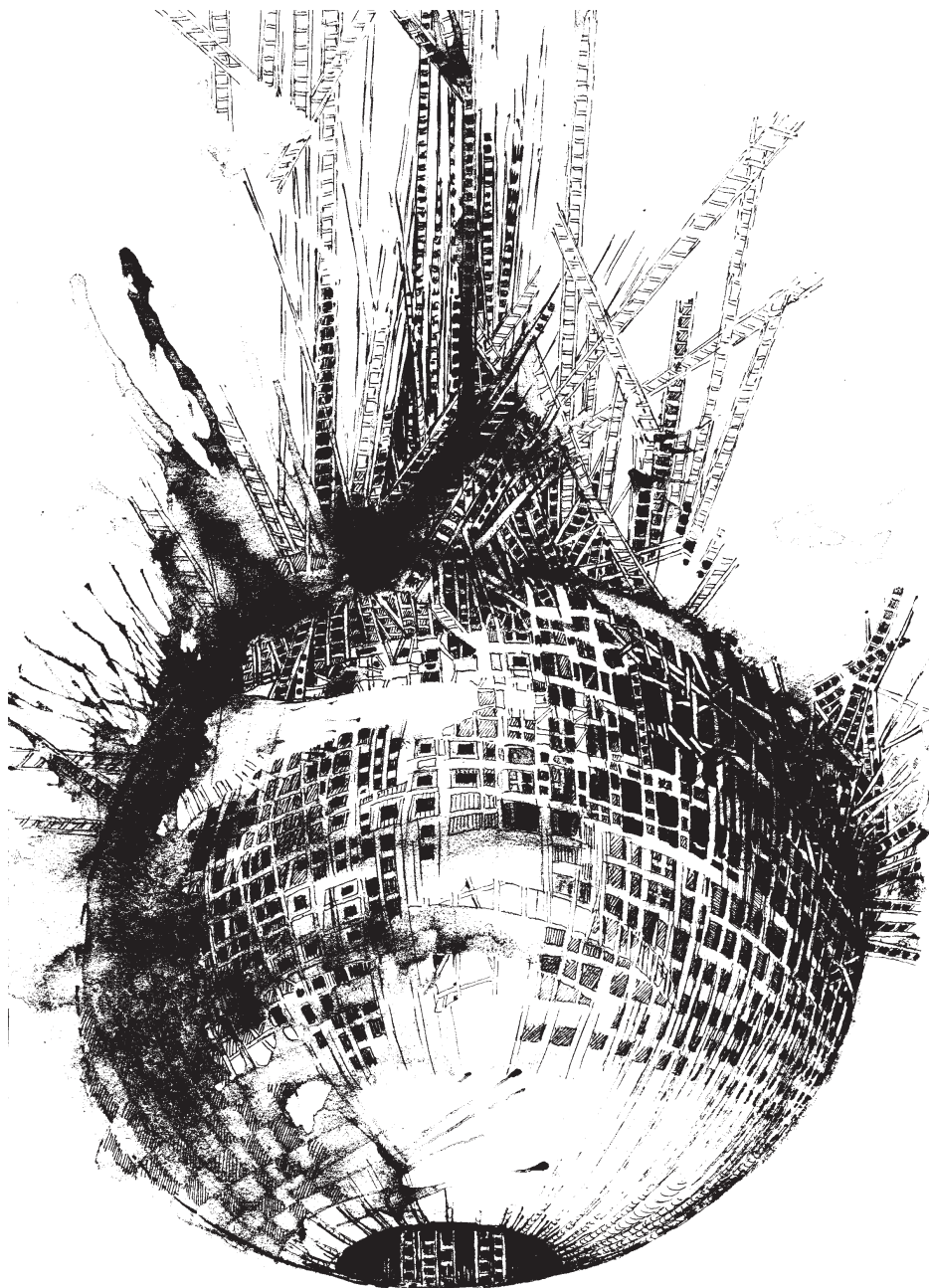
Projekt objęty
mecenatem
MIASTA KATOWICE



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Śląskie.
Pozytywna energia





Rys. Wojtek Luka





Ks. JERZY SZYMIK

Tadeuszowi Kijonce

JAK WINO

musisz je wypić do dna,
zrozumieć, co się właściwie stało,
kiedy cię wezwał
od sieci,
od wsobnego skurczu,
od marzeń o miłości
do miłości samej.

Czym to było i jest.

Im bliżej dna,
tym mocniejsze wino

27 sierpnia 2014 r.

Jerzy Szymik, ur. 1953 r. w Pszowie na Górnym Śląsku, kapłan Archidiecezji Katowickiej, teolog i poeta. Jest profesorem nauk teologicznych, wykłada teologię dogmatyczną. Autor 60 książek naukowych, poetyckich, eseistycznych m.in. *Theologia benedicta*, t. 1-3, Katowice 2010-2015; *Poezja i teologia*, t. 1-3, Katowice 2009-2016. Specjalizuje się w chrystologii, metodologii teologii, teologii kultury, teologii Josepha Ratzingera/Benedykta XVI. Laureat wielu nagród naukowych i literackich. Mieszka w Pszowie i Katowicach.





Fot. Ryszard Stofko



Z PIOTREM ORNOWSKIM,
prezesem zarządu i redaktorem naczelnym Radia Katowice SA.
rozmawia PIOTR SŁOMIŃSKI



Wartości intelektualne to misja radia publicznego



WITOLD TURANT

– **Spikerzy, komentatorzy BBC w pierwszych latach działalności stacji pracowali na antenie w smokingach i muszkach, po to, by ich głosy brzmiały dostojnie, a wygłaszane teksty bardziej oficjalnie...**

– ... podobno tak było... ale smoking i muszka to nie moja bajka, chyba, że na uroczysty wieczór w Filharmonii Śląskiej z okazji 90-lecia Polskiego Radia w Katowicach... to co innego. Rozmawiamy jednak w przededniu jubileuszu, więc niech ta rozmowa toczy się swobodnym nurtem.

– **Pewnie zastanawia się Pan już dziś co powie do grona licznie zgromadzonych gości, do radiowego zespołu, do przyjaciół radia.**

– Proste zadanie to nie jest... 90 lat historii. Tyle faktów, tyle zespołów redakcyjnych... Historia barwna, niepozbawiona dziejowych rozterek, dramatów, ale i radości tworzenia, którą niosły kolejne

pokolenia radiowców. Walka w eterze o polskość, mroczny stalinizm, nadzieje Października 1956, pozory sukcesów dekad lat 70., narodziny Solidarności, upokorzenia stanu wojennego i wielka euforia demokratycznego odrodzenia. Historia przetaczała się, odciskając swoje piętno. Zawsze jednak Radio Katowice starało się być blisko ludzkich spraw. Z myśli mądrych, odważnych ludzi, którzy tu pracowali, ich talentów czerpiemy dziś naukę. Radio Katowice to zespół doświadczonych dziennikarzy, techników, pracowników wielu specjalności. Wyróżnianych, honorowanych, cenionych. Do tego grona w dniach Jubileuszu 90-lecia Polskiego Radia w Katowicach kieruję słowa podziękowań.

– **Mija kilkanaście miesięcy, odkąd w kwietniu 2016 roku powierzono Panu funkcję prezesa zarządu Radia Katowice SA.**

– Nie jestem w radiu nowym człowiekiem. Miałem kilkuletnią przerwę, ale w tym radiu przepracowałem ponad trzydzieści lat. Moja droga zawodowa jest klarowna. Po raz pierwszy jednak powierzono mi trud zarządzania całą rozgłośnią, która ma bogatą historię, swój niezaprzeczalny dorobek, ale jest na drodze radykalnych zmian.

– **To nowe zadania w karierze zawodowej, pewnie sięga Pan wstecz, przywołując cechy swoich ówczesnych szefów.**

– W 1993 roku Radio Katowice przekształca się w spółkę akcyjną skarbu państwa. Zupełnie nowa sytuacja, nowy rozdział w historii Polskiego Radia. Wtedy prezesem pierwszego Zarządu zostaje red. Leopold Kurek. Tworzył tę spółkę od podstaw, sam ucząc się nowej wolnorynkowej rzeczywistości. Stworzył organizację, struktury, model zarządzania.

Jeszcze jednego swojego byłego szefa chciałbym wspomnieć. To redaktor Wojciech Poczachowski – znakomity dziennikarz i menadżer. Jego wiedza z zakresu historii i pasja określała wtedy, w latach 2006-2008, gdy pełnił funkcję prezesa zarządu Radia Katowice, charakter zmian, które wprowadzał. Erudyta, wyczulony na Polskę, manifestował swój patriotyzm. Wtedy też na antenę radiową powrócił narodowy hymn, nadawany o północy. Wyznawca wartości. Inicjował słuchowiska, reportaże, jako przeciwwagę dla wszechogarniającej otoczenia komercji.

Wspominam tych prezesów, bo moim zdaniem, to dwa uzupełniające się wzorce zarządzania rozgłośnią. Radio publiczne to specyficzna firma. Jej działalność z jednej strony określa kodeks handlowy, z drugiej zaś ustawa o radiofonii i telewizji. Często jest to trudne do pogodzenia. Mamy cały ciąg procedur, przepisów i norm oraz to, co jest wartością nadrzędną – misję do spełnienia. W tej przestrzeni sięganie do doświadczeń moich poprzedników, o których wspominałem, wydaje się cenne i ważne.

– **Powiedział Pan, że radio potrzebuje radykalnych zmian.**

– Potrzebuje, owszem, ale także odważyć w ich inicjowaniu. Radio Katowice musi zająć należne mu miejsce w regionie. O to miejsce staramy się każdego dnia. Trzeba przemyślaną strategią wprowadzać standardy, jakich słuchacze oczekują dzisiaj, w bardzo konkurencyjnym otoczeniu. To niełatwe zadanie, ale możliwe do zrealizowania. Wierzymy, że sukces jest blisko. Mamy doświadczony zespół profesjonalnych techników, twórczych dziennikarzy. Pracuję nad tym, by skupić ich energię, zmotywować, jasno określać cele, jakie chcemy osiągnąć. Tworzymy radio regionalne. Nie lokalne, nie ogólnopolskie... ale regionalne. To radio jest miejscem publicznej debaty o najważniejszych sprawach województwa śląskiego: aglomeracji, subregionów częstochowskiego i bielskiego. Debaty rzeczowej, konstruktywnej, a co najważniejsze słuchanej przez coraz liczniejsze grono odbiorców.

W chwili, gdy obejmowałem funkcję prezesa i redaktora naczelnego słuchał-





ność Radia Katowice oscylowała w granicach 2–3 procent. To bardzo słaba ocena, wystawiona przez słuchaczy. Rozgłośnia z ogromnym potencjałem, armią dziennikarzy i reporterów trafiła z ekstraklasy do ligi miejskich rozgłośni. A dziś? Dziś jeszcze daleki jestem od zadowolenia. Jednak w ciągu ostatnich miesięcy udało nam się, wraz ze współpracownikami, zrobić pierwszy krok, może najtrudniejszy, odwrócić trend spadkowy i pięć się w górę, zwiększając słuchalność o ponad 100 procent. To wymierny sukces oparty o niezależne badania, które trudno zanegować. Plany mamy ambitne. Wiele zależy jednak od rozwiązań, dotyczących opłaty abonamentowej. Dziś przyglądamy się każdej złotówce, by wydać ją mądrze, sensownie, z namysłem.

– Znaczący wzrost słuchalności to wymierny efekt obecnych działań zarządu. Kieruje się Pan ocenami słuchaczy?

– Ocen jest wiele, zwłaszcza w tej niezmiernie przestrzeni Internetu, obiektywnych i mniej obiektywnych, sprawiedliwych bardziej lub mniej, czasem krytycznych, ale w zdecydowanej większości pochlebnych. Często słyszymy: kochamy was. Każdy głos jest dla nas cenny, do rozważenia. Przecież tworzymy radio dla słuchaczy. Często muszę podejmować niepopularne w zespole decyzje, ale zawsze robię to z przekonaniem, że idziemy w stronę dobrych zmian. To nie znaczy, że programowo przewracam radio do góry nogami. Przeciwnie. Lubię audycje zostają. Część zmienia porę emisji i z pewnością na początku słuchacze są zdziwieni, że słyszą znane głosy w innych pasmach czasowych. Musimy jednak żyć rytmem dnia, być dynamiczni, gdy wszyscy się spieszą, a refleksyjni, gdy cichnie dzień i nadchodzi wieczór.

Miejszem wyciszenia w codziennej gonitwie, refleksji, zadumy nad jakością naszego życia są z pewnością obecne na antenie Radia Katowice programy religijne. Pierwszy zespół redakcyjny rozdził się powoli, bo też dla księży, którzy rozpoczynali współpracę z Radiem Katowice materia była nowa. Trzeba było poznać radiowy warsztat, pracę w studiu, zachowanie przy mikrofonie, formę wypowiedzi. Poświęcaliśmy sobie, my dziennikarze i księża wiele, wiele godzin. I tak oto obecność duszpasterzy w radiu nie była już zaskoczeniem. Pojawili się jako nowi, nie tylko redaktorzy, ale koledzy, przyjaciele, którzy przed nami i przed słuchaczami otwierali często nieznane wcześniej intelektualne obszary poznania. Obecnie 13. osobowa Redakcja Programów Religijnych, składająca się z kapłanów archidiecezji katowickiej, czerpie z 25 lat doświadczeń programu „U progu dnia”, a kolejne jego wydania ubogacają wiedzę z życia Kościoła, dają odpowiedź na wiele pytań w kwestiach religijno-moralnych. Ceniemy sobie ten mądry głos duchownych intelektualistów, którzy w globalnym świecie definiują wartości.

– Więc tradycyjnie radio uczy, inspirowane, towarzyszy, jest blisko...

– Słuchacze chcą dziś, jak nigdy dotąd, odbierać audycje nie tylko z pozycji biernej, ale włączyć się w nią, by poczuli, że to ich radio, że mają wpływ na jego kształt i charakter. Te sprawdzone formaty wracają, by odżyć na nowo. Internet odgrywa tu często wiodącą rolę. Zaniebując kontakt z słuchaczami, radio systematycznie ich traciło. Dziś wychodzimy do słuchacza... dosłownie. Miesiące letnie były pod tym względem wyjątkowe. Nasi reporterzy odwiedzili kilkadziesiąt atrakcyjnych miejscowości w województwie śląskim. Były mikrofony, ale były też kamery video.

– Znacze swojego odbiorcę?

– Oczywiście. Z badań wychodzi nam obraz mieszkańca aglomeracji o co najmniej średnim wykształceniu, w przedziale wiekowym 30 plus. Do niego też kierujemy nasze programy. Mamy jednak na uwadze odbiorcę w przedziale wiekowym 15-75 lat. Nikogo nie możemy pominąć. To trudne do pogodzenia, lecz jako radio publiczne znamy swoje obowiązki. Program jest różnorodny, bogaty, profesjonalny. Dziennikarze Radia Katowice uczestnicząc w wyścigu za newsem w tak gęstym otoczeniu konkurencyjnym pamiętają, że reprezentują radio publiczne, co znacznie podnosi wymagania, dotyczące rzetelności i jakości treści, które trafiają na antenę.

– Stawką jest wiarygodność.

– Niegdyś w słynnej BBC obowiązywała zasada sprawdzania wiadomości w co najmniej w dwu, a najlepiej w trzech źródłach. Tempo współczesnego życia zmieniło te zasady, ale istnieją granice, których zwłaszcza publiczne radio nie może przekroczyć. Radio Katowice cieszy się zaufaniem słuchaczy. To dla nas duża satysfakcja. Z powagą i poczuciem obywatelskiego obowiązku traktujemy swoją misję, tworząc programy edukacyjne, kulturotwórcze. Przywiązujemy dużą wagę do treści historycznych, odkrywając w audycjach prawdę, odsłaniając fakty przez lata w powojennej historii zakłamanie i przemilczane. Radio musi uczyć. Często wychodzimy z roli biernego sprawozdawcy wydarzeń i zjawisk, przyjmując pozycję mecenasa kultury, czy wręcz twórcy. Inicjujemy dziesiątki koncertów w naszym Studiu Koncertowym. W jubileuszowym roku 2017 publiczność oklaskiwała tu wiele znakomitych zespołów i wybitnych solistów.

Jako radio uczestniczymy też aktywnie w dyskusji branżowej, bo o kondycji publicznych mediów trzeba rozmawiać. Radio Katowice zorganizowało, m. in., Ogólnopolskie seminarium na temat aktualnych wyzwań w realizacji zadań misyjnych Polskiego Radia. Przedstawiciele wszystkich spółek z całej Polski oraz eksperci z Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji omawiali, m. in., temat mediów publicznych jako organizacji wirtualnych.

– Temat bardzo istotny, bo poszerza pole działania radia i stawia ważne pytania na przyszłość.

– Radio Katowice już obecnie, z powodzeniem wykorzystuje potencjał multime-

dialności przekazu. Intensywnie nadrabiamy poważne zaległości, które tak wyraźnie dało się odczuć, gdy obejmowałem funkcję prezesa. Od czerwca 2016 roku rozpoczęto prace nad modyfikacją strony internetowej oraz profili firmowych w popularnych serwisach społecznościowych: Facebook, Twitter, YouTube. Dzięki nowym mediom Radio Katowice zyskało nową platformę dotarcia do słuchaczy oraz, co nie jest bez znaczenia, zwiększyło potencjał reklamowy. Internet, profile w mediach społecznościowych oraz multimedialne produkcje wzbogacają i uzupełniają tradycyjną ofertę radia. Kilka liczb. W trzech kwartałach b. r. łączny czas oglądania materiałów wyprodukowanych przez Radio Katowice wyniósł 35 milionów minut oraz 4,5 miliona wyświetleń. W tym czasie zanotowaliśmy w serwisie YouTube 9 milionów subskrybentów, co daje nam pierwsze miejsce w gronie wszystkich rozgłośni regionalnych Polskiego Radia. Ogromną popularnością cieszą się przekazy tylko w Internecie, zarówno w formie audio jak i video. Realizujemy transmisje z koncertów, wydarzeń sportowych, debaty o zdrowiu. Czekają nas nowe rozwiązania organizacyjne i strukturalne. Miejsce dla nowych mediów będzie jeszcze bardziej znaczące.

– A co z intymnością radia, zawsze się mówiło, że radio jest sztuką wyobraźni?

– To niezmiennie magia, której postępująca rewolucja technologiczna nie zakłóci. Taką mam nadzieję. I nie jest to tylko przekonanie mojego pokolenia radiowców. Nowoczesne środki techniczne to tylko sposób przekazywania myśli, ale myśl zostaje, zawarta w dźwięku, formie. Wartości intelektualne to misja radia publicznego. I w tym znaczeniu zawsze będą one naszą najwyższą troską. Młode pokolenie radiowców znakomicie to rozumie. Mamy powody do satysfakcji, gdy dziennikarze Radia Katowice zdobywają liczne nagrody w radiowych konkursach krajowych i zagranicznych. Na przestrzeni lat było ich sporo. Mamy też powody do satysfakcji, gdy znajdujemy uznanie jako instytucja. W jubileuszowym roku zdobyliśmy tytuły: „Marka- śląskie” oraz „Firma z jakością”. Radio Katowice SA zostało również laureatem wyjątkowo prestiżowego wyróżnienia, jakim jest statuetka Orła Piastów Śląskich, przyznawana przez środowiska gospodarcze. Wszystkie wymienione nagrody, te miłe wyrazy uznania, zawierają wysoką ocenę rozgłośni jako firmy z bogatym kulturotwórczym dorobkiem, podlegającej prawom ekonomii i regułom dobrego, skutecznego zarządzania. Motywują i uzasadniają sens działania. Pozwalają też, bez fałszywej skromności podkreślać, że Polskie Radio Katowice SA jest największą rozgłośnią regionalną w kraju, z największym audytorium słuchaczy, że jak na swoje 90 lat jest w coraz lepszej kondycji i trzyma się mocno.

– Dziękuję za rozmowę.





Trójkąt Trzech Cesarzy – pograniczne „pomiędzy”

BEATA CIEŚLAK Tu, gdzie spotykają się rzeki...

Rzeka zbliża, a to, co w sobie mieści, sprawiedliwie czyni wspólnym.

Jacek Kurek, *Słowo o rzece*

Ten świat to zamknięte drzwi. To przeszkoda w drodze do celu. A zarazem – przejście.

Simone Weil, *Świadomość nadprzyrodzona*

Nasza tożsamość nie może być tworzona ex nihilo, w narodowym jednogłosie i niejako obok tego, co istniało tutaj dawniej. Tożsamość bowiem rodzi się z pełnego zanurzenia w miejscu nam przeznaczonym jako całości, a więc odpięczętowanym, dostępnym do samego środka.

Krzysztof Czyżewski, *Kompleks Atlantydy, czyli Europa Środkowa po końcu świata*

W przestrzeni pogranicza żyję od zawsze. Urodziłam się na Śląsku Opolskim w Krapkowicach (choć moi rodzice pochodzą z centralnej Polski) i tam spędziłam pierwsze miesiące życia. Potem przenieśliśmy się do Sosnowca w Zagłębiu Dąbrowskim, które graniczy ze Śląskiem, i tutaj mieszkam. Ślązaczka w Zagłębiu, w którym poprawnie jest nie lubić Ślązaków (z wzajemnością zresztą), choć dziś to już raczej obyczajowa gra i swoisty kanon dowcipu, będący dobrym barometrem dystansu wobec siebie i poczucia humoru. Inna rzecz, że dla mnie była to w ogóle postawa obca, zwłaszcza że Ślązacy, których do tej pory spotkałam, zawsze byli mi życzliwi, a wielu z nich to moi serdeczni przyjaciele. Czy zainteresowałabym się śląskim malarstwem nieprofesjonalnym gdyby było inaczej?



W miarę dojrzewania odkrywałam, w jak szczególnej przestrzeni dane mi jest mieszkać – w bezpośredniej bliskości miejsca zwanego Trójkątem Trzech Cesarzy, na styku granic dawnych mocarstw Austrii (Austro-Węgier), Prus (Niemiec) i Rosji, w dorzeczu Białej i Czarnej Przemszy tworzących wpływającą do Wisły Przemszę. Dziś to pogranicze Zagłębia, Śląska i Małopolski. Nic nie jest tutaj tylko „czarne” albo „białe”, przeciwnie – przez odcienie oraz grę barw wód płynących z różnych stron, ich wymieszanie, wszystko spowija aura różnorodności, ale i przenika bogactwo kulturowych symboli, tropów, znaków.

W Sosnowcu, z racji położenia na pograniczu dawnych zaborów, obok kościołów rzymskokatolickich do dzisiaj znajdują się cerkiew prawosławna i kościół ewangelicki (kiedyś przy obecnej ulicy Dekerta było kilka synagog)... Zresztą wiele obiektów układa się w mozaikę przypominającą o splocie narodów, wyznań, języków... Na okładce książki Zbigniewa Białasa, powieści historyczno-obyczajowej poświęconej Sosnowcowi – *Korzenie*, można przeczytać: „Polacy, Niemcy, Żydzi, Rosjanie. [...] Sosnowiec – tygiel kultur – w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej”. Trwałym tego znakiem jest czerowyznaniowy cmentarz w sercu mojego miasta, jedyny w Polsce w układzie pasmowym. Ilekroć wracam do domu i wysiadam na dworcu kolejowym w Sosnowcu, przywołuję w pamięci dworzec w Wilnie budowany wedle tych samych architektonicznych założeń. A kiedy mijam swój parafialny kościół św. Barbary przy ulicy o tej samej nazwie, znajduję się w centrum górniczych tradycji, tak charakterystycznych dla świata rozciągającego się po drugiej stronie rzeki, na Śląsku, ale przecież także w Zagłębiu, kiedyś zwanym Nowym Śląskiem, i w końcu na zachodnich krańcach Małopolski. Kopalniane wieże łączą najodleglejsze tradycje tych miejsc. Mawiali dziewiętnastowieczni podróżnicy, że ze szczytu będzińskiej Góry Świętej Doroty (zwanej „Dorotką”) patrząc na Śląsk i Zagłębie widziało się to samo morze ognia i dymów, dopiero gdy zeszło się do ludzi, widać było, że to dwa różne światy.

W książce Zbigniewa Studenckiego *Trójkąt Trzech Cesarzy* Fanny Lamprecht z Sosnowca, żona Paula Lamprechta, przedsiębiorcy, siostra Ernsta i Franza Schönów, właścicieli olbrzymich zakładów włókienniczych, wspomina, jak jej bracia: „Codziennie jechali tam [z Sosnowic do Mysłowic – B.C.] koło piątej po południu, a kiedy już załatwili swoje sprawy, wtedy rozkoszowali się swoim ulubionym piwem – »Pilsner Urquell«, które u nas, w Polsce, było tylko miernym naśladownictwem tego prawdziwego. Lokal i przy tym Hotel Grunwald, gdzie spędzali ten czas, był

zwany »Watykanem«”. To samo dotyczy Ślązaków, którzy w tym czasie organizowali wycieczki, by w Tychach napić się piwa z tamtejszego słynnego browaru.

Mimo podziału (a może właśnie dzięki niemu) do wybuchu I wojny światowej Sosnowiec był miastem tętniącym życiem, jak pewnie każde pograniczne ściąające kupców, biznesmenów, wędrowców, przemytników i turystów. „W latach 1880–1914 przyjeżdżały tutaj tłumy wycieczkowiczów. Według jednej z miejscowych gazet każdego tygodnia do miasta przybywało 3000–6000 osób, nie tylko z Górnego i Dolnego Śląska, ale także z odległych części Niemiec. [...] Ciekawość ich wzbudzała stacja rejestracyjna wysyłająca emigrantów do Ameryki i placówka kierująca robotników do prac rolnych w Europie” pisze Studencki.

Z kolei Martin Pollack na kartach książki *Cesarz Ameryki. Wielka ucieczka z Galicji* podaje: „Z pruskiej stacji granicznej Mysłowic łatwo już dojechać pociągiem do Berlina, a stamtąd do Hamburga albo do Bremy, obu wielkich portów emigracyjnych”. U Studenckiego czytamy znowuż: „A w całym 1897 roku granicę przeszła rekordowa liczba 1.200.000 osób. Przyczyną takiego stanu rzeczy były znaczne różnice w cenach podstawowych artykułów żywnościowych po obu stronach granicy”.

Mieszkańcy zaboru rosyjskiego wyprawiali się na stronę niemiecką, by zaopatrzyć się w lepszej jakości towary. Ślązacy z Katowic chętnie jeszcze w okresie międzywojennym zaopatrywali się u krawców żydowskich z Sosnowca w tańsze garnitury. Niemieckim przedsiębiorcom mieszkającym na co dzień w Sosnowicach wyprawa do Mysłowic umożliwiała kontakt z ich językiem, kulturą, spotkanie z bliskimi. Po raz to już który okazywało się, że granica nie zawsze dzieli. Była też i ciemna strona rzeczywistości – wśród milionów ludzi z Europy Środkowej szukających po zachodniej stronie świata przyszłości znajdowały się tysiące kobiet nieświadomych, że zmierzają do południowoamerykańskich domów publicznych. Jak wiele ostrzeżeń publikowały i były na alarm galicyjskie gazety przełomu XIX i XX w.

Tu przebiegały linie frontów, ale tu także iskry powstałe ze ścierania się różnych wartości rozpały życiodajne siły pogranicza. „Rzeka nie dzieli, rzeka łączy... Zbliżając się do rzeki, z każdym krokiem wyraźniej poznajemy to, co na nas czeka po jej przekroczeniu. Przekraczając ją, spotykamy innego, wchodzimy w jego świat, który staje się naszym światem. Rośliny rosnące na brzegach rzeki są tych samych gatun-

ków. Swoim trwaniem przypominają o granicy jako przestrzeni spotkania i miejscu, które potrzebuje mostów. To rzekom ludzie zawdzięczają mosty” wskazuje Jacek Kurek we wstępie do książki *Po obu stronach rzeki*. Człowiek uczy się od rzeki i bardziej staje się sobą. Inny staje się jednym z nas i my stajemy się dzięki temu bardziej siebie świadomi.

Paweł Huelle we wstępie do zbioru esejów Krzysztofa Czyżewskiego *Linia powrotu. Zapiski z pogranicza* pisze: „Pogranicze rozciąga się wszędzie tam, gdzie następuje konfrontacja mnie i innego, ja i nie-ja, swojaka i przybysza, rozpoznanego i obcego, zrozumiałego i niezrozumiałego”.

Wagę tej enklawy, dziś zdaje się zupełnie niedocenianej, uświadomili mi dopiero obcokrajowcy, których od lat uczę języka polskiego, a przy tej okazji poznaję ich z polską historią, z obyczajami, pomagając tym samym asymilować się im ze specyfiką miejsca, w którym się znaleźli. Prowadząc „ścieżką pogranicza” grupy obcokrajowców czy moich uczniów, próbuję pokazać im, że to miejsce zdecydowanie bardziej łączy, niż dzieli. Punkt zwany Trójkątem Trzech Cesarzy daje mi szansę przybliżyć im ideę pogranicza, złożoną historię Europy Środkowej, Polski oraz wyjaśnić pochodzenie utrwalonych, choć dziś mających już charakter raczej żartobliwy, przeciwieństw między Ślązakami i Zagłębiakami, jak chociażby XIX-wieczne powiedzenie, że Rosjanin zawsze weźmie łapówkę, Prusak nigdy, a z urzędnikiem Galicji nigdy nie wiadomo...

Miejsce to zdawało się kompletnie zapomniane, aż do roku 2004, gdy w ob-szarze Trójkąta spotkali się prezydenci Sosnowca, Mysłowic i Jaworzna, świętując tutaj właśnie wejście Polski do Unii Europejskiej. W roku 2007 wzniesiono w tym miejscu postument. Widnieje na nim napis: „Obelisk Pamięci o dawnym podziale Europy i jej zjednoczeniu”. Od kilku lat stowarzyszenie Forum dla Zagłębia Dąbrowskiego oraz PTTK Sosnowiec organizują wycieczki przybliżające historię Trójkąta Trzech Cesarzy. W ostatnich latach znaczenie historii Sosnowca zostało podniesione przez Zbigniewa Białasa, który od 2011 roku wydał już trzy tomy kronik sosnowieckich. Dotychczas wydane to: *Korzenie* (2011), *Puder i pył* (2013), *Tal* (2015). Żadne z miast ościennych w województwie śląskim nie może pochwalić się podobną serią.

Akcja pierwszego tomu *Korzenie* obejmuje czas równo na rok przed wybuchem I wojny światowej – zaczyna się 28 czerwca 1913 roku, a wydarzenia jednego z rozdziałów (jak i jego tytuł) dotyczą Trójkąta Trzech Cesarzy. W 2015 roku znaczenie tego miejsca zo-





stało podkreślone przez wydanie gry planszowej poświęconej Trójkątom Trzech Cesarzy. Kiedyś były tam mosty łączące z sobą wszystkie ziemie. Dziś pozostał tylko jeden most kolejowy spinający Małopolskę ze Śląskiem (tylko dziś Zagłębie jest, jak się wydaje, osamotnione, oddzielone od Śląska i Małopolski, choć znajdujące się przecież w bezpośredniej ich bliskości). W ostatnim czasie powstają jednak plany, by ożywić istniejący most (ma na nim powstać platforma widokowa) oraz odbudować pozostałe. To z pewnością idea na miarę rangi tego miejsca.

Intrygujące, że ten małeńki malowniczy zakątek pomaga zrozumieć przedstawicielom wielu państw i kontynentów zawiloci historii naszego kraju oraz otwierać się na opowieści o często trudnych doświadczeniach ich życia, miasta, małej i wielkiej ojczyzny. Wiem to z codziennej praktyki, ucząc cudzoziemców z Europy, Azji, Afryki i obu Ameryk języka polskiego. To oni, niczym przekraczający tę granicę wcześniej – zwłaszcza na przełomie XIX i XX wieku – Polacy, Niemcy, Austriacy, Rosjanie, ożywają to miejsce. Otwierają szeroko oczy. Swoje i nasze. Dotykają żywej historii i teraźniejszości pogranicza. Są jak przęsla dawnych

mostów, wznoszą porozumienie, niwelując uprzedzenia czy niechęć. „Dar przekazywany innemu jest świętem zawierającym wspólnotę, na którym opiera ona swe istnienie” jak pisze Czyżewski w *Ścieżce pogranicza*.

Mam szczęście mieszkać w takim właśnie miejscu. W Świadomości nadprzyrodzonej Simone Weil czytamy: „Mosty Greków. – Otrzymaliśmy je jako dziedzictwo. Ale nie wiemy już, do czego służyły. Zdawało się nam, że były pomyślane po to, aby na nich wznosić domy. Budowaliśmy na nich drapacze chmur, dodając coraz to nowe piętra. Zapomnieliśmy już, że są to mosty, a więc konstrukcje zbudowane po to, aby po nich przechodzić, i że po nich idzie się do Boga”. Budowa mostu i jego przejście, przemierzenie, w płaszczyźnie horyzontalnej, jest jednocześnie mocą, która dźwiga człowieka do góry, ku Bogu, niczym siła wypadkowa rosnąca wprost proporcjonalnie w czasie do przebytej drogi. Powinniśmy czerpać od Greków i wszystkich Innych, by w miejscu dla nas znaczącym budować mosty zgodnie z ich przeznaczeniem. Vincent van Gogh, dla którego nowoczesne miasto było „piekłem”, w jednym z listów w latach 1888–1889

do brata Theo pisał: „nie jesteśmy dziłkusami ani wieśniakami, być może mamy wręcz obowiązek kochać tę (tak zwaną) cywilizację”.

Most bez wątpienia jest jej elementem. To jedyna droga, by na nowo nawiązać zerwane więzi.

„Żeby szanować cudzą ojczyznę, trzeba ze swej własnej uczynić nie bożyszcze, ale drabinę prowadzącą do Boga” jak podaje Weil. Gest wyciągniętej dłoni – most najbliższy i najprostszy zarazem – spotykający się z dłonią Drugiego tworzy przeszło silniejsze od wszystkich mostów świata. Chińczyk podający gościowi czarkę herbaty trzyma ją w obydwu dłoniach na wysokości serca. To droga do wypełniania „czary” człowieczeństwa i budowania niewidzialnego mostu porozumienia z Drugim. „Rzeczy stworzone mają być ze swej istoty czymś pośredniczącym. Spełniają tę funkcję jedne w stosunku do drugich i tak bez końca. Pośredniczą na drodze ku Bogu. Tak je traktować” uświadamia Weil. Nie wolno niszczyć mostu. „Czego zniszczenie jest świętokradztwem? Nie tego, co jest na dole, bo to nie ma znaczenia. Nie tego, co jest w górze, bo tam sięgnąć niepodobna. Metaxu. Metaxu to dziedzina dobra i zła”. Pojęciem *metaxu* Simone Weil określa „wszelkie wartości pośrednie, to znaczy takie, które nie są celem same w sobie, lecz zaspokajają podstawowe potrzeby człowieka”.

Trzeba wykrzesać odwagę, by spróbować przejść przez most. Ludzką świętością jest sfera „pomiędzy”, gdyż w niej dobro i zło. To od nas zależy, czy wyciągniemy rękę... „Poeci dobrze znają to istnienie utkane z wahania”... jak powiada Gaston Bachelard.

Leopold Staff w wierszu *Most* z tomu *Wiklina*, przypomina, że wejście na most zawsze pełne jest lękwowi obaw.

Nie wierzyłem
Stojąc nad brzegiem rzeki,
Która była szeroka i rwista,
Że przejdę ten most,
Spleciony z cienkiej, kruchej trzciny
Powiązanej tykiem.
Szedłem lekko jak motyl
I ciężko jak słoń,
Szedłem pewnie jak tancerz
I chwiejnie jak ślepiec.
Nie wierzyłem, że przejdę ten most,
I gdy stoję już na drugim brzegu,
Nie wierzę, że go przeszedłem.

To istotne potwierdzenie, że otwarta postawa wobec drugiego człowieka, i miejsca, pozwala w pełni afirmować życie, zwłaszcza gdy obcy staje się Innym, Inny – bliskim, bliskim Innym, w którego oczach lepiej widzę samego siebie...

Dla JK, który otworzył mi oczy na Pogranicze...



Zródło: wikipedia

Mysłowice, kościół Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Mysłowicach

Sekret dostojnej Katarzyny

HENRYK SZCZEPAŃSKI

Katarzynę Salomonową, z domu Kozioł, stanowiącą białogłową, przez prawie 40 lat samodzielnie władającą krociowym majątkiem Państwa Mysłowickiego, wciąż okrywa aura tajemnicy i sprzecznych informacji a zabawne qui pro quo wiąże się z ustaleniem kto był jej mężem.

Nie wiemy kiedy się urodziła. Wątpliwości wzbudza nawet data jej śmierci – podawana w przybliżeniu.

Jest legendą czy zmyśleniem?

Tego nie pozwalają podejrzewać dokumenty, postanowienia sądowe i fundacje kościelne sygnowane przez nią w latach 1576-1614.

Nikt nie wie jak to się stało, że panna Kozłówna została panią Salomonową.

W tożsamość władczyni sławnych dóbr ziemskich można zwątpić przeglądając archiwalne dokumenty albo nowsze publikacje badaczy genealogii Salomonów i Mieroszewskich. W dawniejszych opracowaniach jej nazwisko rodowe – tak jak i jej brata o imieniu Malcher – wystę-

puje w brzmieniu „Kossła”. Prof. Alfred Sulik z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach na stronach *Historii Mysłowic do roku 1922* pisze o niej „małopolska szlachcianka, Katarzyna Górską, herbu Kozioł Salomonowa”.

Podobno pochodziła z Gorzkwic, ale nie wiadomo z których. W domniemaniach pojawiały się nawet Gorzkowice w okolicach Piotrkowa Trybunal-





skiego. Jednak wnikliwe badania i prace historyczne prof. Kazimierza Rymulta i dawne zapisy Oskara Kolberga dziś już utwierdzają w przekonaniu, że Gorzkwice to podkrakowska Korzkiew nad potokiem dawniej zwanym Bieśnicą a obecnie Korzkiewką.

Korzkiew w czasach Odrodzenia była niewielką osadą z drewnianym kościołkiem i zaniedbaną foralicją na wzgórzu. Liczyła zaledwie kilka chat. Ani urbarze, ani akta ziemskie nie wymieniają nazwiska Kozioł, Kozłowski czy Kossla. A więc tutaj nie mogli być dziedzicami czy choćby tenentariuszami.

Zona czy synowa?

Wybitny śląskoznawca ks. Jan Kudara, dziekan myślowicki i proboszcz parafii Nawiedzenia Najświętszej Marii Panny w Brzezince doszedł do wniosku, że Anna Katarzyna, (najczęściej występująca tylko pod drugim imieniem), została żoną krakowskiego patrycjusza, rajcy i posiadacza ziemskiego Mikołaja Salomona syna Imbrama, przez historyków nazywanego Starym, dla odróżnienia od jego syna Mikołaja młodszego, przez innych badaczy uznawanego za bardziej prawdopodobnego jej partnera. Węzłem małżeńskim z Mikołajem Starym wiąże ją również Romuald Kubiciel.

Podobnie (aczkolwiek nie tak kategorycznie), w 1875 roku twierdził hrabia Jan Mieroszewski. Opisując swoje drzewo genealogiczne wspominał o ośmiorgu pociechach Mikołaja Salomona starszego. Wymienił z imienia i nazwiska Mikołaja młodszego, jego 7 sióstr oraz ich mężów. Jednak dyskretnie przemilczał kto był matką tych dzieci i pary z ust nie puścił na temat małżeńskich lub pozamałżeńskich stosunków ojca licznego potomstwa.

Tej demaskatorskiej pokusie nie oparł się Antoni Piwowarczyk autor not biograficznych do 'Protokolarza albo „Czerwonej księgi” Myśłowic i liczną gromadką milusińskich obdarzył Katarzynę żonę Mikołaja młodszego – czyniąc ją partnerką zarówno teścia jak i syna:

„w 1558 r. Myśłowice odziedziczył syn Mikołaj. Ten ożenił się z Katarzyną Kozłówną z Korzkwi i miał z nią liczne potomstwo: syna i sześć córek – Mikołaj zapisał swe dobra żonie w roku 1568. Katarzyna owdowiała w 1576 r. Przeżyła także swego młodszego syna Mikołaja”.

O życiu Mikołaja młodszego nie mamy żadnych metrykalnych potwierdzeń. Nie wiemy gdzie, kiedy się urodził i kiedy zmarł. Dr Zdzisław Je-

dynak, znakomity znawca epoki i genealogii Mieroszewskich jako małżonka Katarzyny wskazuje Mikołaja młodszego. Podobnie Agata Bryłka, w jednej z najnowszych publikacji informuje: „Katarzyna Kozłówna z Gorzkwi (zm. 1614) była żoną Mikołaja Salomona młodszego”.

Jakub Lustig, kronikarz myślowicki oraz ks. Kudara przyjmują, że Katarzyna została wdową w 1576 roku, a Joanna Tofiliska, z Muzeum Historii Katowic, przekonuje, że był to rok 1582.

Ile lat miał wtedy partner – oplakiwany przez Salomonową?

Jak na Mikołaja starego, to trochę za późno a jak na Mikołaja młodszego to zbyt wcześnie. W obydwu przypuszczeniach Katarzyna jest uznawana za matkę – siedmiu córek albo ośmiorga dzieci Salomonów.

Mikołaj młodszy, w jednych publikacjach występujący jako mąż a w innych jako syn jest postacią jeszcze bardziej enigmatyczną niż Katarzyna. O nim praktycznie nic nie wiemy.

Co wiemy o Mikołaju seniorze zwanym Starym

Nie znamy daty ani miejsca jego urodzenia. Wertując publikacje poświęcone eminentnej rodzinie krakowskich Salomonów, upewniamy się, że wydarzyło się to jeszcze przed rokiem 1500. Był jednym z czterech synów bogatego podwawelskiego patrycjusza Imbrama. Najmłodszy z nich Andrzej, później burgrabia, studiował w akademii Krakowskiej od 1504 roku. Mikołaj i jego brat Stanisław wstąpili do akademii w 1510. Być może byli bliźniakami.

Po 1525 Mikołaj wspólnie z bratem Stanisławem uczestniczył w kilku ważnych wydarzeniach odnotowanych w dziejach regni Poloniae. Jako spadkobiercy stali się dziedzicami wielkiej fortuny po ojcu Imbramie. Król Zygmunt Stary zapożyczył się u nich potrzebując większych pieniędzy na wojnę z Prusami. W 1543 w czasie sejmu Rzeczypospolitej w Krakowie monarcha potwierdził dyplomy szlacheckie Mikołajowi Salomonowi i jego bratu Stanisławowi.

W 1547 roku po nagłej śmierci brata Mikołaj przejął spadek w postaci dóbr myślowickich i kamienicy w Krakowie, przy ulicy Siennej 5. Posiadał też dobra Modlnica Wielka. W 1551 sprzedał kamienicę. W tym czasie rozpoczął budowę reprezentacyjnego modrzewiowego dworu w Modlnicy vis a vis kościoła parafialnego, dla którego ufundował czynne do dziś dzwony. Dwór był dużą, piętrową

budowlą z drewna na kamiennym fundamencie. Obok mieszkalnych pełnił też funkcje obronne. Dziedzicem wielkiej wsi leżącej przy królewskiej drodze do Sławkowa i Olkusza Mikołaj był do 1574 roku. Równoległe jako dziedzic zarządzał posiadłością w Myśłowicach.

Czy Mikołaj i jego wybranka ślubowali sobie dożgonną wierność i miłość przed ołtarzem modlnickiej fary?

Może tutaj przyszły na świat ich dzieci. Modlnicę od Korzkwi nad Prądnikiem dzielą niecałe 2 kilometry a łączą sielankowe łąki i gaje zachęcające do romantycznych wzmruszeń! Jednak miłosna sielanka jest mało prawdopodobna, bo w tamtym stuleciu, do ożenku z reguły dochodziło „nie po sercu, lecz po rozumie”.

O Mikołaju Starym w Myśłowicach po 1547 roku brakuje rzeczowych informacji. Ludwik Musioł, najdoświadcniejszy z badaczy przeszłości Katowic, skrupulatnie przeszukał wszystkie skrzynie archiwum Państwa Pszczyńskiego i znalazł tam zaledwie 3 dokumenty, w których Mikołaj Salomon występuje jako wystawca. Nie są to nawet oryginały lecz tylko tak zwane widymacje, czyli odpisy z oryginałów uwierzytelnione przez upoważnionych urzędników. Pochodzą z roku: 1550, 1558 oraz 1564. Pierwszy dotyczy sporu o granice i przywileje Kuźnicy Boguckiej, drugi jest wyrokiem wzmiankującym o Mikołaju a trzeci aktem sprzedaży Załęża niejakiemu Grzegorzowi Krawcowi. Pod każdym z nich widnieje uwaga: „UW zachowanych księgach ziemskich z Archiwum Książęcego nie znajduje się powyższy”.

Co wiemy o Katarzynie Salomonowej?

Lustig, autor *Historii miasta Myśłowice* opublikowanej w 1867 roku przeczył tylko wspomnieć, że pierwsza wzmianka na temat kolejnego nowego pana zwierzchniego tutejszego dominium pochodzi z 1558 roku i zaraz w kolejnym zdaniu informuje, że w 1576, rządy nad państwem myślowickim przejęła Katarzyna Kozłówna z Kozłowskich (lub Kozłów) Salomonowa, która przez około 40 lat wyróżniała się szerokim gestem na rzecz kościoła i mniejszym zatroskaniem o maluczkich pogrążonych w nędzy.

Na ponad trzystu stronach historycznej monografii zabrakło miejsca na przypomnienie potomnym o datach śmierci albo miejscu pochówku Mikołaja i Katarzyny – przez ponad pół stulecia wydatnie pomnażających skarb myślowicki.





Źródło: wikipedia

Dwór Mieroszewskich – w okresie międzywojennym mieściła się tu Stacja Opieki nad Matką i Dzieckiem

W roku 1600, zapewne przy aprobacie Katarzyny, proboszcz myślowicki ks. Jakub Marciszewski zakupił sporą działkę z łąką i ogrodem, otworzył i uposażył tam szpital dla ubogich – jeden z pierwszych na Śląsku. W ponad 400 lat liczącym miejskim protokolarzu zachowała się umowa, w której fundator zastrzega, że pensjonariuszami mogą być tylko ci, których: „on albo successorowie jego słusznie uznali ubożnym. A ma być ubóstwa, dziadów z babami nie mniej ani więcej dwunastki a trzynastki starszy”.

Przez kolejne lata swych rządów Salomonowa prowadziła spory sądowe z mistrzami hut żelaznych w Rozdzieńcu i Kuźnicy Boguckiej, zakończone dopiero w roku 1609. Umowy, rachunki i urzędowe pisma pisane lub sygnowane ręką jaśnie Pani Katarzyny pozwalają domniemywać, że była osobą pomysłową, przedsiębiorczą i odważną. Jeszcze w styczniu 1613 roku naraziła się kurii biskupiej krakowskiej oświadczając, że „dziesięcinę z państwa myślowickiego” ureguluje tylko za rok bieżący. Biskup się poirytował. Hardej jejmości zagroził kłatwą. Ogłoszenie infamii warunkowo odroczył do początków lutego. Nie chcąc szargać jej dobrego imienia dla kilkudziesięciu złotych, zachęcał ks. Jana Goleniowskiego, proboszcza w Myśłowicach by przemówił do chrześcijańskiego sumienia swojej parafianki.

Pewnie dała się przekonać, bo pod koniec lata następnego roku obdarowała kościół znaczną kwotą talarów, przeznaczonych na utrzymanie kapłana i kaplicy pod wezwaniem św. Św. Katarzyny i Anny, miejsca, w którym mieli się modlić i spotykać pobożni parafianie z założonego przez nią Bractwa Miłosierdzia któremu z wysokości sfer niebieskich orędowną – patronki naszej bohaterki.

Myślowicki kronikarz wspomina, że Katarzyna była osobą lubianą. Mówią o tym także fragmenty pism i listów jej powinowatych Wacława Kamińskiego i Andrzeja Lipskiego, nazywających ją łaskawą babcia.

W genealogicznych notatkach Stanisław Mieroszewski, zapisał, że po śmierci Mikołaja Salomona młodszego, Katarzyna „miała dożywocie na Myśłowicach”. Tam, przy ulicy Starokościelnej 5, w średniowiecznym kościele Narodzenia Najświętszej Maryi Panny – najstarszej świątyni tej miejscowości, pośród zabytkowych marmurowych epitafiów poświęconych głównie Mieroszewskim, tylko jedno opisyje pobożne zasługi Katarzyny Salomonowej, ale i ono nie zdradza daty jej śmierci.

Epigraf na czarnej marmurowej płycie ani jednym słowem nie wspomina o krypcie grobowej pod ołtarzem, gdzie być może złożono jej doczesne szczątki. Jest tylko upamiętnieniem jej

donacji kościelnych i największej inwestycji jej życia jaką stała się fundacja na rzecz założonego przez nią bractwa św. Św. Katarzyny i Anny. Erygowała je z okazji 30 rocznicy powstania w Krakowie kongregacji powołanej przez ks. Piotra Skargę i wzorowała się na jego statutach.

„G [ENEROSA] CATHARINA KÓZŁOWNA Z GORSWKIE SALOMONOWNA VIDUA O [LIM] G [ENEROSI] NICOL [AI] SALAMONIS HÆRED [IS] BONOR [UM] MISLOVICEN [SIUM] UXOR DEVOTISSIMA QUÆ IN HONOREM DIVÆ CATHARINÆ ET S [ANCTE] ANNÆ TITULAR [E] ECCLE [SI]Æ MISLOVICEN [SIS] ET SUF [F] RA [GIAE], A [NIM]Æ SUÆ. 700 TAL [ARIS] P [ER] OBLIGAT [IONEM] IN ERECT [IONIS] EXPR [ESSA] DEDIT 1614 P [RO] MEM [ORIA] POSUIT PASTOR ECCL [ESIAE] AN [NO] 1742”.

Dopiero nagle pustka w zbiorze archiwalnych dokumentów Jaśnie Pani Katarzyny, jaka pojawia się u progu jesieni roku 1614. upoważnia do przypuszczenia, że w tamtym czasie zmogła ją jakaś chroniczna niemoc, zakończona ostatecznym rozstaniem z ziemskimi obowiązkami. Taką hipotezę wspiera fakt prawie 2 lata trwającego „interregnum”, przewlekającego się do czerwca 1616 roku, kiedy to jak podają cytowani już autorzy Jadwiga Mieroszevska przejęła rządy





nad prawie sto lat liczącym dominium Salomonów.

Z datą 16 września 1614 roku zachowała się kopia tak zwanego testamentu Katarzyny Salomonowej, określane go też jako akt fundacyjny na rzecz kościoła myśłowickiego. Mniej jest podobny do zapisu spadkowego a bardziej przypomina umowę o dzieło, której spadkodawczyni pobudzona szlachetnym sacro egoismo zleca myśłowickim duchownym: odmawianie pacierzy, śpiewanie pieśni i bicie w dzwony a w zamian przyrzeka sowi- te honorarium. Skupia uwagę głównie na zbawieniu swej duszy, co postanawia osiągnąć za setki talarów, które po jej śmierci de facto będą spłacali chłopci pańszczyźniani dóbr myśłowickich.

Swoim „erbom, Działkom tesz, a potomkom wszystkim” pokazuje figę. Sekrety swego życia zabiera ze sobą do grobu.

Dzieci Mikołaja

Mikołaj zwany młodszym pozostał postacią bez twarzy i bez życiorysu. Czyżby nigdy się nie narodził?! Bardziej realne są jego siostry albo też jak niektórzy przypuszczali – córki”. O każdej spośród siedmiu posiadamy niekompletne wiadomości pochodzące z różnych źródeł:

Barbara (urodzona 1555, zmarła 1603), żona Stanisława z Kuczko- wa Kuczkowskiego, herbu Słepowron, najpierw żupnika krakowskiego a potem starosty w Wojniczu opodal Bie- cza na Podgórzu Bocheńskim.

Urszula, żona Krzysztofa ze sławne- go rodu Duninów herbu Łabędź, pa- na na Pogoni pod Będzinem, na Wiel- kich Miedznych i właściciela Skrzynna opodal Radomia.

Katarzyna, żona Jana Mężyka z Dą- browy herbu Wieniawa.

Anna, żona Andrzeja z Lipia Lip- skiego, herbu Śreniawa, zmarłego w 1625, pana na Żeleźnicy oraz wój- tostwa na Myśłowicach,

Zofia, żona Stanisława Klempa her- bu Strzemień).

Dorota, od 1569 roku żona Jana z Bebelna Gosławskiego herbu Oksza, najpierw zarządcy dóbr Modlnica a od 1593 pana na Klimontowie.

Jadwiga (zmarła 1637), od 1582 ro- ku żona Krzysztofa Mieroszew- skiego herbu Słepowron, właściciela Chropaczowa (zmarłego 1623 lub 1626), Bratowa wspomnianego niżej Wojciecha.

Do podziału schedy po Salomonach doszło w 1616 roku. Testatorką, jako najstarsza spośród rodzeństwa została Jadwiga z Salomonów Mieroszew-

ska. Ona przejęła rządy po Katarzynie Salomonowej. Tak jak jej poprzednicz- ka miała dożywocie na Myśłowicach. Zgodnie z jej wolą i testamentem. Spadkobiercami 5/6 masy spadkowej pośrednio lub bezpośrednio mieli zo- stać Mieroszewscy a 1/6 miała przejść w ręce Krzysztofa Gosławskiego, pa- na na Klimontowie i Niwce, syna Do- roty Gosławskiej z domu Salomon. Do spadkobrania zgodnego z wolą Jadwigi doszło dopiero po jej śmierci. Zmarła w 1637 roku.

Po otwarciu testamentu na zarząd- cy klucza myśłowickiego zaciążył obowiązek spłaty kilku siostr Jadwi- gi. Oblig wyceniono na niebagatelną sumę 12 tysięcy florenów. Do tej wie- rzytelności pretendowały rodziny: Lipskich, Kamieńskich, Kuczkow- skich, Mężyków, Klempów, Duni- nów i Gosławskich.

Skarbcem myśłowickich posiadło- ści – inwestycją i depozytem fortuny śląskich Salomonów, dysponował wte- dy owdowiały Wojciech Mieroszew- ski, podwojewodzi krakowski. Z jego inicjatywy doszło do porozumienia po- między sukcesorami. Adam i Piotr Lip- scy, wspólnie ze spadkobiercami po Andrzeju Lipskim przyrzekli ure- gulowanie spłaty za część schedy po Jadwidze, probostwo myśłowickie miało pozostać własnością Archidia- kona i protonotariusza apostolskiego ks. Michała Gosławskiego, wnuka Jana i Doroty z Salomonów. Do jego rozległej parafii fundowanej jeszcze na prawie polskim należało miasto Myśłowice, Sielec, Pogonia, Zagórze, Klimontów, Porąbka, Niwka, Brzęcz- kowice, Brzezinka, Szopienice i Roz- dzień.

W tym czasie Myśłowice, Kuźni- cę Bogucką płądrowały, burzyły i puszczały z dymem zbrojne chorą- gwie katolików i protestantów toczą- cych krwawe jatki przez historyków oględnie nazywane wojną trzydzie- stoletnią. Łuny pożarów wznosiły się nad Pszczyną, Myśłowicami i Byt- miem.

Gdzie podział się „Mikołaj młod- szy”? Nie było go wśród spadkobier- ców.

Rozwiązanie zagadki

Mikołaj junior nie mógł być obec- ny bo już nie żył, ale mogła o nim pamiętać testatorka.

W tym i w innych przypuszczeniach ostatecznie upewniliśmy się dopiero podczas lektury rękopisów wydoby- tych z półek Biblioteki Uniwersyte- tu Jagiellońskiego. Spoczywają w teczce oprawionej w czerwoną skórę. Na jej okładce łśni, złotymi li-

terami wytłoczony tytuł: „Szalomo- nowie z Benedyktowie” a pod nim herb Słepowron, godło rodu Mier- oszewskich. Odpisy archiwalnych do- kumentów. Listy, Wycinki prasowe i notatki genealogiczne – pod ko- niec XIX wieku zebrał i opracował Jan Mieroszewski.

Między nimi znajduje się odpis te- stamentu Jadwigi Mieroszewskiej z Salomonów spisany latem 1616 ro- ku, w którym na wstępie Jadwiga pi- sze o: „panu Mikołaiu Szalomonie bracie mem prawdziwym”, po którym przyszło jej czuć nad rodową for- tuną. To nie pozwala już wątpić, że byli rodzeństwem a Katarzyna dla Jadwi- gi – bratową!

Po lekturze manuskryptów stało się oczywiste, że Mikołaj Salomon senior był ojcem nie ośmiorga ale dziewię- ciorga dzieci. Nie znamy jego żony a może kilku żon, z którymi miał dwu synów i 7 córek. Mikołaj junior był je- go synem a Katarzyna Kozłówna sy- nową Mikołaja seniora. 7 siostr jej mę- ża to szwagierki a ona dla każdej z nich to bratowa. Jej szwagrem był też jedyny brat Mikołaja o imieniu Im- bram, który zmarł w 1560 roku.

Mikołaj junior i Katarzyna zmarli bezpotomnie. Krzysztofor i Wojciech Mieroszewscy, żeniąc się z dwoma spośród siedmiu córek Mikołaja Salo- mona seniora, zostali spowinowaceni z liczną gromadką swoich szwagrów i jedną szwagierką w osobie Anny Ka- tarzyny Salomonowej.

Dr Zdzisław Jedynek ustalił, że już w 1582 roku Jadwiga Mieroszewska z Salomonów przejęła dobra myśło- wickie. „Należało do niej miasto i zam- ek w Myśłowicach, Bogucice, Szopie- nice, Brzęczkowice, Roździeń, Kuźnica Roździeńska i część Brzezinki”. Jeszcze tego samego roku jako „posag za żoną” wziął ten skarb jej mąż Krzysztofor Mieroszewski, dzie- dzic na Jakubowicach, Michałkowi- cach et cetera.

Testament Jadwigi Mieroszewskiej

Gdy umarła Anna Katarzyna Salo- monowa, na mocy zwyczajowych i rodzinnych postanowień, jej upra- wienia przeszły na Jadwigę Mieroszew- ską. Jedną z pierwszych jej decyzji do- tyczyła pośmiertnego podziału wielkiej fortuny.

Przejmując opiekę nad rodowym skarbcem podyktowała testament a w nim wyraziła wolę „oddania komu mi jest miło tej to maietnoszcij mejj mnie dziedzicznie po nieboszcziku pa- nu Mikołaiu Szalomonie – bracie mem prawdziwym, jako spadkobier- czyni prawdziwej”.





Oficjalny dokument w obecności świadków i poręczycieli, przez sędziego pszczyńskiego został spisany w dniu 27 czerwca 1616 roku. Do podziału odziedziczonej „majętności” mogło dojść dopiero po śmierci testatorki, co stało się 21 lat później. W tekście przytaczamy fragmenty transumptu z cytowanego legatu.

Ofiarując duszę Bogu zacna Jadwiga prosiła aby „czialo moje ziemi ktore abij podlie porzadku kosciola Kresczianskiego Katolickiego w michalkowskim koscziele uczciwie porzebione belo”.

W przeciwieństwie do Katarzyny Salomonowej swoje majętności dzieliła głównie pomiędzy członków najbliższej rodziny i ludzi, którzy świadczyli jej opiekę w czasie choroby. Resztę przeznacza na uposażenie parafialnej świątyni w Michalkowicach.

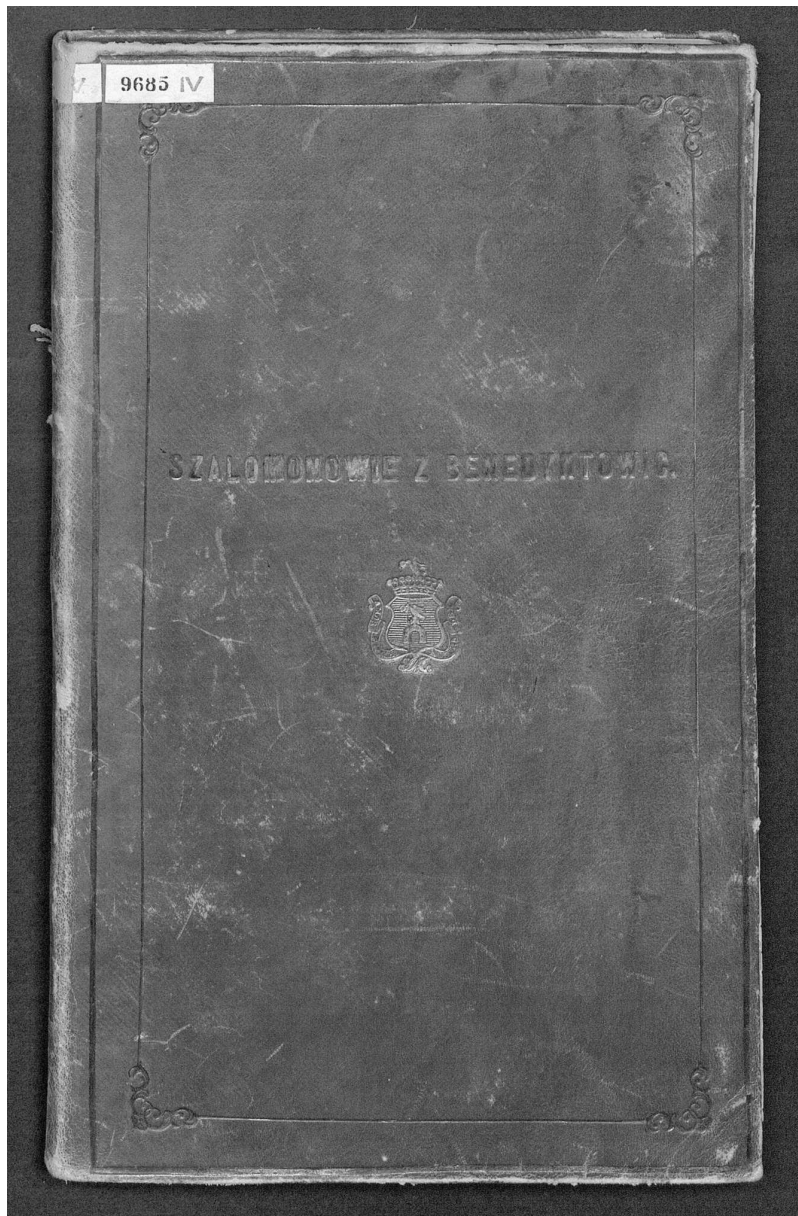
Najpierw należąca do niej część „majętności myśłowickich” daruje dwom osobom: „panu Krzstofowij goslawskiemu siostrzenczowi memu najmilissemu a panu Woiczzechowi Mieroszowskiemu Erbom a potomkom ich executorom a wiconawczom tego testamentu a ostatnij wolicij mejj.”

Kolejny dział przypada: „Panij Dorocie goslawskiej Manzolcze pana Woicziecha Mieroszowskiego siostrzenicze i wychowanicze mejj naimilszej za uprzyjme poslugi ieij ktore mnie w chorobie mejj oddawała i narzadzanie ze ta czeszcz wiecznemi czasi onij erbom a potomkom teji nalezczecz ma”.

Trzecia część masy spadkowej przypada w udziale: „dzieciom pana Woicziecha Mieroszowskiego Erbom a potomkom ich które splodziel s paniam Dorotam Goslawskam siostrzenczam i wichowaniczam moiam miłam i tem dzieciom ktore im pan Bog dacz raczij splodzionim stam to paniom Dorotam Goslawskam siostrzeniczam moiam”.

Tak więc cała myśłowicka „majętność” formalnie podzielona na trzy części stała się własnością Mieroszowskich i Gosławskich. Krzysztof Gosławski i Dorota Mieroszewska z domu Gosławska byli rodzeństwem, dziećmi Jana i Doroty Gosławskiej z Salomonów (siostry Jadwigi Mieroszowskiej). Mikołaj Salomon junior był dla nich wujem a Katarzyna Salomonowa ciotką.

Egzekutorzy testamentu w osobach Krzysztofa Gosławskiego i Wojciecha Mieroszowskiego mieli obowiązek dopilnować między innymi aby stosowne fundacje pieniężne w postaci złotych polskich trafiły do klasztoru św. Franciszka w Krakowie vis a vis Kurii Biskupiej i do szpitala Bonifratrów przy kościele św. Urszuli opodal



Okladka teki „Szalomonowie z Benedyktowic” poniżej herb Ślepowron, godło rodu Mieroszowskich

krakowskiego Rynku. „Paniej ursuli Salomonownie Manzolce pana Krzstofa Dunina siostrze mej milej maiam oddacz zlotich sto moneti z liczbij polskiej” – przypominała rzetelna spadkodawczyni.

Legat na rzecz Ojców Bonifratrów był zapewne wyrazem dozwonnej wdzięczności zacnej jaśnie pani Jadwigi, która w tej nowoczesnej lecznicy, prekursorskiej na ziemiach polskich, (powołanej do życia w 1609 roku), w trudnych chwilach choroby znajdowała dobrą radę i opiekę „ojców doktorów” przybyłych z dalekiej Łużytanii.

Krzysztof Gosławski, dziedzic Niwki i Klimontowa nad Przemszą pod koniec życia starosta będziński był troskliwym kolatorem krakowskiej świątyni Minorytów. Po śmierci

w 1641 roku został tam pochowany co upamiętniła marmurowa tablica z bogatą barokową inskrypcją.

Testatorka nie szczędziła datków na swój parafialny kościółek w Michalkowicach. Jej spadkobiercy mieli: „sprawicz do kosciola michalkowskiego ornat bialij atlasowij albo komaskowij chegody (?) i albe takze kielich strzebrnych pozloczistij spatinam w ktorej sluzba boza ma sie odprawowacz we dni naswieti panni Marij. Takze te ossoby wiszej mianowane maiam sprawicz korone na monstranciam s perel ktore zostawilam u xiedza plebana Michalkowskiego i pierścien slobny ktory u tey koronki bicz ma poswieiony czo w michalkowskim koscziele ma zostawacz wiecznemij czasij.”



Imię ziemi

O jednym wierszu Tadeusza Kijonki

KATARZYNA NIESPOREK

Po pierwsze: Śląsk to nie tylko tytuł książki dedykowanej Tadeuszowi Kijoncy w siedemdziesiątą rocznicę urodzin, ale także wskazanie na istotną rolę i najważniejszą wartość, jaką mała ojczyna odgrywa zarówno w życiu poety, jak i w jego twórczości. Marian Kisiel we wstępie do wyboru wierszy *Czas, miejsca i słowa* zanotował: „Tadeusz Kijonka jest poetą trzech tematów: ziemi, pamięci i ciała. Właśnie w takiej kolejności, ona bowiem określa rodowodowy, kulturowy i egzystencjalny charakter jego liryki. Świadomość własnego miejsca, które rządzi się niepodległym rytmem biografii, które skazane jest na jedyną i niepodzielną kulturę – w poezji Kijonki manifestuje się od początku i stale. Poeta konsekwentnie zagłębia się w rodowód rodziny i narodu, w siebie, aby zrozumieć to, czego zrozumieć się nie da, jeśli nie zgodzi się człowiek na to wszystko, co jest faktem pamięci, faktem doświadczenia, faktem ziemi, na której się żyje, faktem ludzi wreszcie, zaludniających polski i śląski krajobraz”.

Kisiel zwraca uwagę na „zagłębianie się” poety w ziemię. Chodzi w nim o odrzucenie jedynie powierzchownego spojrzenia, dotarcie do jej wnętrza i istoty. Autor *Ech* nie jest zatem tylko biernym obserwatorem miejsca, w którym przyszło mu się urodzić i mieszkać. Kijonka współpracuje z nim, próbuje dociec jego niezwykłości, przeniknąć tajemnicę, która – jak kontynuował swój wywód zacytowany przed chwilą badacz – „tajemnicą do końca pozostanie, a w wierszach będzie się manifestować za ledwie w przeczuciu, w jakimś zamyśle odczuwania”. To wnikliwość i dokładność kierują poetę w głąb ziemi i sprawiają, że interesuje go wszystko, co z nią właśnie jest związane. Jan Zdzisław Brudnicki wspominał: „pojęcie «ziemi» to dla niego (Tadeusza Kijonki – K.N.) nie tylko krajobraz, lecz także odczucie głębi tej ziemi, zrytej wyrobiskami kopalni, zasypanej hałdami, poranionej zapadliskami. No i przesiąkniętej potem górników, napiętnowanej ich śmiercią”.

Ziemia staje się więc żywiołem, który najmocniej oddziałuje na wyobraźnię poety. Krystyna Heska-Kwaśniewicz wskazuje na jej źródło – jest nim tradycja rodzinna, przede wszystkim:

górnicza i ojcowska. Z niej wyrastają w poezji Kijonki realne i symboliczne obrazy kopalni, węgla i śląskich wzgórz. Badaczka zanotowała: „Rzeczownik „kopalnia”, w sensie realnym i metaforycznym z całym kręgiem epitetów, pojawia się w Kijonkowej poezji od juveniliów po teksty najnowsze. Węgiel jest więc metaforą fundamentalną, wszystko w tym świecie przesiąknięte jest węglem: jest twarz zwęglą, czad węglowych kołód, węglowy grób, przepaść węgla, pogrom węgla, w jego wierszach zasypani górnicy nawołują się „błyskami lamp”. Nawet górską lawina kojarzy się z pyłem węglowym, a symbolika hałdy pojawia się czasem w zupełnie zaskakujących kontekstach”.

Hałda w twórczości poetyckiej autora *Pod Akroplem* występuje po raz pierwszy w wierszu *Imię ziemi*. Utwór ten został zadedykowany Wilhelmowi Szewczykowi oraz umieszczony w tomie *Rzeźba w czarnym drzewie* wydanym w 1967 roku. Opisana w liryku ziemia jest tym, co wspólne dla autora *Witraży* urodzonego w Radlinie, którego lata młodości upłynęły na ziemi rybnickiej, jak również dla śląskiego twórcy i wielkiej osobowości z Czerwionki-Leszczyn. Wspólna geografia narodzin i dzieciństwa, następnie działalność społeczna i dziennikarska w Katowicach pozwala Kijoncy zobaczyć i zrozumieć to wszystko, co doceniał oraz odzwierciedlał w swojej twórczości także Szewczyk. Imię ziemi, do której przynależą obaj poeci to Śląsk. Autor *Imienia ziemi* szkicuje jego obraz następująco:

*W ramie okna ten obraz trwa tak,
ze zakreślę
Ociemniałą go dłonią od ptaka
do ziemi
W dotyku światłoczułym,
Ze opowiem we śnie –
Rozświetlone brzozowym obłokiem
kamienie.*

W strofie tej zostaje wytworzona wyraźna opozycja pomiędzy poetą a opisywaną przez niego rzeczywistością. Istnieje ona na zewnątrz, poza podmiotem. Andrzej K. Waśkiewicz, recenzując tom

Witraże Tadeusza Kijonki, m.in. pisał o *Imieniu ziemi* następująco: „O ile przedtem rzeczywistość wiersza była tożsamą z rzeczywistością wewnętrzną, tym – jakby powiedział Bienkowski – „kosmosem wewnętrznym” poety, o tyle tu mamy już do czynienia ze stosunkiem poeta – rzeczywistość zewnętrzna. Powracają zanikające już w tej poezji struktury opisowe [...], ale poeta nie dąży już do werystycznego przedstawienia rzeczywistości, raczej do jej mitologizacji. I tu [...] pierwotne wzruszenie [...] nie może już być – jak było jeszcze w okresie *Witraży* – budulcem wiersza. Między pomyśleniem rzeczy a jej napisaniem jest teraz intelektualna refleksja”.

„Ramą okna”, w której zostaje zatrzymana rzeczywistość w *Imieniu ziemi* są pamięć i wyobraźnia. To w nich jest utrwalony pejzaż. Zakorzeniony w myślach „ja” lirycznego ulega przekształceniu i przepracowaniu – pomimo że „obraz trwa” jest przez podmiot jedynie „zakreślany”, czyli nieodtworzony całościowo, dokładnie czy precyzyjnie, ze szczegółami. Kijonka wskrzesza go „ociemniałą dłonią” – wydobycia więc z mroku, kreśli w cieniu, ale za to „w dotyku światłoczułym”, który pobudza myśli i wyodrębnia z nich miejsca najistotniejsze, przynosi zdolność ich odczuwania. Poeta w jakimś sensie jest tutaj kreatorem rzeczywistości. Ale „zakreślanie” oznacza także wyodrębnienie tego, co najistotniejsze, wyróżnienie konkretnych, z jakichś względów ważnych elementów. Na takie właśnie wskazuje autor *Czasu zamarłego*. Z pamięci i z wyobraźni poety przenikają one do sfery onirycznej. Ze swoich snów wyodrębnia on obrazy-epifanie. Pierwszy z nich – jak zaznacza Kijonka w ostatnim wersie pierwszej strofy – to „Rozświetlone brzozowym obłokiem kamienie”. Autor *Śniegu za śniegiem* rysuje w ten sposób metaforyczny obraz brzoź rozrastających się na hałdzie i zakrywających swoją zielenią i tym samym rozjaśniających nią niepokojącą czerni skały płonnej. Drzewa ożywiają śląskie wzgórza, swoimi gałęziami i liśćmi tworzą dla niego ochronę, ale też są świadectwem niespodziewanego cudu życia na hałdzie. Zazieleniony zwał sprawia, że pejzaż miejsca staje się niezwykle, toteż w myślach sięgającego do pamięci „ja” lirycznego, pojawia się on jako pierwszy. W drugim wersie zacytowanego fragmentu poeta z kolei zaznaczył, że przedstawia widok „od ptaka do ziemi”. Nakreśla w ten sposób wertykalność miejsca, rysując je od góry do dołu. Rozpoczyna tym samym od tego, co sakralne, a kończy na tym, co przyziemne i ludzkie. Hałda jest łącznikiem tych dwóch sfer. Wyrasta z ziemi i wzbija się ku temu, co metafizyczne.

Pojawiający się przed oczyma poety widok śląskich wzgórz zostaje rozbudowany w drugiej części wiersza. Kijonka napisał:

*Zbocza hałdy dojrzałej
w dmuchawcach jak dymach.
Tu kozy w drutach trawy wysychają
co dnia,
Stara kobieta słońce na łańcuszku
trzyma,
Jak pszczoła zaczadzona:
W dziewannach – pochodniach.*

Poeta w pierwszym wersie prezentuje pozytywny obraz zwału, na którego skałach i kamieniach budujących jego pochylą powierzchnię także rozpanoszyła się natura. Tym razem nie są to już efektowne, zalesiające hałdę brzozy, ale roznoszone przez wiatr na duże odległości, przystosowane do trudnych warunków trwania dmuchawce. Rozrastając się gęsto na zboczach hałd, zdominowały swoją bielą ich czerń, zakryły prawdę na temat ich brzydoty. Tak jak w inicjalnej strofie *Imienia ziemi* została ukazana subtelna gra ciemności ze światłem, tak teraz z przedstawionego przez poetę obrazu wyłania się opozycja podstawowych kolorów, na który wielokrotnie zwracali uwagę krytycy przy okazji analizy innych utworów Kijonki: „[...] pierwsze źródło widocznego w każdym wierszu niemal kontrastu „biel – czerń” widziałbym nie w literackich zachwyceniach, lecz w obserwacji konkretnego, śląskiego pejzażu” – zanotował Michał Sprusiński. Pomimo, że dmuchawce przez rozjaśnienie swoją bielą hałdy dodają jej walorów estetycznych zostają porównane przez Kijonkę do wydobywającego się z „kupy kamieni pustych i ziem płonnych” nieprzyjemnego swądu. Moment roznoszenia przez wiatr białych owoców kwiatów tworzy bowiem nowy krajobraz przestrzeni oraz wywołuje różne wrażenia u obserwującego pejzaż. Rozwiewane, unoszące się nad miejscem dmuchawce przywodzą na myśl płatki śniegu, albo właśnie – w przypadku hałdy – mogą wywoływać złudzenie jej przebudzenia. Odnosi się wtedy wrażenie, że wydobywa się z niej dym.

Estetyzujący hałdę, wyjściowy i zmetaforyzowany obraz pojawiający się na końcu pierwszej strofy i na początku drugiej (przypomnijmy: zwały to „rozświetlone brzożowym obłokiem kamienie”, a ich zbocza są „dojrzałe w dmuchawcach jak dymach”) traci na swoim znaczeniu w dalszej części wiersza, w której Kijonka przedstawia już nie towarzyszący mu, interesujący widok najbliższej okolicy, ale toczącą się w okolicach śląskich wzgórz dramatyczną egzystencję. Hałda po zderzeniu z życiem staje się tylko symbolem biedy, ludzkiego trudu i walki o lepszy byt. To przestrzeń ciemności, którą – jak pisał Stanisław Fryc – ledwo porastają sztywne trawy, gdzie „starsza Ślązaczka wypasa aż do zachodu słońca wychudzone kozy”. Stają się one zwierzętami nieużytecznymi, bo z powodu nieżyźności ziemi na hałdzie przestały dawać mleko. Więcej: sta-



Tadeusz Kijonka
(10 listopada 1936 – 30 czerwca 2017)

ruszka pracująca codziennie na śląskim wzgórzu jest „Jak pszczoła zaczadzona: / W dziewannach – pochodniach”. Porównanie to odsłania faktyczną naturę hałd, których kamienie żarzą się, dymią; z których unosi się woń zatrującej powietrze oraz najbliższą okolicę i zapracowanego człowieka spaleniźny. Poeta spoglądając na hałdę, obserwując zapracowaną kobietę, myśli o cierpieniu, o kończącym się z każdym dniem ludzkim bycie – o śmierci.

Sen podmiotu o Śląsku trwa jednak dalej:

*I dopowiem horyzont: szyb nakryty
gwiazdą,
Ptakiem,
Obłokiem,
Chmurą,
Jak wodospad stali.
Stąd górnicze latarki odchodzą w noc
każdą,
By gwiazdozbiory okien dalekich
zapalić.*

Oto następny urywek śląskiej rzeczywistości, który wyłania się z marzeń sennych poety. Autor *Kamieni i dzwonów* rozpoczyna kolejną część wiersza od opisu kopalnianego szybu. Jawiący się w oddali przed oczyma poety zostaje przedstawiony w różnych wariantach. Za każdym razem, w zależności od tego, z jakim elementem dodanym zostanie połączony, pojawia się inny jego obraz. Będąca znakiem industrialnego krajobrazu górnicza konstrukcja komponuje się tutaj z ciałami niebieskimi (gwiazdą), ale przede wszystkim z naturą (ptakiem, obłokiem, chmurą). Więcej nawet: wszystkie one zgadzają się na tworzenie wspólnoty z przemysłową przestrzenią wytworzoną przez człowieka, akceptując industrialną rzeczywistość i wtapiając się w nią. Czynią to zarówno za dnia, jak i w nocy. Sam kształt szybu, jego pionowa struktura, która podobnie jak hałda

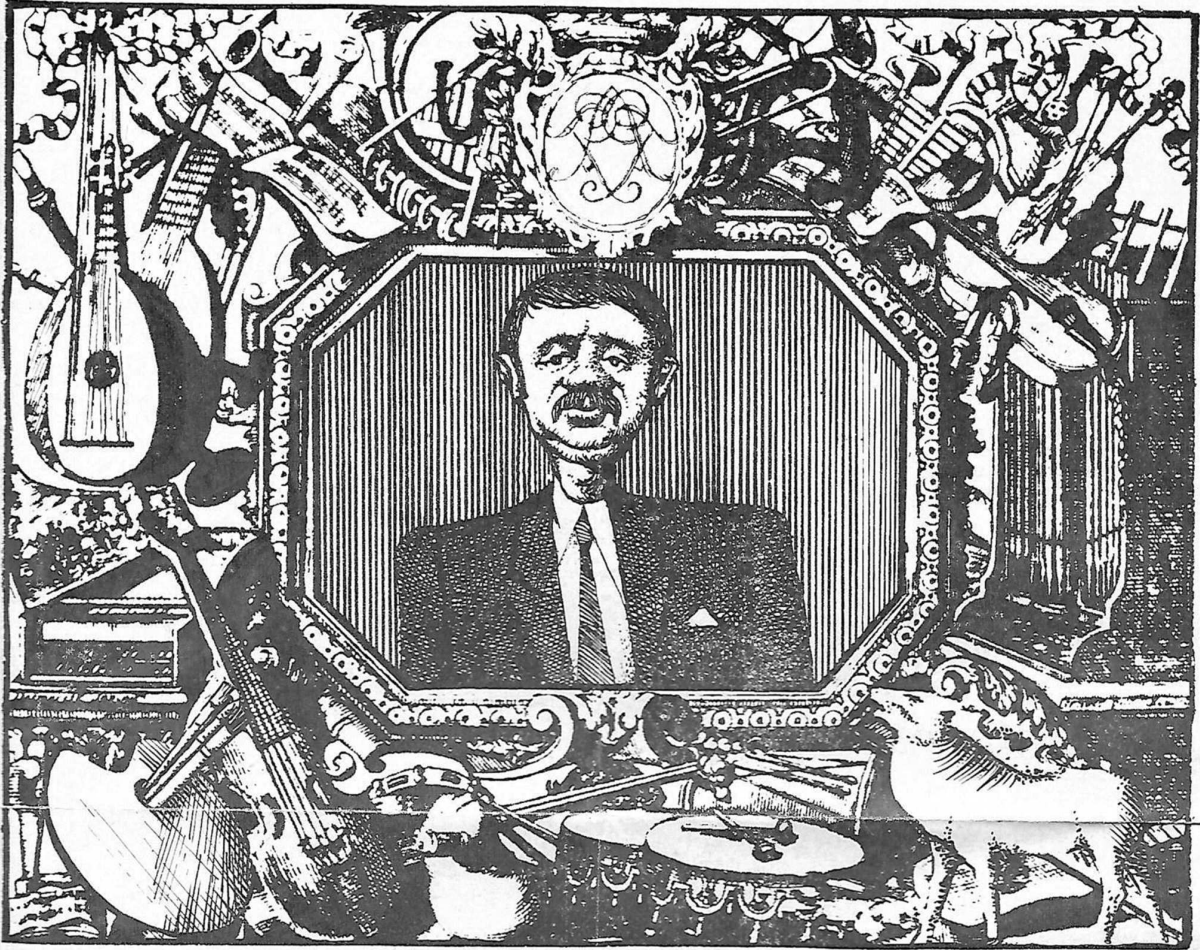
Fot. Zbigniew Sawicz

wznosi się nad Śląskiem, zostaje porównana przez Kijonkę do „wodospadu stali”. Metafora ta zespała naturę z tworzywem czy materiałem konstrukcyjnym kopalnianego wyrobiska; ukazuje, że tworzą nierozzerwalną całość.

Kopalniany szyb wyznacza także w wierszu miejsce pracy. Stanowi on ważny punkt na mapie okolicy, z której „górnice latarki odchodzą w noc każdą”. Jest punktem, w którym światło próbuje przebić się przez mrok, rozświetlić nie tylko ciemne wnętrza kopalni, ale także cały otaczający ją teren. Kopalnia jest więc miejscem światła. To właśnie je – zamiast wschodu czy zachodu słońca – dostrzega obserwująca horyzont osoba mówiąca. Ale w kontekście pierwszych części wiersza, w których została opisana hałda, posiada on jeszcze jedno znaczenie. „I dopowiem horyzont” – mówi podmiot. Horyzont usytuowany jest na najdalszym planie przestrzeni. Dopowiedzenie oznacza z kolei jedynie uzupełnienie wcześniejszego wywodu. Ważniejsza dla Kijonki w krajobrazie miejsca jest zatem hałda, ona dominuje, wydobywa się z pamięci poety jako pierwsza, znajduje się w centrum jego wyobraźni. W dalszej części *Imienia ziemi* czytamy:

*Ten obraz pierwotny, doznany
w ołśnieniach
W przeddzień mowy – rozbłysnął
w żrenicach i ostygł
W imię ziemi*

Poeta objawiające się przed jego oczami elementy śląskiego pejzażu nazywa „obrazem pierwotnym”. Śląsk hałd i kopalń to bowiem rodzimy, pierwszy krajobraz autora Rzeźby w czarnym lesie, w który wrósł. Powrót do przypisanego od urodzenia pejzażu odsłania miejsca, które niepokoją, upominają się o siebie w teraźniejszości, nawiedzają w drodze do przyszłości. Myślenie o nich wywołuje w poecie konkretne emocje: dawne obrazy pobudzają go, ożywiają. Ale też – jak już zostało wcześniej podkreślone – pojawiają się na chwilę, stanowią doznanie momentalne („[...] obraz pierwotny” [...] / rozbłysnął w żrenicach i ostygł” – podkreśla podmiot). Błyski i ołśnienia, których doświadcza poeta mają swoje źródło w ziemi. To z niej wyrastają bowiem hałdy i kopalniane szyby. Kijonka podkreśla zresztą, że objawiają się one „W imię ziemi”. Zaświadczyają zatem o jej bogatym wnętrzu, podkreślają tkwiący w niej potencjał, drzemiącą w niej siłę, ale także – w przypadku hałdy – ukazują jej ambiwalentność. Ziemia jest bowiem związana z życiem i ze śmiercią. Z jednej strony powstaje na niej *bios* (brzozy, dmuchawce) z drugiej staje się centrum ludzkiej nędzy (nie-dające mleka kozy, stara kobieta). Obrazy, którymi myśli poeta wpisują się w pojęcie przestrzeni utraconych. Wywołują w autorze *Ech* sentymentalne uczucia: „Pierwiosnku mojego wzruszenia, / Jak chleb prosty”.



JERZY DUDA GRACI

Paderewskiego 42 B+37
 Siemowickiego 20/31

Katowice

Ażurze!

Prześluz na list. Szczę, że uamg rozmowę
 przed lat moim publikowai w "Nad Wartą",
 ale najwiew prosz, aby mi przesłał 1 egz-
 jej manuskopim; korekty będz konieczne
 z atq pewnościq i dopisatbym jesme "to i owś".
 Oczekuję na manuskopis proszajs z podziwieniem

Jerzy Duda

Katowice - 1985. 02. 18.

Drogi Adamie!

Dziękuję za pamięć o mnie i moich sprawach. Wysława, istotnie, dotarła do mnie w stanie nieumiarowanym a kieleckie Biuro Wysława niby to wyszło, aby mi niebażeni a uroz. wyprawy, najt. zwł. były w Kielcach.

Byłoby dobre, gdyby mama rozmowa ukazała się w „Literaturze”, chociaż mi się wydaje, że jej ton mi nie odpowiada, ten trochę obco. Nie przedstawiam sugestii, więcej jednakże jest powściągliwy sprawy i problemy twarde. Zobaczymy.

U mnie, ale myślałem, dziś roboty, chciałbym zdamy, są momenty bardzo trudne i wtedy stoję z malowaniem, natomiast są to problemy społeczne, ale mi się trochę wydaje, że to są jakieś sprawy, które bez środy i umiarkowania dla obron. To tyle maranie, jemu nie dziękuję za tego dla mnie i wdzięczność i serdecznie Ci pozdrawiam Jurek.

25. 2. 1982.

Fragmety korespondencji Jerzego Dudy Gracza z lat 1982–1985. Zbiory prywatne Adama A. Zycha

Pożółkłe listy sprzed 36 lat i niepublikowana rozmowa z Jerzym Dudą Graczem

ADAM A. ZYCH

Wybitnego artystę malarza, dwójga imion Jerzego Dzierżysława Dudę vel Gracza (1941–2004) znałem od wielu, wielu lat. Wraz z moim starszym bratem Janem kształcił się w częstochowskim Liceum Sztuk Plastycznych, stąd częste były okazje do rozmów i spotkań. W wieku doj-

rzałym każdego z nas los rzucił w inną stronę Polski i dopiero po kilkunastu latach, w Kielcach spotkałem Jurka i miałem okazję dłużej z nim porozmawiać. Akurat szykował swoją najnowszą wystawę malarstwa w kieleckiej galerii „Piwnice”. W przezwie między zawieszaniem jedynych

w swoim rodzaju obrazów przeprowadziłem z Jerzym dłuższą rozmowę. Za ledwie fragment tej rozmowy pt. *Manifestacja tego, jaki człowiek jest naprawdę*, ukazał się na łamach kielecko-radomskiego dziennika „Słowo Ludu” (1981, nr 1162), całość miała się ukazać w grudniowym numerze



nieistniejących już „Przemian”. Jurka na wernisażu wystawy nie było, zaś czas trwania wystawy ze względu na wprowadzenie stanu wojennego został znacznie skrócony. Dopilnowałem wówczas, by obrazy w komplecie wróciły do autora...

W liście z 25 lutego 1982 roku Jerzy Duda Gracz pisal do mnie:

Drogi Adamie! Dziękuję za pamięć o mnie i moich sprawach. Wystawa, istotnie, dotarła do mnie w stanie nie naruszonym a kieleckie Biuro Wystaw zrobiło wszystko, abym niebawem z nową wystawą mógł znów być w Kielcach. Byłoby dobrze, gdyby nasza rozmowa ukazała się w „Literaturze”, chociaż nie wiem czy jej ton nie zabrzmiał teraz trochę obco. Nie pamiętam szczegółów, wierzę jednak że poruszyliśmy sprawy i problemy trwałe. Zobaczymy.

I jeszcze jeden, znamieny fragment listu Dudy Gracza, napisanego w Katowicach 22 sierpnia 1982 roku:

U mnie zmiany, chwalebnie zakończyłem działalność dydaktyczną i mogę zająć się wyłącznie malowaniem obrazów. Oczywiście w takim przypadku tracę, mimo habilitacji, wszystkie „tytuły”, takie są przepisy w szkolnictwie artystycznym, za cenę spokoju i możliwości pełnej, nieograniczonej innymi sprawami pracy artystycznej.

Notabene to władze stanu wojennego pozbawiły się niepokornego artysty-profesora, by 20 sierpnia 2001 roku na sześćdziesiątkę przyznać Jerzemu należny od wielu lat tytuł profesora.

W *Zapiskach o życiu i sztuce przemijania* Jerzego Dudy Gracza znajduję intymnie wyznanie: *Urodziłem się w Częstochowie, mieszkam na Śląsku,*

maluję wyłącznie w Polsce, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie, najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty...

Jurek „dzierzył sławę” aż do momentu niespodziewanej śmierci na plenrze w Łagowie. Pozostały poźółkłe listy, własnoręcznie poprawiana karta wizytowa, fotografie i znamienna rozmowa, którą zamieszczam w obecnym numerze miesięcznika „Śląsk”. Zostały listy z pamiętnymi pieczętkami na kopertach: OCENZUROWANO – URZĄD CENZURY, ślady Jego obecności, oraz ulotne – jak nasze życie – jeszcze jedno wspomnienie...

Wrocław 2017 r.

Moją osobowość uformowała wierność sobie

Z JERZYM DUDĄ GRACZEM, artystą chorym na Polskę, rozmawiał ADAM A. ZYCH

– Jurku, co sądzisz o celach i motywach własnej twórczości plastycznej?

– Jest to pytanie podstawowe i należałoby się zrewanżować zasadniczą odpowiedzią. Jeżeli powiem, że jestem zadowolony z tych celów i motywacji, to wypadnie głupio, ale chyba tak jest. Otóż pewne wydarzenia, okoliczności i uwarunkowania własnej twórczości przyjąłem na początku z ogromnym lękiem, z mieszanymi uczuciami, by później, już po latach błogosławić je. Swoją karierę artystyczną rozpocząłem nie od malarstwa, nawet nie dlatego, że ukończyłem Wydział Grafiki krakowskiej ASP [Filia w Katowicach],

ale forma, jaką proponowałem była nie dość malarska, jak na lata sześćdziesiąte [minionego stulecia], nie było tam tak zwanych problemów. A dla mnie problemem zasadniczym, który miał różne odmiany formalne, był człowiek i próba mówienia o nim.

Wówczas jeszcze nie uświadamiałem sobie tego, a teraz to wiem, po latach praktyki. W drugiej jakby kolejności interesuje mnie rezonans środowiskowy i sprawy jakościowe, co może wyglądać na kokieterię. Właściwie treściom podporządkowałem sprawy formy, treściom, które nie tylko inspirują, ale i decydują o kształcie, wyglądzie a także formie obrazów. Dlaczego? Otóż zafascynowało mnie poszukiwanie wciąż na nowo kontaktu z odbiorcą. Nie sądziłem, że uda się to w takim stopniu. Nie dlatego, że ludzie kupują obrazy, ale przede wszystkim dlatego, że przychodzą na wystawy i że ich to zaczyna obchodzić.

– Interesuje mnie Twój pogląd na rolę malarza w naszych czasach, a zwłaszcza po sierpniu 1980 roku.

– Przede wszystkim przeszkadza mi to „przed sierpniem” i „po sierpniu.” Ja te obrazki – może inaczej formułowane, mniej świadomie, bardziej instynktownie, może przegadane – obrazki o ludziach, o człowieku, robiłem po ukończeniu akademii. Po prostu miałem potrzebę wygadania się do innych ludzi o rzeczywistości, która ukształtowała, a może zdeformowała mnie. A rzeczywistość jest ta sama i dla moich adresatów, odbiorców tych obrazów i dla mnie. Zatem sprawy warsztatowe stały się jakby drugorzędne. Ważne, ale nie one są motywem malowania obrazów, nie one decydują o ich powstaniu, tylko właśnie kontakt z rzeczywistością.

– Spróbuję sprecyzować dokładniej ten problem. Chodzi o publicystykę, jaka zaznacza się w polskiej sztuce współczesnej. Jesienią 1981 roku prezentowana była w Tarnowie, Nowym Sączu i Zakopanem II Ogólnopolska Wystawa Malarstwa „Kwiaty polskie '81”, na której znalazły się takie prace, jak: „Sierpniowa modlitwa”, „Sierpień” czy „Polonia '81”. Ten ostatni obraz przedstawia urokliwą dziewczynę ze znaczkiem „Solidarność”. To chyba nie o to chodzi?

– Nie powinno Cię to specjalnie dziwić. I myślę, że dobrze zrobiłem, że zaraz się zaparłem próbując nie dzielić tego, co się dzieje w malarstwie, czy tego, co ja robię na pograniczu malarstwa – bo to jest to tak zwana publicystyka malarstwa, i można dyskutować, czy to, co robię w ogóle malar-

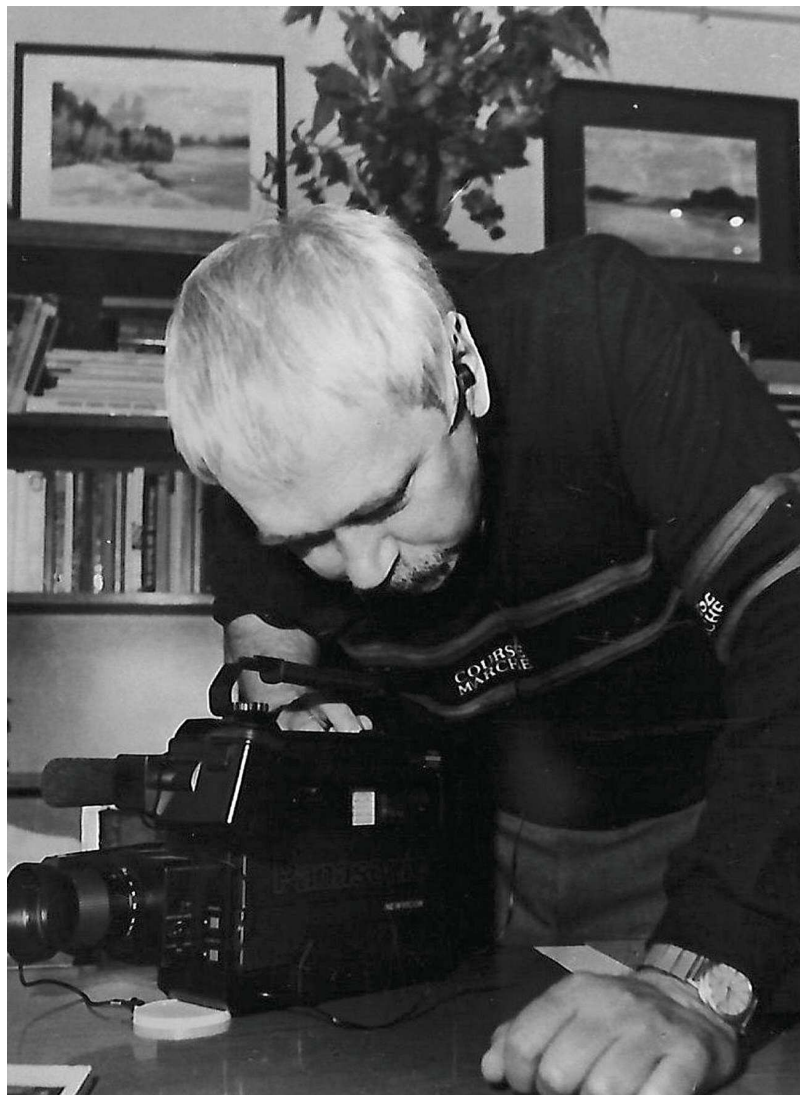
stwem jest i czy ma coś wspólnego ze Sztuką przez wielkie S.

– **W takim razie czy sierpień 1980 roku w ogóle na Ciebie nie oddział?**

– Owszem oddział. Tylko może po kolei. Zaraz odniosę się i do wydarzeń sierpniowych. Nie powinno to Cię zaskakiwać, ponieważ sytuacja po sierpniu roku 1980 w sztuce przypomina analogiczną sytuację po roku 1956, kiedy socrealiści w większości zmieniali pióra, zmieniali barwy na zatwardziały abstrakcjonistów. I na przykład w ten sposób do dzisiaj bardzo niewyraźnie mówi się o twórczości Bronisława Wojciecha Linkego [1906–1962], człowieka, który nie mieścił się w kategoriach nowych form, które zaistniały po roku 1956. Wydaje mi się, że obecnie jest coś podobnego, ludzie, którzy deprecjonowali wartości treściowe, czy w ogóle treść w obrazie przed rokiem 1980 – nie mówię o sobie, myślę raczej na przykład o grupie „Wprost”, czy o tak zwanych publicystach – nagle okazało się, że po sierpniu ’80 roku mamy bardzo dużo tych publicystów. Wystarczy wziąć drugi numer „Sztuki” [1981] – sami publicyści. Oczywiście świadom jestem, że nie obronię się przed zarzutem koniunkturalizmu, ale nie chciałbym rozmawiać z pozycji, że robiłem to zawsze, że ja cierpiałem. Nie cierpiałem – po prostu próbowałem na tyle, na ile to było możliwe sygnalizować pewne sprawy...

– **Dotykamy sprawy niezmiernie delikatnej – tematu. Patrząc na Twoje niektóre obrazy może wydawać się, że twórca kopie leżącego...**

– O nie, nie! Bardzo żałuję obrazu „Krzyż Polski”, który może nasuwać takie refleksje, ale wystarczy go dokładnie obejrzeć, by dostrzec datę, kiedy on był namalowany – na przełomie sierpnia i września ’80 roku – kiedy ci kopani byli jeszcze na swoim miejscu. Nie oznacza to, że chciałbym się usprawiedliwiać, jest to chyba błąd, ale ponieważ obraz ten powstał, chciałem go pokazać, a poza tym faktycznie takich obrazów nie znajduję. Może przed laty, bardzo wcześnie, kiedy wielu rzeczy nie rozumiałem, rzeczywiście powstawały obrazy, które były kopaniem leżącego, kiedy malowałem skutki, a nie przyczyny. Obecnie wydaje mi się, że sięgam do przyczyn, a ściślej mówiąc sięgam do rzeczywistości, która jest taka, jaka jest. Pojawia się tutaj niezmiernie złożony problem swego rodzaju niemocy wobec rzeczywistości, coś z czym spotykam się po raz pierwszy. Żeby nie wiem jak szybko reagować na to, co



Jerzy Duda Gracjusz

się dzieje, właściwie czujemy się niczym wobec rzeczywistości, która ciągle nas zaskakuje i wyprzedza.

– **Zatem twórczość jawi się jako ciągle zmaganie z rzeczywistością.**

– Tak. I ona, ta rzeczywistość, jest tak dalece polityczna, że jak patrzę na te obrazy, to faktycznie nawet nie mam prawa zaprotestować, jeżeli ktoś mi powie: „Panie, pan że się zrobił malarz polityczny”, bo rzeczywistość stała się polityczna. W tej chwili wszyscy są polityczni – od rozmów kolejkowych zaczynając, a na rozmowach szczebelkowych kończąc... Sądzę, że właśnie w tych obrazach, które – patrząc na nie powierzchownie, naskórkowo – mogą robić wrażenie dosłownej publicystyki, ukryte są jakieś ogólniejsze prawdy, które dotyczą w ogóle problemu człowieka.

– **Czy często zastanawiasz się nad pytaniem, które postawił profesor Jan Zygmunt Jakubowski [1905–1975]: „Dokąd, ale i skąd idziemy?”**

– Oczywiście, że tak, gdyż nie spaśliśmy z nieba. Myślę, że tworzymy jakiś dalszy ciąg kultury, z tym, że trzeba jeszcze do tej świadomości dołożyć sobie taki jeden ciężarek, który wcale nam lotów nie obniży, żeby mieć świadomość, że po okresach gigantów w sztuce, czy w ogóle w kulturze, przychodzą lata chude, i sądzę, że moje pokolenie do takich właśnie kurdupli jakościowych należy. Myślę, że dopiero na naszym nawozie, na naszych pomyłkach, na naszym gnoju, zaistnieją dzieła, które rzeczywiście będą dziełami na miarę czy tej epoki, czy końca XX, czy może XXI wieku, tak więc nie należy mierzyć zbyt wysoko. I nie jest to jakaś tam skromność, przypuszczam, że jest to już świadomość.

– **Jak odbierasz własną sławę? Wydaje mi się, że w pewnym momencie dla Ciebie była ona zaskoczeniem.**

– Uważam tylko, żeby z tego wszystkiego nie zgłupieć i w dalszym ciągu



Jerzy Duda Grac otrzymuje dyplom i medale XXV-lecia Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Warszawie

być człowiekiem. To znaczy – mieszkam w bloku, chociaż bym nie musiał, nie mam własnego samochodu, to są te zasadnicze sprawy, żeby być z ludźmi, mieszkać i żyć normalnie. Pracuję jak urzędnik, ponieważ żyjemy w takich czasach, że inaczej się nie da. Moje malowanie wymaga akurat dużo czasu i dużo świętego spokoju. W związku z czym na wiele zaproszeń i do udziału w wystawach, czy innych imprezach nie odpowiadam, nie dlatego że mi szajba odbiła, czy woda sodowa uderzyła, tylko na malowanie trzeba mieć bardzo dużo czasu. Wymaga to skupienia, wyłączenia się z wielu rzeczy. Dzielać życie między rodziną a malowanie obrazów, właściwie już mi na nic tego czasu nie zostaje. Jeżdżę w góry, żeby malować te, tak zwane inne, serdeczne, ciepłe obrazki, które zapewne za parę lat pokażę.

– **Co ukształtowało Twą osobowość, jako artysty plastyka, twórcy, malarza? Wiem, że Częstochowa...**

– Tak, ale nie tylko. Moją osobowość uformowała – wówczas jeszcze nieświadoma – wierność sobie, konsekwencja, której posiadania przed laty nie byłem świadomy. Po prostu miałem tę nachalną chęć mówienia o sobie, może inaczej: mówienia przez siebie, a więc w sposób subiektywny mówienia o ludziach do drugih ludzi. Tak mi się życie układało, że zawsze interesowała mnie pewnego rodzaju drugorzędność, chociaż zawsze marzyła mi się pierwszorzędność. I okazało się, że drugorzędność jest rzeczą wspaniałą, ponieważ pozwala zwrócić uwagę człowieka na rzeczy niedostrzegane przez innych. Sięgnąłem po formy zdeprecjonowane, a więc to gadulstwo w sztuce, które już od wieków nigdy nie miało racji bytu, sięgnąłem po jakieś sprawy z marginesu, po pewne regionalizmy, a więc te wszystkie rzeczy, które nie mogły być pierwszorzędne, a jednak okazało się, że są tam rejonny godne ob-

serwacji, warte zajęcia się nimi w sposób szczególny. I wreszcie sięgnąłem później po sprawy właściwie raz na zawsze skazane na niepowodzenie, po próbę znalezienia kontaktu z ludźmi. I okazało się, że ci, co w ogóle nie chodzą na wystawy, na te wystawy przychodzą, i jakoś ich to obchodzi. Oburzają się na te obrazy, czują się dotknięci, inni piszą w książkach uwag słowa otuchy i wydaje mi się, że właśnie to jest chyba to, o co chodzi.

– **Czy namalowałeś już dzieło swojego życia?**

– Co ja mam Ci odpowiedzieć? Tytjan [ok. 1488–1576] – jak umierał miał prawie dziewięćdziesiąt lat – sam Tytjan, zamiast myśleć o zbawieniu skamlał: „Dajcie mi pędzel, nareszcie wiem, jak mam malować!”. To, co ja mam mówić...

– **Ale, czy to dzieło już jest?**

– Pewnie nie? Jest to zapewne sprawa świadomości i wiedzy. Im więcej wiesz, tym bardziej głupiejesz od tej wiedzy, która coraz bardziej pęta, coraz częściej zawaha się ręka, coraz więcej jest zahamowań. Ale gdybym doszedł do wniosku, że już zrobiłem dzieło życia, to przecież byś w ogóle ze mną nie rozmawiał Adamie. Ja już pracowałem w Ministerstwie Kultury i Sztuki, zamiast malować obrazki...

– **Mając kontakt z najmłodszą generacją twórców, co byś poradził komuś, kto jest na początku drogi artystycznej?**

– Myślę, że wystarczy być sobie wiernym, nie wstydić się siebie. Każdy oczywiście to musi przejść. Zawsze w pewien nieświadomy sposób chciałoby się być kimś, nie przychodzi człowiekowi do głowy po prostu być sobą, i to jest to najwspanialsze, co może się w życiu przydarzyć, to jest ta najcudowniejsza przyгода...

Rozmowa została przeprowadzona w Galerii BWA „Piwnice” w Kielcach, w listopadzie 1981 r.

Adam A. Zych – psycholog, pedagog, poeta, tłumacz, profesor nauk społecznych. W 1991 roku był stypendystą Northwestern University. Gościnnie wykładał na Uniwersytecie w Gießen (1987 i 1988), Uniwersytecie Wiedeńskim (1995) i na Europejskim Uniwersytecie Viadrina (1996). Obecnie związany jest z Dolnośląską Szkołą Wyższą we Wrocławiu. Jego zainteresowania badawcze obejmują gerontologię społeczną, pedagogikę starzenia się i starości oraz psychologię religii. Jest autorem artykułów w „Pro Memoria”, „Sztuce”, „Ikarze” i „Świętokrzyskim Kwartalniku Literackim”. Opublikował kilkanaście tomików wierszy, również w językach angielskim i niemieckim.



Pamięć i rana, czyli o spotkaniach na granicy śląsko-litewskiej (cz. 2)

Człowiek nie ma prawa do przemocy
Z Konstytucji Republiki Zarzeczca



JACEK KUREK KAMIEŃ DROGOCENNY

Ślązacy i Litwini o tyle mogli odnosić kulturowe zwycięstwa, o ile potrafili przełamać lęk przed nieogojoną się raną, stygmatem tożsamości i potrafili oswoić się z nieuchronnością historii, prawdy o pograniczu jako przestrzeni ich życia, współistnienia z Innym. Rana tożsamości jest jak znamię – rekomenduje prawdę o człowieku Pogranicza. Ta rana najpewniej długo jeszcze pozostanie niezagojona, otwarta, ale właśnie dlatego staje się rzeczywistym źródłem prawdy. A zatem... „pod ciosem zaczynają dusze rosnać [...]”. To prawdziwy początek kulturowej siły ziem takich jak Górny Śląsk i Litwa, a więc przestrzeni spotkania. Tutaj spotykali się ludzie wielu języków, wyznawcy różnych religii, przybywający z najrozmaitszych stron. Tutaj znajdowali dom i żyli, przynależąc do różnych państw, nie zawsze zgodnie z pragnieniami czy osobistymi wyborami. Na Śląsku zderzały się nieraz przeciwstawne wartości, a człowiekowi tu zamieszkałemu trzeba cierpliwie, mozolnie kształtować w sobie świadomość konsekwencji życia na Pograniczu. Geopolityczne położenie Śląska i Litwy wyznaczało charakter życia ich mieszkańców, wywierało też głęboki wpływ na jego temperaturę i jakość. Stawało się nieraz źródłem nieszczyśnię, ale bywało także przyczyną odkrywania i doświadczenia piękna. Pogranicze to miejsce spotkania, więc także skarb tych ziem, ich siła i znacząca część urody, zarazem wartość integralnie związana z cierpieniem. Owocem wartości spotkania była na Górnym Śląsku i na Litwie naturalna zdolność do uznawania odmienności, umiejętność współistnienia bez względu na język, religię, korzenie, wyznawane poglądy czy kierunki, z których się przybywało.

Pamięć, cierpienie (rana), spotkanie i zachwyty nad pięknem... Te wartości nade wszystko były u źródła, z których czerpią mieszkańcy Śląska i Litwy. Pamięć o przeszłości, o korzeniach, wierność tradycji... Ale także cierpienie, które – jak już to sugerowałem – rodzi męstwo, pozwala wznosić się, trwać, szlifuje człowieka jak drogocenny diament. Na marginesie przypomnijmy jak ważna to dla Śląska metafora. Diament wszak to regularna odmiana alotropowa pierwiastka węgla i zarazem najcenniejszy

kamień szlachetny (o tym dowiadujemy się nawet z podręcznych encyklopedii). A węgiel był oczywistym skarbem tej krainy, jej czarnym złotem, najprawdziwszym diamentem, przyczyną oszalałającego sukcesu w XIX stuleciu. Śląsk był (zresztą nie tylko z tego powodu), przez państwa, którym podlegał, traktowany jako perła w koronie. O tę drogocenną perłę nieraz toczono krwawe wojny, nie licząc się w ogóle z mieszkającymi tu ludźmi. Zwycięzcy bez oporu potrafili najbardziej przedmiotowo traktować miejscową ludność. Jednak nawet owa bolesna pamięć winna usposabiać do wypełnienia kulturowego powołania. Pielęgnowana pamięć o przeszłości sprawia, że życie człowieka mogą przepajać nadzieja i zachwyty. Zdolność do pamiętania określa to, kim jesteśmy. Na Śląsku i na Litwie, które wielokrotnie zmieniały przynależność państwową, żyli obok siebie – Niemcy, Polacy, Czesi, Żydzi, Rusini, Litwini, Karaimi i wielu innych. We wspomnieniowej książce Antona Oskara Klausmanna opublikowanej po raz pierwszy w Berlinie w 1911 r., czytamy m.in.: „Dla każdego miłującego pokój człowieka krzepiące było oglądanie każdej soboty w hotelu Wienaera w Katowicach protestanckiego pastora, katolickiego księdza i żydowskiego rabina, skupionych przy grze w szkatki i słuchanie, in jak grzeszny sposób ze sobą rozmawiali ci trzej duchowni, którzy zwracali się do siebie zawsze per: Panie bracie na urzędzie”.

Śląsk i Litwa – powtórzmy raz jeszcze – są miejscem spotkania rozumianego w kategoriach filozoficznych i kulturowych, zatem takiego doświadczenia, które dokonuje się między osobami i pozostawia trwałe, dobry ślad.

Perły... czarne diamenty

Węgiel i diament to drogocenne kamienie, ale w odniesieniu do Górnego Śląska to także źródła znaczących metafor. Metaforą jest także określenie „perła w koronie”. Mający premierę na początku 1972 r. film Kazimierza Kutza pod takim właśnie tytułem *Perła w koronie* był drugą po *Soli ziemi czarnej* (premiery w roku 1970) słynną śląską opowieścią o latach powstań i czasie po nich następującym. Tematem *Perły w koronie* jest miłość młodych małżonków wpisana

w dramat strajku górników protestujących przeciw zamknięciu kopalni. Film zasłynął z baśniowego wręcz przedstawienia śląskiego obyczaju i śląskiej rodziny. Podczas jednak, gdy w *Soli ziemi czarnej* powstańcy heroicznie walczą o wolną Polskę i o Śląsk w obrębie jej granic, w rozgrywających się kilka lat później wydarzeniach *Perły w koronie* odczuwają już głębokie rozczarowanie wywalczoną przez siebie rzeczywistością. W roku 1973 Kazimierz Kutza powiedział: „W gruncie rzeczy mamy w tym filmie układ jak gdyby z okresu plemiennego: ognisko rodzinne, dom, osiedle, drogę do miejsca, w którym mężczyźni, w ekstremalnych nieraz warunkach próbują wydrzeć naturze jej skarb. Toteż odnosi się miejscami wrażenie, że jest to utwór wyraźnie archaizowany, chociaż takie struktury istnieją w rzeczywistości po dziś dzień. Jest to niezwykłe piękne, ponieważ dowodzi, że pewne wartości, do których człowiek doszedł w dawnych czasach, nadal pozostają probierzem świata, aktualnym i ciągle przynoszącym ludziom korzyści”. Inaczej mówiąc, to nadal piękna, jasno lśniąca niegasnącym blaskiem perła w górnośląskiej koronie.

Zachwyty

Przejmujące słowa kardynała Josepha Ratzingera o „zranieniu strzałą piękną” jako źródło prawdziwego poznania sięgają intuicji wyrażonych jeszcze przez Platona i ogłaszają fundamentalną prawdę o znaczeniu sztuki i estetyki. Zranieniu towarzyszy ból, piękno – cierpienie.

Myśląc o Górnym Śląsku i o Litwie, tej wartości nie można stracić z oczu. Doświadczenie piękna szlachetnego i prostolinijnego, prostego, piękna podniosłego – w całej jego bogatej złożoności – tworzy integralną część górnośląskiej tożsamości. Zarówno krajobraz, jak i etyczny oraz estetyczny wymiar górnośląskiego domu, górnośląskiej liturgii, liturgii wyjść i powrotów (tu, tak samo jak nad morzem, z obawą i nadzieją zegnano wychodzących i niecierpliwie czekano każdego, nawet gołębiego, powrotu), a także głębokie rozumienie piękna pracy, szacunku do niej, stanowią istotną treść etosu wychowania, etosu życia na Śląsku. Rodzi się więc on również z zachwyty.





Ks. JERZY SZYMIK

Tadeuszowi Kijonce

VIOLA D'AMORE

International Viola d'Amore Society
organizuje
International Viola d'Amore Congress.
Trwa *Concert XX, the closing event,*
w Lusławicach, Poland.

Lorenziti, Hoffmeister, Stamitz.
Sonata, Quartetto, Concerto.
Allegro, Andante, Adagio.

Słucham.

Widzę
plamy i wgniecenia na marynarce dyrygenta,
żyłaki kontrabasistki,
brzuszek skrzypka.
Muzyka jest bowiem duchem
mieszkającym w ciele:
tu szarpane jelita zwierząt,
tu trzepot anielskich skrzydeł,
terkot blachy, powietrze nabrzmiałe
krwią.
Wybuchy człowieczeństwa,
białe koszule na kałużach potu.
W dłoniach *cello* i *viola pomposa*.

Święto
żywych, umarłych, wskrzeszonych.
Radość Boga,
że dobre wszystko, co stworzył

Lusławice, 18 czerwca 2016 r.

SŁOWACKI I JA PISZEMY LIST DO MATKI SALOMEI

w Krzemieńcu mocno bije mi serce:
mamy obaj ze Słowackim matki o imieniu Salomea
i, być może, podobnie srebrne sny.
I słailiśmy do naszych matek listy, zewsząd.

To nas najgłębiej łączy, choć różni wiele.
Łączy też matka polszczyzna
i predylekcja do zapachu tymianku:
w trawach ukraińskiego stepu,
w trawach przykopalnianych nieużytków.

To niemało

Krzemieniec, 9 lipca 2016 r.

SICUT LILIUM INTER SPINAS

Cantores Varmienses
śpiewają w olsztyńskiej katedrze
sicut lilium
sicut lilium
sicut lilium inter spinas

czternastowieczny kościół ocalał,
bo kaukaskich nastolatków
w styczniu 1945 roku proboszcz
Jan Hanowski miał przekupić
czterema wiadrami bimbru

nawet jeśli tak nie było,
to dobrze wymyślone i z mocną
teologią w tle: Bóg pisze prosto na liniach
krzywych a Jego proste drogi nie są naszymi
krzywymi, ale i po nich umie chodzić

z gotyckiej ściany, z portretu,
spogląda tu na nas kardynał
Hozjusz, który na Soborze Trydenckim
uchwalał kształt formacji seminaryjnej
katolickiego kleru w formie,
która przetrwała do dziś

błogosławiona bądź formacja
i zaradności katolickiego kleru
sicut lilium inter spinas

dzięki niej, tego wieczoru,
liliokształtne kantorki
i podobni do świętego Józefa kantorzy
mogą pod średniowiecznym sklepieniem
wielbić Najwyższego.
Odurza już jedynie czysta muzyka
wydestylowana z ludzkich dusz i gardel

sicut lilium
sicut lilium

Olsztyn, 7 listopada 2016 r.

MUZYKA JAK ŻELAZO

Bóg wypalił moje zło jak żelazem.
Ból był krótki, straszny, do wytrzymania,
upragniony. Radość – doskonała.

Ale muzyka: ta jest z wysoka.
Już ta z ptasich gardel każe patrzeć w górę.
A co dopiero te grzmoty organ...

Czerwiec 2015 r.





PERIZONIUM. DLA GILDII KUSZNIKÓW¹

być flamandzkim malarzem
w niewielkiej pracowni
i malować dla gildii kuszników

na przykład kimś jak
Rogier van der Weyden
i malować dla gildii kuszników

drapować szaty,
przetykać bisior złotem,
malować jasną ciemność,
wygięte ciało Magdaleny
jak wygięte ciało kusznika,
ukazywać wstyd, zwiastować rozkosz,
malować brzemienną pokutnicę,
zmysłową Niderlandkę
w sznurowanej sukience
z weneckiego brokatu

żyć w Leuven
umrzeć w Brugii,
malując dla gildii kuszników

nakładać białe perizonium
na ciało Jezusa,
malować ciemną jasność,
biel bez żadnego mroku,
nieskalaną krwią własną ni cudzą,
ani brudem ziemi,
krucyfiks z szafirami,
wzorzystą purpurą,
srebrną blachą Piłata.
A sobie

pozostawić jedynie
miłość Chrystusa,
malując dla gildii kuszników

Olsztyn/Pszów,
8 listopada 2016 r. – 14 lutego 2017 r.

WYKONAŁO SIĘ. O SZTUCE

Es ist vollbracht.

Skąd sztuka? Jakiej są jej źródła?

Pierwszym jest doświadczenie miłości, które jako wstrząs, jako otwarcie nowego wymiaru życia, pobudza do wyrażenia siebie w nowy sposób.

Drugim jest doświadczenie smutku z powodu śmierci, bólu i wszelkich otchłani istnienia, które otwiera ją – w przeciwnym kierunku niż miłość – nowe wymiary rzeczywistości.

Trzecim jest spotkanie z tym, co Boże. Tu najbardziej pojawia się nowe i inne, Ktoś Zupełnie Nowy i Inny, którego tajemnica dotyka nas także w miłości i smutku, tak że dotknięcie przez Boga stanowi zasadnicze źródło sztuki².

Za kaplicą Świętego Krzyża na przykościelnym starym cmentarzu okalającym Bazylikę w Pszowie znajduje się od co najmniej 150 lat wstrząsająco piękna czarna kamienna rzeźba Ukrzyżowanego Chrystusa z tajemniczym, nieczytelnym od wielu dekad napisem, prawie startym i zniekształconym przez czas, słońce, deszcz, wiatr i śnieg.

Kilka miesięcy temu udało się nam te słowa rozszyfrować: *Es ist vollbracht* – tak brzmi napis w niemieckim gotyku. Czyli: *tetelestai* w oryginale ewangelicznej greki, „wykonało się” (J 19,30).

Trzeba podkreślić, że greckie *poiein* – uprawiać poezję, szerzej: sztukę; stąd „poezja” i „poeta” – znaczą pierwotnie: wykonywać, robić, tworzyć.

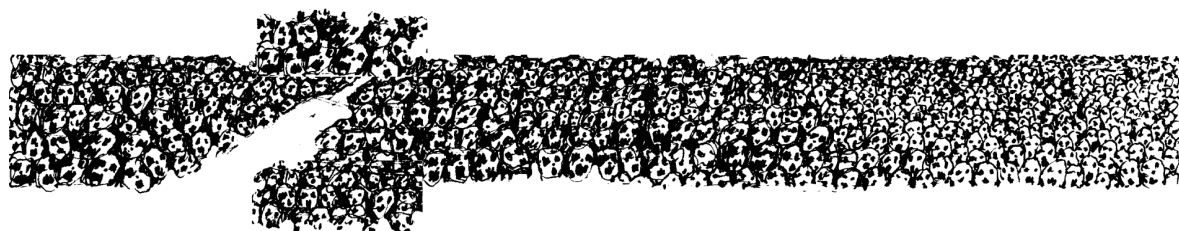
Es ist vollbracht.

Zaiste: w tym punkcie, na szczycie Golgoty spotykają się osoba i dzieło Chrystusa z odpowiedzią na pytania o pochodzenie i istotę sztuki. Zaiste: tu nastąpiło najpełniejsze w dziejach świata „wykonanie” sztuki życia – wstrząsu doskonałej miłości, otchłannego smutku śmierci i doświadczenia Boga (Jego obecności i nieobecności).

Zachodzę w to miejsce na pszowskim cmentarzu często.

Wykonało się.

Pszów, 10/11 lutego 2017 r.

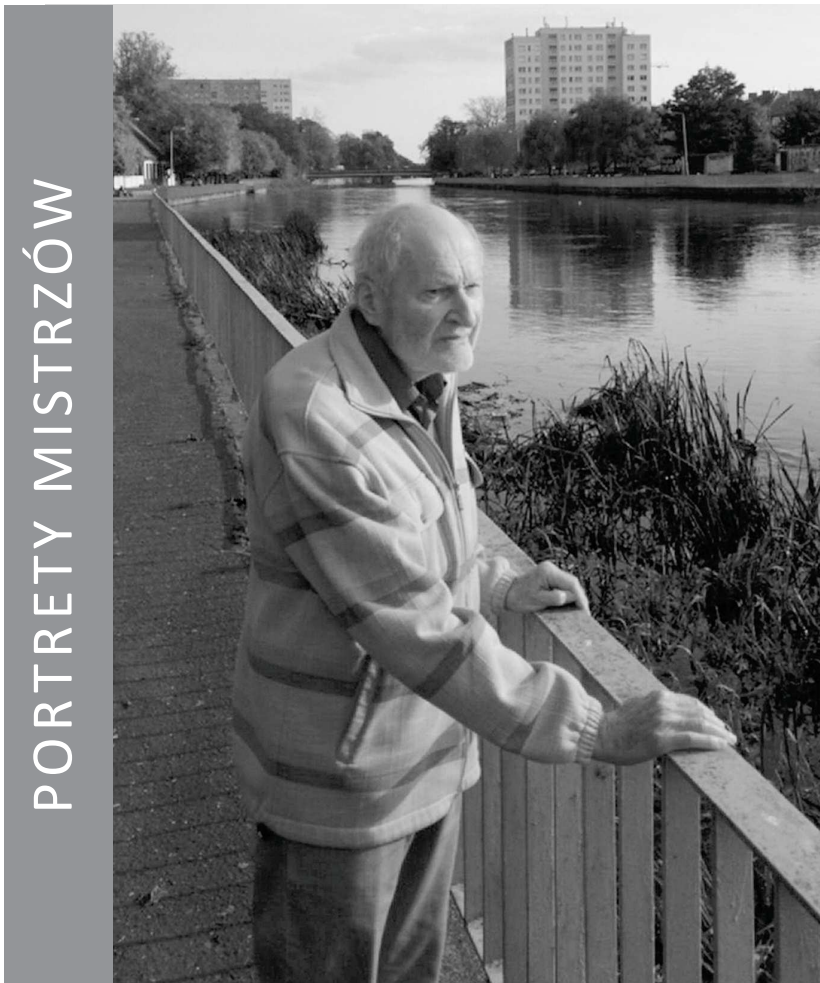


Rys. Wojtek Łuka

¹ Prof. dr hab. Urszuli Mazurczak dziękuję za wykład i inspirację.

² Por. przesłanie Benedykta XVI z ok. przyznania mu doktoratu h.c. Akademii Muzycznej w Krakowie i Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie, 4 lipca 2015 r.





Profesor Stanisław Gębala

MARIAN KISIEL

Urodził się 15 kwietnia 1940 roku w Wilkowicach i przez blisko siedemdziesiąt lat związany był z Podbeskidziem. Kilka lat temu przeniósł się do Kołobrzegu, by stamtąd tęsknić za górami. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Wrocławskim, ale swoje losy wiązał – w różnych latach – ze środowiskami akademickimi Rzeszowa, Katowic, Krakowa, Bielska-Białej. Debiutował w 1964 roku na łamach „Odry”, dając się poznać jako krytyk wnikliwy i bezkompromisowy w sądach. Od tamtego czasu opublikował pięć książek i kilkaset szkiców i recenzji.

Swoją uwagę Profesor poświęca zarówno krajowej, jak i emigracyjnej

twórczości prozatorskiej, dramatycznej, eseistycznej i diarystycznej. Przy niebywałym rozwoju świadomości literackiej w ostatnich latach, świadectwo aktywnej lektury tekstów badacza jest wymiernym śladem jego wkładu do literaturoznawstwa i krytyki literackiej. Jest to ślad wyraźny, zaznaczony osobowością uczonego, jego erudycją, interpretacyjną pomysłowością, a także głębokim rozumieniem kanonu literatury oraz miejsca utworów mniejszej rangi w różnych układach kultury.

Stanisław Gębala przez wiele lat badał twórczość trzech wybitnych postaci polskiej literatury XX wieku: Witolda Gombrowicza, Tadeusza Różewicza

i Sławomira Mrożka. Wszystkie jego książki przynoszą studia o tych pisarzach, zasadniczo także skupiają się one wokół dramaturgii oraz wypowiedzi metakrytycznych. Wierność teatrowi jest tutaj współdzielona z wiernością diarystyce i esejowi, a wzajemne powinowactwo odmiennych typów wypowiedzi pisarskiej uzasadnione jest ich artystyczną i światopoglądową korespondencją.

Pierwszą swoją książkę badacz poświęcił dramaturgii autora *Kartoteki* (*Teatr Różewicza*, 1978); druga przynosiła szkice m.in. o Gombrowiczu, Różewiczu, Mrożku, Bryllu (*Wśród sztyrców i gdzie indziej*, 1981); trzecia (*Odpowiedzialność za słowo*, 1993) dopełniała obrazy wcześniejszych obserwacji badawczych również o literaturę emigracyjną; czwarta (*Teatralność i dramatyczność*, 2005) koncentrowała się znów na dramacie Różewicza, Mrożka i Gombrowicza; piąta wreszcie (*Wokół eseju*, 2007) zgromadziła studia i szkice o krajowej i emigracyjnej twórczości eseistycznej po II wojnie światowej.

A zatem: obok rozważań nad teatrem i dramatem kilku ostatnich dziesięcioleci, głównej fascynacji naukowej i krytycznej Stanisława Gębala, mamy do czynienia z refleksją nad historią form prozatorskich i poetyckich przeszłego stulecia, obok studiów nad esejem – wielopłaszczyznowe rozważania nad losami krytyki literackiej dawniejszej i najnowszej. To wszystko wprzęgnięte zostało nadto w tygiel kraju i emigracji polskiej po II wojnie światowej. *In effectu* piśmarstwo naukowe i krytyczne Gębala uwyrażnia z niesłychaną konsekwencją i w sposób przejrzysty zmienne koleje narodowej twórczości w drugiej połowie XX wieku, tj. w czasie rozmaitych rewolucji nie tylko w wymiarze polityczno-ideologicznym, ale także – co dla nas chyba najistotniejsze – artystycznym.

Gdybyśmy chcieli opisać dwoma wyrazami ten dorobek, zapewne musielibyśmy sięgnąć do znanego klucza Wielkich Nazwisk. Stanisław Gębala uznał, że szkoda czasu na zajmowanie się zagadnieniami marginalnymi dla historii polskich form literackich, i że należy z uniwersum doświadczeń historycznych i artystycznych stawiać na takie zjawiska, których siła trwania w sposób niepodważalny stanowi o wadze i odkrywczoci naszej kultury. Dlatego w centrum swoich zainteresowań ustawił trzy postacie: Witolda Gombrowicza, Tadeusza Różewicza i Sławomira Mrożka. Ta kolejność nie odsłania wszakże prawdziwej fascynacji krytycznej i badawczej Profesora i nie oddaje całkowitej prawdy o nim. Pisał przecież także m.in. o Erneście Bryllu, Leonie Kruczkowskim, Wilhelmie Machu, Stanisławie Piętaku, Wisławie Szymborskiej (to w obszarze literatury krajowej), czy Andrzeju Bobkowskim, Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Czesławie Miłoszu, Jerzym Stempowskim, Stanisła-

wie Vincenzie i Józefie Wittlinie (to w obszarze literatury emigracyjnej). Jeśli do tego zestawienia wypowiedzi o Wielkich Nazwiskach dodać prace o Nazwiskach Pomniejszych (tutaj głównie recenzje i felietony), to ujrzymy wizerunek krytyka/badacza literatury polskiej o niebywale dociekliwym i uważnym umyśle. Warto o tym pamiętać, sumując dostępne nam Jego studia i szkice.

Naukowy wizerunek Profesora określają jednakowoż – jak to już zostało powiedziane – postacie Gombrowicza, Różewicza i Mrożka. Jego magisterium poświęcone było Mrożkowi, doktorat – dramaturgii twórcy *Kartoteki* (1978: *Teatr Różewicza*), książka po doktoracie – w swoich największych partiach – Gombrowiczowi i Mrożkowi (1981: *Wśród szyderców i gdzie indziej*), trzeci z kolei tom – wszystkim popołu (1993: *Odpowiedzialność za słowo*). Konsekwencja badawcza, stałe dopisywanie do wcześniejszych interpretacji myśli nowych, a wreszcie stwarzanie nowego kontekstu dla podejmowanych wcześniej prób naukowej racjonalizacji zjawisk, świadczą o Stanisławie Gębali jak najlepiej. To niebywale krytyczny, dociekliwy i uczciwy w swoich analizach uczony, którego stałą troską jest pytanie o sens, znaczenie i istotę podejmowanej refleksji humanistycznej.

Wymienione przeze mnie książki wyrosły nie tylko z intencji pogłębiania naszej wiedzy. Gębala, który (wśród uczniów średniego już pokolenia) zasłużenie cieszy się sławą znakomitego nauczyciela (nie tyle dydaktyka, co Mistrza dydaktyki), wszystkie swoje prace pisał ze świadomym zamysłem metodycznym. Stąd jego szkice, eseje, felietony i recenzje, każdorazowo konstruowane według najlepszych wzorów eksplikacyjnych, mieszczą się w ważnym nurcie humanistycznej refleksji: odnawiania i/lub dopełniania znaczeń już na obszarze polonistyki funkcjonujących, poniekąd w swoim długim trwaniu zastępych i okrzepłych w powszechnej recepcji. Owo „odnawianie” *sive* „dopełnianie” znaczeń jest absolutnym wyróżnikiem lektury krytycznej, uprawianej przez Profesora od kilkudziesięciu lat. Omówmy ją szerzej.

Pierwsza (doktorska) książka Stanisława Gębali poświęcona została teatrowi Tadeusza Różewicza. Podkreślić należy, iż była ona pisana nie tylko w niezwykle twórczym okresie autora *Kartoteki*, ale i w czasie, który był dla niego również skomplikowany od strony recepcji krytycznej. Książka ta wyznaczyła na wiele lat model lektury dzieł Różewicza, a przy okazji uzmysłowiła środowisku literaturoznawczemu, że poszukiwanie sensów tekstu literackiego nie opiera się tylko na lekturze własnej, ale także na rozmaitych „dodatkach”: opiniach recenzyjnych, sugestiach interpretacyjnych, dopowiedzeniach osób trzecich. Stanisław Gębala nie jest czytelnikiem

naiwnym, w efekcie każde ze stanowisk obwarowuje znakiem „nieufności”. Drażny nawet tam, gdzie niekoniecznie musi szukać. Jest jednakże przy tym uczciwy i – nierzadko pomimo odmienności przekonań – lojalny wobec sugestii oponentów. To sprawiło, że *Teatr Różewicza* od razu wszedł do grupy polonistycznych opracowań kanonicznych, stale cytowanych przy okazji kolejnych prób interpretacyjnych twórcy *Do piachu*.

Druża książka Gębali przyniosła w swojej zasadniczej części szkice poświęcone Gombrowiczowi, Różewiczowi, Mrożkowi (i w ogóle dramaturgii z kręgu „teatru absurdu”), a także Bryllowi i zagadnieniom literatury neoprodukcyjnej lat 70. Prawdopodobnie ostatnie dwa szkice tej książki były niekoniecznie do niej dodatkiem, ponieważ burzyły spójną całość, wszystkie jednak ukazały badacza jako nie tylko wnikliwego interpretatora teatru, ile także jako wyczułonego na swój czas krytyka społecznych uwarunkowań literatury. *Wśród szyderców i gdzie indziej*, czytane po trzydziestu sześciu latach, wciąż są zbiorem interesujących pomysłów i podpowiedzi, więcej: dalej prowokują do dyskusji. Ważne zwłaszcza są tutaj partie Gombrowiczowskie, ponieważ ukazują wielopostaciowy rysunek osobowości pisarza w momencie, kiedy jeszcze o nim zbyt wiele w krajowym piśmiennictwie nie napisano.

W tym samym duchu, co *Wśród szyderców...* sytuuje się trzecia książka Stanisława Gębali: *Odpowiedzialność za słowo*. Ma ona strukturę dwudzielną, składają się na nią szkice i felietony, ogłaszane zasadniczo po roku 1980. Większą część stanowią tutaj teksty poświęcone dokonaniom emigracyjnym, ale samą książkę można traktować jako dopełnienie obrazu literatury już przez badacza zarysowanego wcześniej. Nie jest to więc w prostym tego słowa znaczeniu „zbiór szkiców”, lecz – napisany w sposób charakterystyczny dla lat 90. przeszłego wieku – zbiór „fragmentów”. Owa „fragmentaryczność”, właściwa piarstwu krytycznemu, obnażając ułomności tradycyjnej historii literatury (toczono wtedy podobne dyskusje), podpowiadała przy okazji inną możliwość prowadzenia naukowego i popularnonaukowego dyskursu, tj. przez dopisywanie znaczeń obocznych, odnawianie funkcji przypisowej tekstu, „glossowanie”. *Ergo*: dyskurs jako *summa* fragmentów, notatnik zamiast syntezy o wyraźnie zarysowanej tezie.

Monografię *Teatralność i dramatyczność* Stanisław Gębala także utrzymał w podobnym tonie. Zamiast tradycyjnej monografii otrzymaliśmy zbiór komentarzy do twórczości trzech polskich dramaturgów, których obecność zaciążyła na obliczu narodowego, europejskiego i światowego teatru. Wybór konwencji glossariusza jest – w moim przekonaniu – chwytem znakomitym. Autor nie ukrywa się tutaj pod płaszczem utrwalonego w przeszłości sposobu lek-

tury, lecz próbuje na nowo odkryć sensy tekstów już kiedyś wielokrotnie opisanych.

Teatralność i dramatyczność tworzą trzy części. Pierwsza – poświęcona Gombrowiczowi – składa się z czterech szkiców, druga – o Różewiczu – z ośmiu, trzecia – o Mrożku – również z ośmiu. Istotą tych rozdziałów jest ukazanie dorobku dramatycznego/teatralnego trzech pisarzy w kontekście zarówno ich refleksji metakrytycznej, jak również w przestrzeni słowa i wyrazu, tj. relacji, które można sprowadzić do związków „Ja i Ty”. Profesor na tę kwestię zwraca szczególną uwagę, dokonując w swoim studium zdecydowanego rozróżnienia na „teatr Ja” oraz „teatr ‘Ja i Ty’”. Chodzi tutaj z jednej strony o dramaturgię ekspresjonistyczną, w której solipsyzm przedstawienia jest zasadą główną, z drugiej strony natomiast o, by tak rzec, „teatr Spotkania”, gdzie interakcje konkretnych osób są unieważnieniem koncepcji ekspresjonistycznych i odnalezieniem istoty rzeczy w związku bohatera dramatu (aktora) z odbiorcą (publicznością). Znakomicie obrazuje ten stan rzeczy część studium o Sławomirze Mrożku. Stanisław Gębala, wychodząc najpierw od zagadnień natury ogólnej, genologicznej i światopoglądowej, przypominając zasadnicze reguły organizacji scenicznego *universum* twórcy *Indyka*, z pasją i precyzją pokazuje jednoczesny kres dramaturgii *Ja* w *Rzeźni* i arcydzielność narodzin dramaturgii *Ja i Ty* w *Emigrantach*.

Niepodważalną zasługą Profesora, mimo niejednokrotnie dyskusyjności jego tez szczegółowych, jest ukazywanie poszczególnych twórczości i utworów w dialektycznym (dialogicznym) spieciu. Widać to np. w szkicach o teatrze Tadeusza Różewicza, gdzie kwestie wzniosłości i trywialności (szkic *Śmierci piękne i brzydkie*), czy spójności i rozproszenia formalnego (szkic *Od „Kartoteki” uporządkowanej do „Kartoteki rozrzuconej”*), nakładają się na koncepcje tradycyjnej i (po) nowoczesnej koncepcji dramatu. Owa dialogiczność dyskursu widoczna jest także w wielu partiach poświęconych Gombrowiczowi. Polega ona, najogólniej rzecz ujmując, na takim strukturyzowaniu opinii, której fundamentem są m.in. historia i los pojedynczy, tragizm postaw (wyborów) i groteskowość sytuacji. Stanisław Gębala – od pierwszych swoich publikacji – stale o te przeciwstawienia pyta. Dotyczą one podstawowych kwestii, charakterystycznych dla całego wieku XX. Opisuując (z wyłączeniem Witkacego) najważniejsze zjawiska teatralne tamtego stulecia, Profesor w istocie rzeczy skupia swoją uwagę na tym, co dla tamtej kultury centralne i peryferyjne jednocześnie.

O jednej rzeczy warto tutaj jeszcze wspomnieć: *Teatralność i dramatyczność* to studium pochylające się nad polskim rodowodem. Dialektyka inteli-

genckości (postawy arystokratycznej) i parafiańszczyzny (chłoptwa) wielokrotnie bywa tutaj zastępowana stylistycznymi figurami trwałości (przeszłości, tradycji, anachronizmu) i rozsypki (nowoczesności, która nie ma świadomości własnej pozycji). Stanisław Gębala zaznacza, że proces ten zaczął się już u Witkacego, a opisywani przez niego Gombrowicz, Różewicz i Mrozek są wiernymi lub marnotrawnymi jego kontynuatorami. W tym sensie opisywana tutaj książka z pewnością ma szansę na to, by stać się niebawem „rozsadnikiem” naukowej debaty.

Ostatni zbiór szkiców Profesora – *Wokół eseju* – posiada kompozycję wyraźnie kontrastową: otwiera go obszernie opracowanie zatytułowane *Eseistyka społeczno-filozoficzna i refleksje o kulturze*, które ma charakter szerokiej panoramy obejmującej głównie trzy powojenne dziesięciolecia (lata 1945-1975), po czym następują jakby trzy zbliżenia twórczości eseistycznej Józefa Wittlina, Witolda Gombrowicza i Andrzeja Bobkowskiego. Książkę zamyka kolejna panorama, ukazująca eseistykę krytycznoliteracką, która nierzadko inspirowała najważniejsze dyskusje o stanie naszej literatury i naszej zbiorowej kondycji.

Pierwszy szkic mocno zarysowuje najważniejszą linię podziału literatury polskiej tamtego okresu – na jej część krajową i emigracyjną. Być może właśnie w eseistyce ta linia podziału była najbardziej wyrazista; w każdym razie ograniczenia wolności słowa, cenzura, czyniły w kraju szczególne spustoszenia w tej dziedzinie twórczości, podczas gdy na emigracji rozwijała się ona wyjątkowo dynamicznie.

Refleksja „wokół eseju”, którą proponuje autor, obejmuje krąg najważniejszych zbiorowych doświadczeń, jakie stały się naszym udziałem w XX wieku. Interesują go najwnikliwsze werbalizacje tego doświadczenia, formułowane w warunkach pełnej swobody wypowiedzi i pełnej odpowiedzialności za słowo. Tak mogli się wypowiadać tylko pisarze na emigracji – Vincenz, Stempowski, Wittlin, Gombrowicz, Miłosz, Bobkowski. W kraju natomiast drastyczne w pewnych okresach ograniczenia wolności słowa zmuszały ludzi pióra do prowadzenia najrozmaitszych gier z cenzurą, uprawiania słownej ekwilibrystyki i doskonalenia „języka ezopowego”. W miejsce wielkich tematów zakazanych pojawiały się nieuchronnie tematy zastępcze.

Autor wyraźnie podkreśla, że ta zasadnicza odmiennosc warunków, w jakich rozwijała się literatura w kraju i na emigracji, przynosiła niekiedy dość zaskakujące rezultaty. Do bardziej zadziwiających fenomenów trzeba zaliczyć np. wysoką rangę krytyki literackiej w kraju i jej wyraźny niedorozwój na emigracji. O ile wytłumaczenie przyczyn dominacji krytyki literackiej w okresie socrealizmu wydaje się stosunkowo proste, o tyle trudniej zrozumieć długo-trwałość tego zjawiska, obejmującego

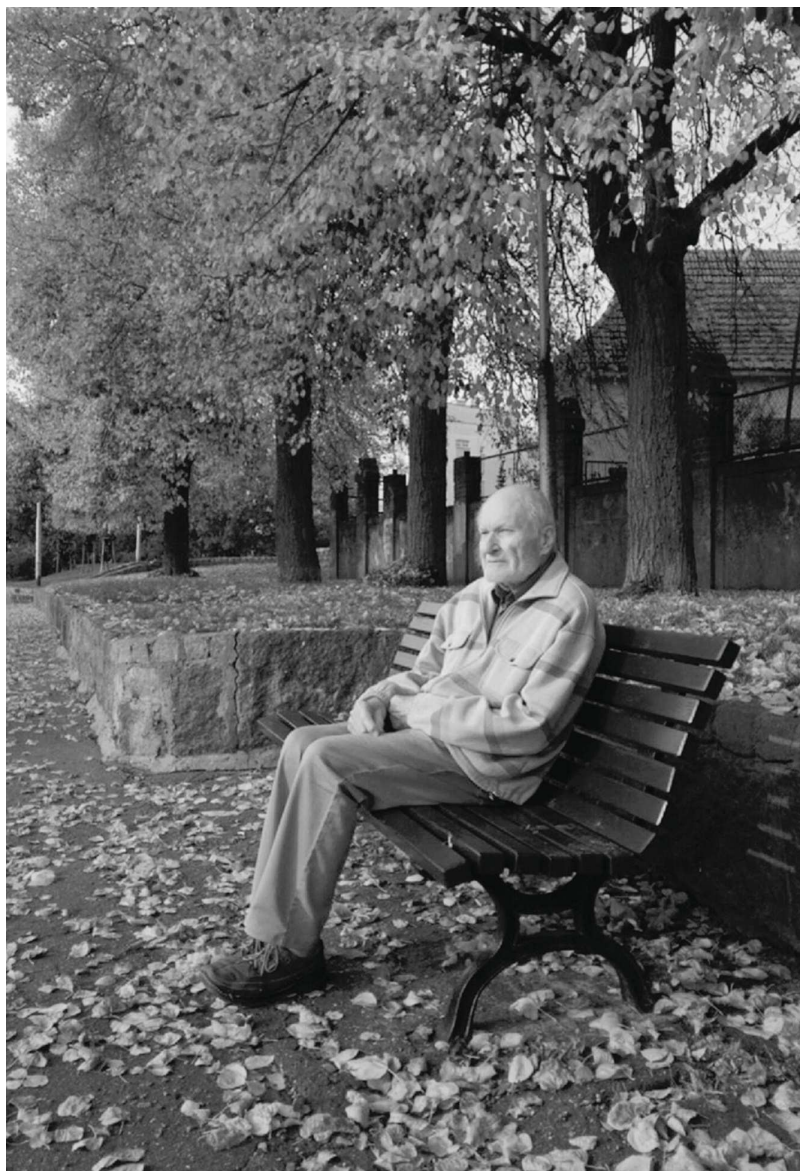
właściwie cały okres PRL-u. A już najtrudniej zrozumieć fakt, iż krytyka czasami deprecjonowała „literaturę piękną”, tak jak robił to np. jeszcze na początku lat 70. Andrzej Kijowski, który pisał: „Literatura piękna nic nie załatwi. Trzeba pięknego, mądrego piśmiennictwa filozoficznego i moralnego”.

Stanisław Gębala pokazuje w jaki sposób eseistyka skutecznie te anachroniczne podziały przecierała, co przez krytykę zostało w końcu dostrzeżone i nazwane eseizacją literatury. W drugiej połowie XX w. zaczęła się prawdziwa „inwazja eseju”. Nie zamilkły jednak głosy krytyków domagających się wielkiej powieści-zwierciadła zachodzących przemian, którzy współczesną twórczość literacką przyjmowali jako namiastkę – produkt zastępczy „zamiast powieści”.

Teksty zawarte w zbiorze *Wokół eseju* są lekturą z czasów, gdy literatura emigracyjna posiadała jeszcze smak zakazanego owocu. Taki charakter ma np.

szkic zatytułowany „*Dziennik*” *Gombrowicza – problemy autokreacji*, napisany równo przed czterdziestu laty, a opublikowany w roku 1977. Wszystkie natomiast są świadectwem autentycznej fascynacji autora, który nigdy nie przyjmował postawy badacza literatury-ppełnej dystansu.

Pięć opublikowanych książek, kilkadziesiąt rozpraw i artykułów w ważnych i renomowanych tomach zbiorowych, a także wiele, liczących ponad setkę recenzji i felietonów literackich, utwierdziły przekonanie o znakomitej pozycji Stanisława Gębali jako historyka literatury polskiej XX wieku, interpretatora jej dzieł kanonicznych, wreszcie jako uważnego i czujnego obserwatora i krytyka dokonań najnowszych. Ponad pięćdziesięcioletnia lektura literatury zaowocowała pięknymi i zasłużenie obfitymi plonami. Bez syntetycznych i analitycznych studiów Profesora trudno dzisiaj wyobrazić sobie kształt niektórych obszarów narodowej filologii.



Zdjęcie z arch. Stanisława Gębali



KRZYSZTOF ŚNIOSZEK

EPITAFIUM

poeta nie odchodzi
rozpięty na krzyżu
wielu znaczeń
kreślonym ręką
arcybiskupa seniora
zastygł w bezruchu
pomiędzy słońcem i ziemią
z której wyrasta ku niebu
rząd drewnianych paciorków
nut nanizanych na partyturę
wita stwosza
a pod nią kropka
jak łeb gwoźdźnia
do traumy
i ta akolada
beznamiętnie spinająca
początek i koniec...

Katowice, 7/8 sierpnia 2017

BRYNOWSKI LAMENT

twój brynów łka
łzy roni ukradkiem
madonna dudy-gracza
od rześistego szlochu
zanosi się sygnaturka
na wieży świętego michała
kutz pisze scenariusz
z tobą w tle
śmierć w brynowie
wybrzmiewa
mahlerowskie adagio
wolniejsze niż andante
ostatnie
takie...

Katowice, 10 sierpnia 2017

OSTATNIA WIECZERZA

wiersze
spożyły poetę
zachłanne rymy
toczą jeszcze
jego trzewia
osierocony przecinek
uwiąż w gardle
a świdrowe nuty
zanoszą do boga
radosny magnificat
ostatni akapit akord
właśnie wyzionął ducha
idźcie
ofiara
spełniona

Katowice, 8/9 sierpnia 2017



Rys. Wojtek Łuka





Z LUCYNĄ SMYKOWSKĄ-KARAŚ
rozmawia EDYTA ANTONIAK-KIEDOS

Fot. z arch. E. Antoniak-Kiedos



Dekada Kawiarenki

– Pierwsze dwa spotkania Kawiarenki Kulturalno-Literackiej odbyły się w Muzeum Historii Katowic pod nazwą „U Szafranka”. Jednak pozostałe wydarzenia organizuje Pani niezmiennie od 2007 roku w Bibliotece Śląskiej w Katowicach. Jakie były początki tej autorskiej inicjatywy? Skąd pomysł i siła, by przez tyle lat przygotowywać, a potem prowadzić rozmowy, wykłady, prezentacje w ramach Kawiarenki?

– 27 października 2007 roku to data pierwszego spotkania inauguracyjnego działalności Kawiarenki Kulturalno-Literackiej. Była nas wtedy tylko mała grupa, m.in. osoby, które bardzo mnie wspierały: red. Beata Tomanek, dr hab. Anna Gomółka i prof. dr hab. Stefan Zabierowski. W kawiarence Muzeum świętowaliśmy powołanie do życia mojej Kawiarenki, wybraliśmy dla niej stosowną nazwę. Rzeczywiście, jeszcze w tym samym roku, w grudniu, przenieśliśmy się do Biblioteki Śląskiej, gdzie pan dyrektor – prof. zw. dr hab. Jan Malicki okazał nam dużą przychylność i wyraził zgodę na comiesięczne spotkania.

Pomysł zrodził się podczas moich studiów na Uniwersytecie Śląskim. Byłam zafascynowana historią krakowskich i warszawskich kawiarni artystycznej bohemy, o których barwnie opowiadał prof. Stefan Zabierowski. Zamarzyło mi się znalezienie miejsca, gdzie można by było kultywować tradycje dawnych literackich spotkań, prowadzić żywe dyskusje. Po-

dzieliłam się moim pomysłem z Profesorem, inicjatywę pochwalili i przy jego poparciu uzyskałam zgodę i list – dokument podpisany przez Dziekana i grono naukowców Wydziału Filologicznego Uniwersytetu Śląskiego – z akceptacją mojego pomysłu i prośbą kierowaną do instytucji kulturalnych o pomoc w realizacji moich planów. Pismo rzeczywiście szybko otworzyło drzwi do Kawiarenki Kulturalno-Literackiej. Moje marzenia i plany szybko zamieniły się w pasję. Bardzo miłym gestem ze strony Uniwersytetu Śląskiego i wyróżnieniem było nominowanie mnie jako Absolwentki z Pasją w lutym 2016 roku do udziału w Plebiscycie Absolwent z Pasją 2016. Znalazłam się w pierwszej piątce.

– W czerwcu tego roku zakończył się 10 sezon działalności Kawiarenki. To świetna okazja do podsumowania i przeświadczenia tego, co się udało, co warto kontynuować, a z czym na nowo się zmierzyć. Na ile sprawdziła się formuła Kawiarenki? Jak Pani jako inicjatorka całego przedsięwzięcia podsumowałaby tę dekadę?

– 10 lat, 10 spotkań na sezon, a sezon – podobnie jak rok szkolny – rozpoczyna się we wrześniu i trwa do czerwca. Tematyka kawiarenkowych spotkań oscyluje wokół zagadnień związanych z literaturą, sztuką, muzyką, filozofią i historią, zwłaszcza historią Śląska. Myślę, że nazwa „kawiarenka” dobrze się kojarzy, trafia do szerokiego grona odbior-

ców. Podczas dyskusji goście częściej się ciasteczkami, kawą i herbatą, którą wcześniej sama zaparzęm. Z pewnością to również ma wpływ na atmosferę spotkań, na swobodnie prowadzone dyskusje. W pierwszych miesiącach działalności, tematy często podsuwali mi przyjaciele i sympatycy Kawiarenki. Dużym wsparciem była pomoc ze strony zaprzyjaźnionych wykładowców z Uniwersytetu Śląskiego, którzy okazali chęć wygłoszenia prelekcji podczas spotkania. Dość trudno dokonać podsumowań, chociaż każda okrągła rocznica tego się domaga. Trudno dlatego, że spotkania to pewien trwający proces, rozwijający się, wnoszący nową wiedzę, nowe spostrzeżenia. Kawiarenka ma swoje życie, w którym odzwierciedla się rzeczywistość, potrzeba omawiania spraw związanych z kulturą. O dokonanie podsumowania postaram się wtedy, gdy nadejdzie taki czas, że poproszę kogoś, by kontynuował za mnie spotkania. W rozpoczętym właśnie sezonie wszystkie spotkania w kalendarium mają już przydzielony temat.

– Powiedziała Pani kiedyś, że prawdziwych przyjaciół poznaje się nie w biedzie, ale gdy odnosi się sukces. Wtedy – jak mniemam – ujawniają się wszyscy zazdrońcy i osoby nieżyczliwe. Każdy tego typu projekt kulturalny wiąże się z pracą z wieloma ludźmi. Bez kogo – oczywiście oprócz Pani Doktor – nie byłoby Kawiarenki?

– Nie byłoby Kawiarenki bez tych wszystkich dobrych, życzliwych ludzi, których wymieniłam wcześniej. Bez zgody Pana Dyrektora na kontynuowanie spotkań w kolejnych sezonach, bez współpracy z Działem Promocji Biblioteki Śląskiej oraz bez pomocy pracowników Działu Zaplecza Technicznego. Kawiarenkę tworzą ludzie. Znane jest powiedzenie: mieć szczęście u ludzi. Mam szczęście nie tylko u ludzi, ale przede wszystkim – do ludzi. Do tej pory nikt z gości specjalnych nie odrzucił mojego zaproszenia. Spotykam się z życzliwością, poparciem i chęcią współpracy. Z pewnością trafiam na ludzi z pasją.

Sukces? Tak, każde spotkanie to dla mnie sukces, duża satysfakcja, towarzyszą temu emocje i uczucia. W ludziach wywołują się różne reakcje powodowane uczuciami, które wywoływane są przez odnoszone sukcesy przyjaciół, znajomych. Zazdrość, frustracja często idą w parze z żalem do siebie samego. W mojej pracy zawodowej, kiedy przygotowywałam się do otwarcia licencjonowanego ośrodka nauczania języków obcych, powiedziano mi, że wśród moich – odbywających wówczas szkolenie – lektorów pojawiły się głosy: Dlaczego Lucyna? Czym się wyróżnia? Szefowa głównego ośrodka odpowiedziała wtedy pytaniem: A dlaczego nie ty? Dlaczego nie któś z was? Do realizowania swoich marzeń i do rozwijania pasji potrzebne są odwaga, konsekwencja w działaniu, nawet upór. No i przede wszystkim – chęć i umiejętność dzielenia się swoimi zainteresowaniami i pasją. Zostają szczerzy przyjaciele, dobrze żyjący. Zazdrońcy odchodzą, nieżyczliwi patrzą z boku, czasami powiedzą coś





przykrego, złośliwego, rzadko jednak prosto w oczy.

– **Kawiarenka ma raczej charakter niszowy, adresowana jest do odbiorcy dojrzałego, wykształconego, ale i naturzyczycy znajdują nie porozumienia oraz atrakcyjne tematy, dotyczące m.in. poezji, historii czy muzyki. Które z organizowanych przez Panią wydarzeń zgromadziło największe audytorium? Które wspomina Pani ze szczególnym sentymentem?**

– Kawiarenka ma swoich stałych sympatyków, jest to grono osób, które z sezonu na sezon powiększa się. Zabrzmi to nieskromnie, ale kawiarenkowe spotkania są coraz bardziej popularne. Z pewnością każdorazowo wpływ na liczebność audytorium ma temat spotkania, który ogłaszany jest z odpowiednim wyprzedzeniem czasowym w Internecie – na stronie Biblioteki Śląskiej, na fanpage’u Kawiarenki Kulturalno-Literackiej na Facebooku czy w Informatorze Kulturalnym Katowic. Zaproszenia na spotkania wysyłam również drogą mailową do znajomych. Bywa, że obok odbiorcy dojrzałego pojawia się student albo uczeń szkoły średniej. Bardzo dobrze i miło wspomina pierwsze miesiące, spotkania z początku działalności Kawiarenki. Może dlatego, że wtedy właśnie Kawiarenka stawiała pierwsze kroki, potrzebne było zaangażowanie wielu życzliwych ludzi, by mogła się rozwijać. Z liczebnością uczestników spotkań bywa różnie, czasami zaskakująco. Pamiętam, że byłam mile zaskoczona dużą frekwencją na spotkaniu o katowickiej secesji, a później – o modernizmie. Było to w pierwszym roku działalności Kawiarenki, kiedy jeszcze na spotkaniach pojawiała się niewielu słuchaczy. Pamiętam ludzi, zwłaszcza starszych, którzy przychodzili regularnie. Dziś niektórych nie ma już z nami, odeszli. Gdy przywołuję w myślach ich twarze, rozmowy, to zdaje sobie sprawę z upływu czasu. Brakuje mi ich.

– **Co decyduje o wyborze tematu, prelegenta? Czy na charakter spotkania wpływ mają rocznice, jubileusze, ważne wydarzenia bieżące? Skąd bierze Pani pomysły na kolejne wieczory?**

– Bywa, że temat rodzi się w trakcie dyskusji podczas spotkania. Z pewnością wpływ na wybór tematu mają rocznice ważnych wydarzeń, jubileusze. Czasami z propozycją tematu zwraca się do mnie Biblioteka Śląska. Obecnie dostaję stosunkowo dużo próśb, propozycji, związanych ze zorganizowaniem spotkań autorskich od osób piszących prozę, wiersze. Zależy im na wypromowaniu swojej twórczości. Lubię organizować – coraz bardziej popularne – slamy poetyckie. Najbardziej jednak cieszy mnie, gdy udaje mi się zrealizować spotkanie, którego temat sama wymyśliłam. Energii dodaje mi konieczność poszukiwania materiałów do dyskusji oraz poznania odpowiedniej osoby, która podejmie się wygłoszenia prelekcji. Dużą satysfakcją są dla mnie także spotkania, w których pełnią rolę zarówno gospodarzynie, jak i prelegentki.

– **Wiadomo, że instytucje kultury cierpią na brak wystarczającego dofinansowania. Gdyby jednak puścić wodze fantazji,**

kogo jeszcze bez względu na koszty chciałaby Pani zaprosić? Z tego, co pamiętam, Kawiarenka ma charakter wolnej inicjatywy i za uczestnictwo w spotkaniach nie otrzymuje się honorarium...

– Tak się dobrze i szczęśliwie składa, że moi goście, przyjmując zaproszenie, orientują się w zasadach prowadzenia działalności Kawiarenki Kulturalno-Literackiej. Myślę, że wiele uznanych autoritetów świata nauki i kultury działa *pro publico bono*. I chyba nie wypływa to tylko ze znajomości realiów funkcjonowania naszych różnego rodzaju placówek kulturalnych. Chciałoby się powiedzieć: znam swoje miejsce, wiem, gdzie mogę mierzyć. Jednak zdarzyło mi się parę razy być pytaną o honorarium przez paru pisarzy i poetów. I o dziwo – tych właśnie, którzy zabiegali o spotkanie w Kawiarence.

– **Kawiarenka ma też ważne zadanie popularyzatorskie. Odbyło się wiele spotkań poświęconych zapamięnianiu postaciom i wydarzeniom. Częstym gościem kawiarenki jest też prof. Zygmunt Woźniczka – niekwestionowany autorytet w sprawach Śląska. Jednakże tematy śląskie na Śląsku to zawsze ryzyko i zarzewie konfliktów. Co dla Pani jest najważniejsze w promocji kultury naszego regionu?**

– Tradycyjnie prof. Zygmunt Woźniczka ma swoją prelekcję przynajmniej raz w sezonie, najczęściej w okolicach dat związanych z historycznymi wydarzeniami. Bardzo dobrze nam się współpracuje. Spotkania z Profesorem zawsze przyciągają liczne audytorium, które składa się nie tylko z uważnych słuchaczy, ale przede wszystkim z żywo reagujących na jego wypowiedzi dyskutantów. Należą do nich przede wszystkim osoby starsze, wśród nich i takie, które pamiętają wydarzenia z II wojny światowej czy okres niechlubnej historii polskiego komunizmu. Podczas każdego spotkania jest też czas na pytania i dyskusje. Rzeczywiście, nie zawsze jest łatwo uspokoić emocjonalnie reagującą publiczność. Ale o to chodzi, takie spotkania mają sens. Dyskusje na właściwym poziomie intelektualnym, ale też i kulturalnym świadczą o zainteresowaniu tematem. Kiedyś po jednym ze spotkań z prof. Woźniczką zostałam zaatakowana słownie przez popularną katowicką dziennikarkę zajmującą się historią naszego regionu. Miała pretensje, że pozwoliłam na – zbyt długie – wypowiedzi osób postronnych, na niepotrzebną dyskusję, gdy ona przyszła w konkretnym celu – na wykład profesora Woźniczki, była zbulwersowana.

Promowaniu kultury naszego regionu z pewnością pomaga spotkania, na których przywoływane będą postacie, mające wpływ na rozwój kultury Śląska we wszystkich jej dziedzinach. Podczas minionych spotkań wielokrotnie kłaniał mi się bohaterom śląskiej historii, artystom, pisarzom, muzykom. Jeszcze w tym roku w Dziale Grafiki im. P. Stellera Muzeum Historii Katowic odbędzie się spotkanie poświęcone Pawłowi Stellerowi.

– **Zaledwie kilka miesięcy temu ukazała się Pani książka *Polskie śląskie nazwisko. Rodzinna historia życiem podpiśana. Jest to połączenie historii rodzinnej***

i naukowego wywodu, zwłaszcza odnoszącego się do spraw śląskiej tożsamości. Z punktu widzenia kulturoznawczynie opisała Pani dokumenty, rodzinne wspomnienia. Kto Pani zdaniem powinien przeczytać tę publikację?

– Książkę pisałam parę lat, jest rozwinięciem mojej pracy doktorskiej. Na tle historycznych wydarzeń Śląska przedstawiałam życie typowej śląskiej rodziny, mojej rodziny. W sprawach Śląska zawsze warto zabierać głos. Temat śląskiej tożsamości wielokrotnie był podejmowany i omawiany w Kawiarence. Wiele się dyskutuje o śląskiej tożsamości, dlatego tym bardziej powinno się jak najwięcej zasięgać informacji, poszukiwać i uzupełniać wiedzę na ten temat. Moim zamiarem było napisać książkę tak, by stała się rodzajem przystępnego podręcznika, łączącego historyczne wydarzenia z opisem codzienności Ślązaków w pierwszych połowie XX wieku. Nie wypada mi mówić, że moja książka powinna być przeczytana, jest to jednak moim pragnieniem, by trafiła zwłaszcza do młodych czytelników. Wygodniej i z pewnością będzie mi tutaj posłużyć się wypowiedzią prof. Stefana Zabierowskiego: „Nie wyobrażam sobie, by na pozycję tę nie powoływali się wszyscy, którzy będą pisać w pogłębiany sposób o sprawach Śląska w latach okupacji”.

– **Jest Pani nie tylko animatorką kultury, prowadząc Kawiarenkę, ale też poetką. Jak lirycznie widzi Pani swoją Małą Ojczyznę? W czym można się zakochać na Śląsku i jak poprzez spotkania kulturalno-literackie zamierza Pani jeszcze to podkreślić?**

– Poetką bywam. Traktuję to jako rodzaj pewnego przywileju. Zaczęłam pisać wiersze już w liceum. Pierwszy tomik *Wierszy wybranych z zebranych* wydałam dopiero w zeszłym roku. W jego tytule *Od siebie do siebie* mieści się pewien przekaz, jest zawarte to, co dzieje się między mną a postrzeganym przeze mnie światem. Mój świat to Śląsk, Katowice, moja Mała Ojczyzna. Wprawdzie tematyka moich wierszy jest uniwersalna, to jednak dominuje w nich moja śląska wrażliwość, która łączy się z wrodzoną, a może – z przekazaną w genach – typową dla Ślązaczek praktyczną umiejętność oceniania zastanej rzeczywistości, wypracowaną wnioskiem z przeżytych wydarzeń, radzenia sobie z codziennością. W zeszłym sezonie odbyło się w Kawiarence spotkanie, w którym wzięli udział poeci, poetki z Podhala i ze Śląska. Przedstawiali swoje wiersze pisane w gwarze. To był jeden z tych wieczorów, gdy Benedyktynka – sala, w której odbywają się spotkania – była wypełniona publicznością po brzegi. Pięknie przedstawili swoje Małe Ojczyzny. Kolega po piórze namawia mnie do napisania wiersza po śląsku. Podjęłam wyzwanie, myślę, że dam radę, jestem Ślązacką.

– **Dziękuję za rozmowę i życzę kolejnych dekad literackich, artystycznych i osobistych sukcesów, a Kawiarence znakomitych gości i liczного grona słuchaczy i dyskutantów.**

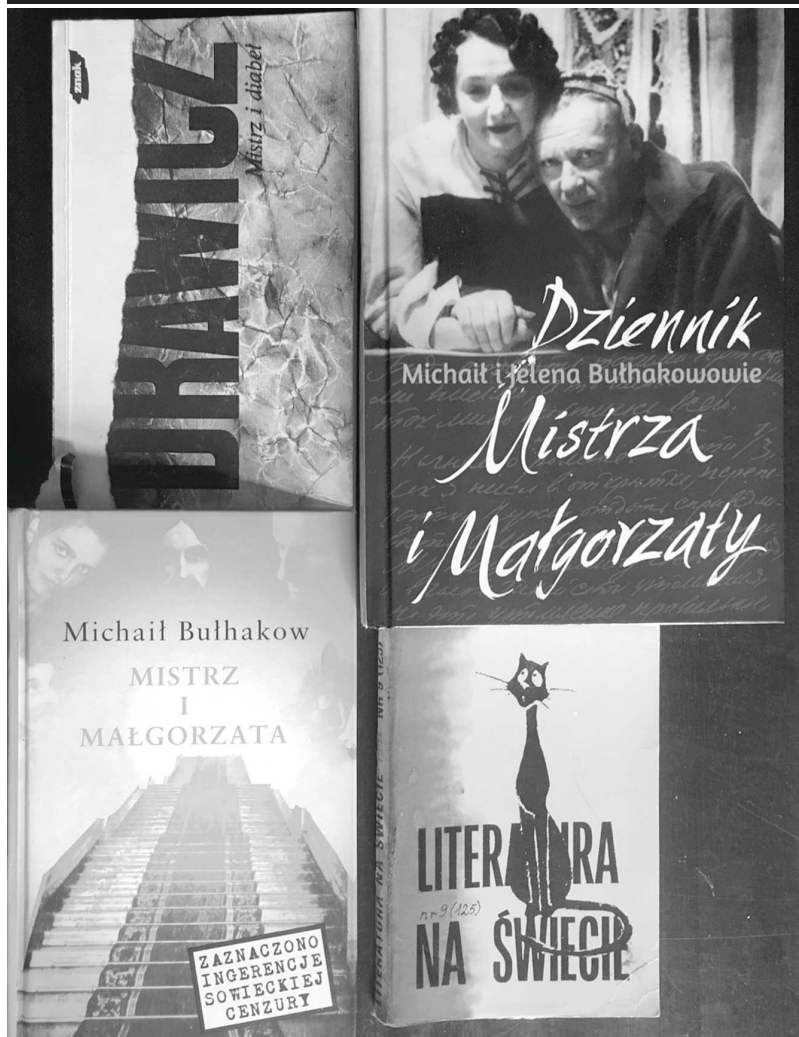
– Bardzo dziękuję i zapraszam wszystkich na spotkania. ■





BLASK ARCYDZIEŁ

Fot. Jaromir Paszek



Blask Mistrza i Małgorzaty

JERZY PASZEK

Michaił Bułhakow pisał swoją bestsellerową – ale dopiero po 40 latach od śmierci autora! – powieść od 1928. do roku 1940. I w trakcie kreowania utworu, i w czasie jego publikacji dzieło to miało bardzo (aż za bardzo!) interesujące przygody i przypadki; wystarczy rzec, iż dochowały się materiały, świadczące o 8 redakcjach książki, a szczególnie będą tu badał problem tzw. wersji 8. A z lat 1966-1967. (druk w miesięczniku „Moskwa”; tekst ocenzurowany) i wersji 8. B z roku 1968. (wersja pełna; pierwodruk we Frankfurcie nad Menem; nb. terminy „wer-

sja 8. A” i „wersja 8. B” pochodzą ode mnie). Wspomniane materiały następująco podlicza Marietta Czudakowa: „Jest to 20 zeszytów z kolejnymi redakcjami rękopiśmiennymi, 2 zeszyty notatek, 3 egzemplarze maszynopisu powieści (2 spośród nich odzwierciedliły 3 etapy pracy nad nią) oraz zeszyt z nowymi redakcjami poszczególnych stron i uzupełnieniami tekstu, zapisanymi w latach 1939-1940. pod dyktando chorego pisarza” (Marietta Czudakowa: „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa, tłum. Adam Pomorski, „Literatura na Świecie” 1981, nr 8, s. 109). W Polsce ukazały

się 3 tłumaczenia tej kultowej dla wielu książki: najpierw pojawił się przekład Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego (1969, 1970, 1973 – wersje niepełne; 1981, 1983, 1987 – wersje pełne), następnie Andrzeja Drawicza (1995) oraz rodziny Przebindów (2016; chodzi o Leokadię Annę, Grzegorza i Igora). W poniższych wywodach sięgam po edycję Warszawskiego Wydawnictwa Literackiego MUZA z roku 2008., zawierającą „dwa w jednym”, czyli przekład Lewandowskiej i Dąbrowskiego z zaznaczonymi ingerencjami cenzury rosyjskiej.

Jak wiadomo (m.in. z bogatych źródeł internetowych), *Mistrz i Małgorzata* jest tzw. dziełem autotematycznym, co oznacza, iż w powieści cytowana jest i analizowana (przez czynniki ziemskie: cenzura – i pozaziemskie: lektura postaci ewangelicznych) przypowieść Mistrza o Poncjuszu Piłacie; pełny tytuł tej postaci brzmi: „procurator Judei, eques

Romanus, Poncjusz Piłat” (LD 540). Książka ma 3 zachodzące na siebie narracje: oto historia miłości Mistrza i Małgorzaty sąsiaduje z przygodami diabła Wolanda i jego świty (kot Behemot, morderca Azazel, diabeł-prześmiwca Korowioł) w stalinowskiej Moskwie przed II wojną światową; wspomniana apokryficzna legenda o życiu Chrystusa (zwanego tu: Jezua Ha-Nocri) i skomplikowanych przemyśleniach Piłata pojawia się i w części demonicznej, i romansowej. Jak pisze Drawicz w swej rozprawie habilitacyjnej: „Łączność tych 3 płaszczyzn, w sensie konstrukcyjnym, jest **dziełem diabelskim** [podkr. J.P. – tak samo w dalszych roztrząsaniach]. Zorganizowawszy powieściowe widowisko niby własny, szatański bal, zadbawszy o wszystkie efekty i spełniwszy rolę mistrza ceremonii, Woland z asystą ulatuje, a kiedy koncept zostaje spełniony i założenie ‘niech to diabli porwą’ wyczerpane – kończy się też utwór, logicznie nazwany przez autora ‘powieścią o diable’” (Andrzej Drawicz: *Mistrz i diabeł. O Michale Bułhakowie*, Kraków 1990, s. 298).

Kłopoty Bułhakowa zaczęły się już w momencie, gdy pomyślał sobie, by w sowieckiej Rosji pisać o Chrystusie jako postaci historycznej (horror numer 1.) oraz o tym, że wedle chrześcijaństwa ma nadejść epoka, gdy nastanie powszechna sprawiedliwość i zniesienie wszelkiej doczesnej władzy i jej terroryzujących ludzi organów (horror numer 2.)! Ba, nie trzeba będzie stale panować nad tym, by nie powiedzieć czegoś, co mogłoby ugodzić w dobre imię tyrańca Tyberiusza czy – w domyśle – Stalina (horror numer 3.)! Epoka porewolucyjna i nepowska (nuworyszowska!) miała ukryte i niechwalne epizody: łagry na Syberii, walkę z ludźmi mającymi waluty obce, wstydlive sklepy dla uprzywilejowanych klientów, bezprawne dokwaterowania do mieszkańców nowych lokatorów, batalię z wszechobecnym pijaństwem i kumoterstwem, nietolerancję w życiu publicznym seksu (surowo zakazany homoseksualizm) i nagości itp. I takie obszary „ataku” obserwuje się w ingerencjach cenzuralnych wersji 8. A, rozpowszechnianej w końcu lat 60. XX wieku. Są tu wyeliminowane duże fragmenty tekstu (rozpiętości kilku lub kilkunastu stron!), ale i bardzo małe opuszczenia, bo dotyczące pojedynczych słów. Takim niecenzuralnym słowem okazuje się przymiotnik „wolny”,





dotyczący Małgorzaty leżącej na miotle na bal Wolanda: „Niewidzialna i wolna! Niewidzialna i wolna!...” (LD 319; wytłuszczone słowa). Zresztą cenzor jest nieuważny, bo w tym samym akapicie czytamy: „zrozumiała, że aczkolwiek jest zupełnie wolna i niewidzialna, to przecież w upojeniu powinna zachować odrobinę rozsądku” (LD 319). Co ciekawe, diabeł może stwierdzić, iż jest wolny: „Ostatnie wejście – szepnął zafrasowany Korowiow [do Małgorzaty] – i będziemy wolni!” (LD 370). Gdzie indziej też wykreślono fatalnego epitetu: „Małgorzata poczuła się wolna, wyzwolona ze wszystkiego” (LD 314).

Przedziwną kwestią jest opis Małgorzaty jako wiedźmy: czyżby „nadredaktor” sugerował, że takie amatorki sabatów – po wysmarowaniu się tajemniczą maścią – przywdziewały na siebie wykwiintne suknie? Oto kilka pokiereszowanych przez cenzurę zdań o ukochanej Mistrza i jej koleżankach: „Naga i niewidzialna latawica hamowała się” (LD 323), „Nagie kobiety wchodziły po schodach w towarzystwie wyfraczonych mężczyzn” (LD 365), [Wolanda do Małgorzaty:] „Czego żąda pani za swą nagość na balu?” (LD 383), „wbiegła naga Natasza” (LD 395), „Ta damulka przeciw była goła!” (Annuszka o Małgorzacie, LD 402), [Małgorzata:] „Ale proszę mi wybaczyć, Azazello, że jestem naga. Azazello proszę, żeby się tym nie przejmowała, zapewniam, że widział nie tylko nagie kobiety, ale nawet kobiety kompletnie obdarte ze skóry” (LD 501). W tym potoku purytańskich skreśleń cenzuralny cerber przysypiał, pozwalając narratorowi na oddanie szatańskiej i szampańskiej (goście Wolanda kąpią się w basenach wypełnionych koniakami!) atmosfery balu i przygotowań do niego: [Azazello do Małgorzaty:] „Dziś wieczorem [...] będzie pani uprzejma rozebrać się do naga i natrzeć tą maścią twarz i całe ciało” (LD 310), „Małgorzata siedziała przed lustrem w zamiszonych czarnych pantoflach i w płaszczu kąpielowym narzuconym na nagie ciało” (LD 312), Natasza „Była zupełnie naga, jej potargane włosy rozwiewał wiatr, leciała na oklep na spaśnym wieprzu” (LD 329), „Spoza wierzb wyskoczyły nagie wiedźmy” (LD 335), Małgorzata „jakoś nagle przestała być już naga” (LD 388) itd., itp.

To jest takie niedopatrzanie, jak zacytowanie najsłynniejszej satyrycznej frazy całej powieści: „Przysłano nam jesiotra drugiej świeżości – oznajmił bufetowy” (LD 280), by dopiero przy jej powtórce zrozumieć dowcip i posłużyć się nożycami: „Czyżby, messor, w świąteczną noc gości przy stole dzielono na dwie kategorie? Jedni – pierwszej, a inni – jak mawiał ten smutny sknera-bufetowy – drugiej świeżości?” (LD 385).

Przykładów takich wpadek w pracy adiustacyjnej redaktorów czasopisma „Moskwa” jest więcej. Ciekawe dla mnie są dwa ewenementy związane z tematyką mafijną czy też kryminalną. Pierwszy pomysł podsuwa czytelnikowi diabeł-morderca, radząc wampirowi z Brocken, „jak się pozbyć pewnego człowieka”: „Poleć więc swemu znajomemu, który był od niego uzależniony, spryskać ściany gabinetu trucizną...” (LD 367). Otóż wyeliminowanie zaleceń Azazella – by ktoś ich nie wyzyskał w „mokrej robocie” – może przywołać na myśl lo-

sy francuskiego kryminału *Riffifi* (1955, reżyser Jules Dassin), który po zejściu z ekranów nie był w Polsce długo wznawiany, a może w ogóle wyklejony, jako film instruktażowy dla rzeźmizoszków! Scenariusz był oparty na powieści *Du riffifi chez les hommes* Auguste’a Le Bretona, o czym informują Henryk Markiewicz i Andrzej Romanowski w nieocenionych *Skrzydlatych słowach* (tu seria druga, Warszawa 1998, s. 344).

Drugi przykład jest tak sensacyjny, że sam weń nie wierzę! Czytając pomijaną anegdotę o najciśsiu szatanów na sklep dla wybrańców (w polskiej wersji ten epizod pojawił się pierwszy raz w „Literaturze na Świecie” w roku 1974., numerze 11, pt. *Ostatnie przygody Korowiowa i Behemota* w tłumaczeniu Lewandowskiej i Dąbrowskiego) zadziwiłem się bardzo, dlaczego wyrzucono do śmietnika fragment o końcowych gwizdach portiera ekskluzywnego sklepu, przyzywających milicję po kradzieżach Behemota (LD 478). Takich eliminacji z tekstu powieści gwizdania i gwizdków jest kilka. Gdy Małgorzata, jako wiedźma, niszczy mieszkania krytyków literackich, którzy ośmielili się nie docenić Mistrza, odzwierny „wziął do ust gwizdek, zagwizdał wściekle. Ze szczególną pasją rozbijający przy akompaniamentie tego gwizdu ostatnie okno na siódmym piętrze, Małgorzata spłynęła niżej i zaczęła wybić szybę na szóstym piętrze” (LD 325).

W rozdziale 31. – „Na Worońskich Górach” – diaby, zęgnając się z Moskwą, przeprowadzają konkurs gwizdania, czyli który z nich zagwizda najgłośniej! Zaczyna Behemot, zwracając się do Wolanda o pozwolenie: „Pozwól mi, maestro, gwizdnąć na pożegnanie przed jazdą” (LD 513). Następnie kot „włożył palec do ust, odął policzki i gwizdnął. Małgorzacie zadzwoniło w uszach. Jej koń stanął dęba [...] wiatr zerwał czapki i wrzucił je do wody” (LD 514). Korowiow, ksywa Fagot, jest bardziej wytrawnym zawodnikiem, bo gdy zagwizdał, to „Tego gwizdu Małgorzata nie usłyszała, ale zobaczyła go w chwili, gdy odrzucito ją wraz z jej ognistym rumakiem o jakie dziesięć sążni. Obok niej wyrwało z korzeniami dąb, a ziemia popękała aż do samej rzeki” (LD 514). Cały tramwaj rzeczny woda wyrzuciła na przeciwny brzeg.

Zastanawiam się, ile funkcji można tu przypisywać tym podejrzany gwizdom i gwizdkom? W rozdziale 31. (jest przedostatni, a razem z „Epilogiem” mamy 33 epizody, co pewnie sugeruje aluzję do wieku Chrystusa w momencie śmierci) doszukiwałbym się nawiązań do gwizdów na stacjach kolejowych: „Wsiadać! Drzwi zamykać!”, czyli sytuacji pożegnania. A może są tu biblijne nawiązania do mocy burzycielskiej trąb jerychonia? Pojawia się wszakże i inna interpretacja: oto Bułhakow, obok Izaaka Babla, był „poproszony” przez wiadome organa do poprawiania (język, gramatyka, styl) sprawozdania czekiisty Martynowa o tym, jak zabił przywódcę szajki moskiewskiej, Jakowa Koszelkowa, pseudonim Portmonetka, który zagrał Leninowi w Wigilię Bożego Narodzenia w 1918. roku czarnego rolls-royce’a (nb. urzędowo była to „Sprawa zbrojnego napadu bandytów na W. I. Lenina 6 stycznia 1919. roku”, czyli – by uniknąć religijnego kontekstu – skorystano z kalendarza nowego stylu). Po zaareztowaniu dziewczyny Jakowa (Jaszki), herszt 100-osobowej bandy „kontrewolu-

cjonistów” wypowiedział czekistom „wojnę na wyniszczenie”: „Wykorzystał dla tego celu bardzo proste urządzenie – milicyjny gwizdek. Wyjeżdżał wieczorami samochodem na miasto, a kiedy zrównywał się z posterunkiem milicyjnym, głośno gwizdał, dyżurny milicjant podchodził na wezwanie i wtedy grzmiał mu na spotkanie wystrzał albo leciała bomba” (Witalij Szentalski: *Sprawa o podwójnym dniu*, przeł. Henryk Chłystowski, „Literatura na Świecie” 1996, nr 11/12, s. 319). Artykuł Martynowa miał się ukazać w czasopiśmie „30 dni” w roku 1925., ale do druku – skaza na życiorysie Lenina? – nie doszło. Z tego niepublikowanego tekstu warto zacytować zdanie, które uznaje za godne stylu Bułhakowa: „Koszelkow, dosyć! Możesz uważać się za trupa!” (ib., s. 320). Tak powiadają czekici do rannego, ale stale strzelającego już nie do wroga, lecz w niebo, Jaszki.

Ktoś w cenzurze znał tę historię (należała do ukrytej legendy najsławniejszego w czasie I wojny światowej człowieka) i dlatego gwizdanie i posługiwanie się gwizdkiem mogło budzić niewłaściwe skojarzenia, więc lepiej gwizdy i gwizdki wyeliminować! To jest blask legendy Lenina z odbłaskiem (utajnionym do czasu!) w *Mistrzu i Małgorzacie*. Takich wieloznacznych aluzji i sytuacji aludowania jest w tej obszernej księdze wiele, więc należy się spodziewać wyjaśnienia – przykładowo! – co jest niebezpiecznego w nazwie własnej miasteczka **Betlejem** i dlaczego miejsce urodzenia Chrystusa usunięto z 1. akapitu rozdziału „Każn”? Ciekawe dla mnie jest i to chociażby, że chory człowiek nie powinien mieć chorego spojrzenia: „Chory [Mistrz] spuścił głowę i wbił w ziemię posępny chory wzrok” (LD 388). Wiadomo powszechnie, że kwestie medycyny (autor był lekarzem!) i szpitali, w szczególności tych psychicznych (zwaných pieczętliwie „psychuszkami”), były ważne w ZSRR – walka z przeciwnikami politycznymi, których umieszczano na oddziałach zamkniętych – stąd sanatorium, goszczące w salce numer 118 Mistrza, było tak luksusowo wyposażone, iż pokazywano je zagranicznym wycieczkom-pielgrzymkom, chcącym podziwiać takie sanktuaria uzdrowień i szczęśliwości doczesnej!

Ironią losu, Bułhakow w swych ostatnich dniach znalazł się w Barwisze, czyli rządowym, luksusowym sanatorium, choć o personelu tego szpitala nie miał najlepszego zdania: „Nie nazwę ich zabiwcami, byłoby to zbyt drastyczne, ale amatorami, partaczami i nieukami – chętnie” (Michail i Jelena Bułhakowowie: *Dziennik Mistrza i Małgorzaty*, oprac. Wiktor Łosiew, przeł. Margarita Bartosik, Warszawa 2013, s. 562). A skąd organa w roku 1925. znały uzdolnienia adiustacyjne pisarza? Otóż pracował jako felietonista i korektor (po rosyjsku: „obrabotczył”) prac przesyłanych z terenu (przez „rabkorów” i „sielkorów”, czyli robotniczych i wiejskich korespondentów; ib., s. 64: zob. też Drawicz, op. cit., s. 56) w piśmie pod wiele mówiącym nagłówkiem „Gudok”, co po polsku znaczy „Gwizdek”. Gazeta była w latach 1922-1926. jednym z kilku chlebodawców Bułhakowa, ale pracowali w niej prymitywni chałturnicy i pijacy, głoszący dwuznaczne hasło-palindrom: **ZAGWIZDZ I W GAZ!**





Raz na dwa lata stolica Podbeskidzia, Bielsko-Biała, staje się artystycznym centrum Polski, na które zwrócone są oczy wszystkich krytyków, artystów i galerzystów. To ze względu na odbywający się tutaj prestiżowy, ogólnopolski konkurs malarstwa – 43. Biennale Malarstwa Bielska Jesień. Wydarzenie ma wieloletnią tradycję sięgającą lat 60., i mimo że jego formuła przez lata ulegała zmianom, cel pozostał jeden – wskazywanie najnowszych trendów we współczesnym malarstwie.

Zdjęcia: Krzysztof Morcinek



Sebastian Krok – laureat Grand Prix 43. Biennale Malarstwa Bielska Jesień 2017

Współczesne malarstwo w Bielsku-Białej

MILENA LEWICKA

Od lat konkurs pobija rekordy popularności wśród artystów, w tym roku do pierwszego etapu zgłoszono niemal trzy tysiące prac, co w praktyce oznacza, że o nagrodę Grand Prix stara się większość aktywnych malarzy z Polski. Artystów przyciągają nie tylko wysokie nagrody pieniężne fundowane przez ministra, marszałka województwa czy prezydenta miasta, ale każdy marzy o karierze na miarę Wilhelma Sasnała, który zdobył tu główną nagrodę w 1999 roku, a obecnie jest najbardziej rozpoznawalnym polskim malarzem na świecie. Otwarta formuła Bielskiej Jesieni powoduje, że w jednym miejscu spotykamy artystów debiutantów i tych ze starszego pokolenia, obok siebie prezentowane są prace profesorów ASP, absolwentów akademii oraz malarzy nieprofesjonalnych. Bielska Jesień to biennale, odbywa się naprzemiennie z konkursem kuratorskim na projekt wystawy definiującej współczesne malarstwo, próbującym opisać i skonceptualizować najnowsze trendy.

W tym roku uroczyste ogłoszenie laureatów odbyło się 9 listopada w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej. Jury w składzie: kierująca warszawską Zachętą Narodową Galerią Sztuki Hanna Wróblewska, artyści Je-

rzy Kosalka i Jerzy Truszkowski, historyk sztuki Ryszard Ziarnkiewicz i tradycyjnie dyrektorka Galerii Bielskiej BWA Agata Smalcerz, wybrało do drugiego etapu konkursu prawie 200 dzieł. Ta rekordowa liczba obrazów nie pomieściłaby się w samym budynku BWA, stąd część ekspozycji przeniesiono także do pobliskiej pięknej, XIX-wiecznej Willi Sixta przy ul. Adama Mickiewicza 24. Obejrzenie wnętrza tego budynku to nie lada gratka dla miłośników sztuki. Ta neorenesansowa willa miejska związana jest z osobą zasłużonego dla Bielska przedsiębiorcy i społecznika, Teodora Sixta, a zaprojektowana została przez jednego z najbardziej cenionych architektów regionu – Karola Korna.

Jak w każdym konkursie, największe emocje wiążą się z utrzymanym do końca w tajemnicy werdyktem jury. W ostatnich latach często bywał on zaskakujący, jak w przypadku ekspresyjnego malarstwa spod znaku „nowych dzikich” Martyny Czech. W tym roku jury wybrało artystę „nieoczywistego” i „niełatwego” w odbiorze. Nagrodę Grand Prix otrzymał 32-letni absolwent ASP w Warszawie – Sebastian Krok.

W uzasadnieniu czytamy, że zauroczył komisję „podejmowanym tematem, o dużej wadze i aktualności w pozornie lekkim ujęciu” i jak wyraziła się Hanna Wróblewska: „politycznością i pewną chropowatością (a nawet *niewygoda*)” swoich prac malarskich. Faktycznie, jego obrazy podejmują trudną i aktualną tematykę, np. *Welcome* porusza problem uchodźców przybywających do wybrzeży Europy w poszukiwaniu lepszego świata dla siebie i swoich rodzin. Na obrazie widzimy kilkuletniego chłopca w kamizelce ratunkowej krzyczącego tak, że jego twarz rozdziera przeraźliwy grymas. W tle widzimy inne osoby wychodzące z pontonu. Przekaz tej pracy jest niezwykle prosty, acz dosadny. Czasem nie trzeba wielkich słów, aby wyrazić najważniejsze sprawy. Podobnie w dwóch innych pracach prezentowanych na wystawie – Sebastian Krok porusza w nich nielatawą tematykę odrzucenia społecznego, samotności oraz miłości dziecka do matki. Artysta posługuje się bardzo prostym rysunkiem w jednym kolorze, czasami bywa on nawet niedbały czy niedokładny, jak szybki szkic. Najciekawszym elementem jego prac jest jednak to, co zwykle nie jest eksponowane w obrazie, czyli podłoże malarskie. Nie jest nim bowiem zwykle płótno nabite na prostokątny blejtram. Krok używa zamiast tego prześcieradeł, które wprowadzają kolejny kontekst do jego prac, ponieważ pochodzą one od znanych artystów, często także z łóżek szpitalnych, i niosą ze sobą ludzkie dramaty. Artysta pokrywa je mocnym, jednolitym kolorem i nabija na blejtramy o nieregularnych kształtach. Podobnie jest niezwykle błyszczące i pęka w niektórych miejscach, co sprawia, że obrazy stają się interesujące formalnie, ale można ten zabieg czytać również symbolicznie, jako te pęknięcia w ludzkich życiorysach.

Drugie miejsce przypadło niezwykle zdolnej i wielokrotnie nagradzanej malarce z Krakowa – Karolinie Jabłońskiej. W swoich pracach posługuje się językiem figuracji, a tematy, które podejmuje można by określić mianem surrealistyczno-onirycznych. Cóż bowiem widzimy na jej wielkich płótnach? Zapłakaną kobietę jedzącą błoto, przeskalowane, wielkie usta plujące na siebie wzajemnie, martwe dziewczęce ciało ciągnięte do wykopanego grobu przez ręce niezindyfikowanego osobnika. Tematy rodem z horroru czy sennych urojeń. Jednak dobrana do tego stylistyka może wprowadzić z równowagi i zmienia odbiór tych prac. Patrzymy na nie z przynurzeniem oka, widzimy ich groteskowość. Jabłońska buduje swój świat za pomocą ciepłych kolorów – pełno tu delikatnego różu kobiecej skóry czy ust. Postacie są uproszczone i zdeformowane, wszystkie kształty są zaokrąglone, miękkie, kompozycja jest niezwykle przemyślana, a poszczególne elementy malowane w dekoracyjny sposób, jak np. włosy czy ziemia w obrazie pt. *Jedząca błoto*. Ponadto, przeglądając twórczość artystki możemy zauważyć powtarzające się motywy oraz fakt, że większość przedstawionych na obrazach kobiet to autoportrety artystki. Niektórzy podkreślają autoterapeutyczną siłę prac artystki, która potrafi śmiać się ze swoich najgorszych koszmarów i emocji, jakie one wzbudzają. Krytyk Ryszard Ziarnkiewicz określił prace Jabłońskiej w następujący sposób: „Te płaskie, świadomie naiwne, prymitywistyczne kompozycje kreują skrajnie indywidualny świat alternatywny przesączony specyficznym poczuciem humoru, dziwnością i nutką horroru”.

Ciekawym trendem, który reprezentuje Karolina Jabłońska i który zagościł na polskiej





szenie artystycznej jest nurt nazywany nowym nadrealizmem, sytuujący się gdzieś na pograniczu malarstwa figuratywnego i abstrakcyjnego. Artystów malujących w tej manierze łączy upodobanie do koloru, ornamentu, wykorzystania dekoracyjnych walorów malarstwa, takich jak szeroko kładzione pasy koloru, operowanie gestem, fakturą, skalą, kontrastami. Temat ich obrazów, choć często pochodzi z repertuaru marzeń sennych, wizji dziwnych roślin, grzybów, stworów, staje się niejako pretekstem do pokazania czystego malarstwa. Do tego nurtu można zaliczyć obecnych na wystawie m.in. Krzysztofa Piętkę, Justynę Adameczyk, Marcina Zawickiego czy Kamila Kukłę.

Aleksandra Bujnowska to trzecia nagrodzona artystka podczas bielskiego biennale malarstwa. Jej prace pozornie są proste i przyjemne. Przeważają w nich spokojne, egzotyczne pejzaże pełne dzikich zwierząt, które możemy oglądać wyłącznie w telewizji lub Internecie. Po płótnach artystki spokojnie przechodzą niedźwiedzie czy stada małp. Obrazy Bujnowskiej są ograniczone formalnie – malowane bardzo płasko, niemal graficznie, za pomocą tylko dwóch kolorów i ich odcieni – czarnego i zielonego. Obrazy te mogą działać na widza uspokajająco, kojąco, bowiem każdy marzy, aby rzucić wszystko i pojechać w północną podróż dookoła Azji. Jest jednak coś niepokojącego w obrazach Bujnowskiej, coś, co nie pozwala patrzeć na nie bez refleksji. Czy ten zobrazowany, dziki, nieknięty ręką cywilizacji świat nadal istnieje, czy będzie istnieć za kilkanaście lat?

Od kilku edycji konkursu do udziału dopuszczani są także artyści nieprofesjonalni, czyli tacy, którzy nie ukończyli wyższych uczelni artystycznych i nie są magistrami sztuki, ale mogą wykazać się dorobkiem twórczym. Tegoroczne jury zdecydowało się wyróżnić prace kilku „amatorów” malarstwa. Jest wśród nich Jolanta Starycha i jej prace z serii *Afryka a świat? Dobro? Był?* Artystka w swoistym tryptyku podjęła aktualny temat związany z neokolonializmem i wykorzystywaniem krajów Trzeciego Świata. W prosty sposób, kontrastując ze sobą świat Zachodu w postaci przepychu Hollywoodu, bogactwa Stanów Zjednoczonych czy międzynarodowych koncernów i biedę Afryki w postaci małego, czarnoskórego chłopca. Wszystko malowane w prosty, komiksowy sposób, który można by porównać z najlepszym malarstwem tzw. „twórców naiwnych”, jak Nikifor czy Teofil Ociepek. Innym artystą nieprofesjonalnym prezentowanym na wystawie w Bielsku-Białej jest Tomasz Kwiatkowski, który jak wspomina, uczy się malarstwa w jednym z warszawskich domów kultury.

Wielu artystów traktuje sztukę jako narzędzie wypowiedzi w sprawach społecznych, taki nurt nazywany jest sztuką zaangażowaną społecznie. Tego typu wypowiedzi nie zabrakło także na Bielskiej Jesieni. Artystką, na którą warto zwrócić uwagę spacerując po wystawie jest m.in. Małgorzata Mirga-Tas, podejmująca tematykę mniejszości romskiej w Polsce. Jej obrazy to kolaże wykorzystujące elementy tkanin, często pozostawiające szare, niezagruntowane płótno. Obrazy te mimo feerii barw, jakich dostarczają odbiorcy, przepętnia smutek i zaduma nad wykluczeniem społecznym i brakiem zrozumienia. Natomiast Joanna Kaucz w cyklu fotorealistycznych prac pt. *Zabawy z bronią* obrazuje inny problem socjologiczny, jakim jest agresja domowa i wychowy-



NAGRODA PUBLICZNOŚCI – Kamil Stańczak, *Obrazy do wyciągania*

wanie dzieci z zabawkami imitującymi broń. Artystka została wyróżniona przez jury oraz kwartalnik „Artluk”.

Na wystawie zwracają na siebie uwagę prace, które wychodzą poza tradycyjne rozumienie malarstwa jako pokrywania kolorowym pigmentem płaskiej, prostokątnej powierzchni. Podczas Bielskiej Jesieni można zobaczyć kilka prac artystów, którzy przełamują to dwuwymiarowe myślenie, niemniej są oni tutaj w mniejszości. Ciekawym artystą prezentującym obrazy – obiekty jest Kamil Stańczak, związany ze środowiskiem lubelskim. Artysta zaprezentował m.in. *Pejzaże obrotowe* – monochromatyczne, małoformatowe kompozycje z czerwoną kropką na środku, które można wręczyć w ruch, w taki sposób, że przedstawiony pejzaż rozmazuje się i widoczny pozostaje tylko kolorowy akcent; inną pracą artysty jest instalacja pt. *Obrazy do wyciągania*, która również jest zaproszeniem widza do podjęcia gry, interakcji z obiektem.

Bardzo interesującą i nowoczesną artystką jest Emilia Kina. Jej prace prezentowane w Galerii Bielskiej BWA to formowane monochromatyczne, zwykle białe lub czarne obrazy, które można sytuować pomiędzy medium malarstwa, rzeźby i instalacji. Artystkę interesuje motyw kurtyny, którą w dawnych czasach przykrywane były dzieła lub które często malowane były przez m.in. niderlandzkich artystów. Te zasłony wprowadzały w obraz drugi plan, jakąś kolejną odsłonę historii, dzięki nim obserwator stawał się podglądaczem np. sceny we wnętrzu domu bogatego kupca. Z jednej strony prace Kiny są bardzo formalistyczne, skupione na materialności obrazu, a z drugiej odnoszą się do historii sztuki, wprowadzając konceptualną metanarrację.

Wśród prac o nietypowych dla malarstwa formach wyróżnia się cykl *Sejmów* Karoliny Balcer. Artystka formuje blejtram w kształt przypominający sylwetkę budynku przy ul. Wiejskiej w Warszawie i maluje go w symboliczne kolory – raz na tęczowo (*Sejm tęczowy*) innym razem cały na czarno (*Sejm żalobny*). W ten sposób odnosi się do politycznej sytuacji w Polsce, w której społeczeństwo jest podzielone w grup sympatii partyjnych, i w której każda z grup walczy o zdobycie sejmu, jako symbolu władzy i dominacji pewnej ideologii. Ponadto te prace są pozostałością po akcji artystki, która założyła stronę

internetową sejmdlakazdegdo.pl, gdzie można było zakupić prace artystki na płycie oraz prace „gorszego sortu” na tekturze. Cała akcja miała wymiar ironiczny.

Trudno przejść obojętnie obok cyklu prac Moniki Smyły, która w technice akrylu na płótnie dokładnie przemaalowała kolejny regulamin konkursu, opis poszczególnych etapów oraz nagród znajdujący się na stronie internetowej Galerii Bielskiej BWA. Ta praca o konceptualnym charakterze niesie w sobie duży potencjał krytyczny. Artystka wykonała prosty gest przywołania wszystkich instytucjonalnych zasad, pozostawiła je nieświadomemu widzowi *sauté*, bez komentarza. Każdy może się sam zastanowić nad zasadami i urzędowym językiem instytucji sztuki.

Tegoroczna edycja Bielskiej Jesieni wyróżnia się dużą ilością wydarzeń towarzyszących. Poza głównym konkursem, swoje wyróżnienia przyznaje także osiem redakcji pism i portali. Ponadto odbywają się dwa plebiscyty publiczności, jeden – internetowy, który wygrały obrazy Katarzyny Krauze-Romejko; drugi – głosowanie na najciekawszy obraz oraz konkurs na najlepszą recenzję wystawy. Dla chcących pogłębić temat współczesnego malarstwa przygotowano także szereg warsztatów, dyskusji oraz oprowadzań.

Bielska Jesień udowadnia, że malarstwo nie umarło, a wręcz przeciwnie, ma się dobrze i jest w stanie konkurować ze sztuką mediów, Internetu, instalacji czy akcji w trudnym zadaniu denifikowania naszej współczesności. Wystawa pokazuje cały przekrój współczesnego polskiego malarstwa, oglądamy artystów młodych i starszych, o nazwiskach już znanych i tych debiutujących, profesjonalnych i tych, którzy nie ukończyli szkół artystycznych. Feeria barw, różnorodność stylów, faktur i formatów, mnóstwo narracji, ludzkich głów, ciał, zwierząt, geometrycznych kompozycji, ciekawych opowieści z dalekich stron świata i z różnych perspektyw, tematy lekkie, dekoracyjne i te trudne, o które toczą się ideologiczne spory. Słowem: malarstwo, niczym nieograniczona wolność twórcza artystów. A wszystko zgromadzone i pięknie wyeksponowane w jednym miejscu.



KORDIAN MICHALAK

WŁAŚNIE

najszybciej starzeją się
wyobrażenia
i dobre intencje

dobro rozproszone
wcale nie wraca
w popiół gęstnieje i okrywa szczelniej

próby
drogi
osoby
sposoby
kalejdoskopium mobile

czasem tylko
bunt
okiem łypnie
wzrok z niesmakiem odwróci
bo odwrócić
co spopielone
nie sposób

no cóż
z daleka
najszybciej dochodzi się
do wniosku
najwolniej
do siebie

teraz
gdy wszelkie znaki już tylko na niebie
a nie na ziemi
pora otworzyć okno
wziąć do ręki ziarno
albo czystą kartkę
zaczernić nowym atramentem
w miarę sympatycznym

przekroczyć lodową chmurę
pamiętać
bez lęku i drżenia rąk

doznania do zaznania nieznane
na czas rozpoznać
po kolorach poznać

nie powinno być też problemu ze śmiechem
wszak jak każdy dalekowidz
z dystansu widzę dużo wyraźniej

podróż już rozpoczęta

CZERWIĘŃ

najpierw jest zapach
i drżenie rąk
a potem
metr nad ziemią
kiedy nie wiem już
czy moje ramiona czy twoje
a krople potu
nie gaszą płomienia
chcę utonąć w tej czerwieni

kiedy zaciskam powieki
żeby na milion lat zatrzymać
chwilę
przestrzeń
ciebie
kiedy twój puls jest moim
a dotyk powoli zamienia się
w krzyk
wtedy odkrywam wszystkie supernowe
i nie wiem czy kończy się czas
czy zaczynam ja

DLA CIEBIE

zdążyć
przed sobą
za tobą
nadążyć
uprzedzić wszystkie znaki
zanim we znaki się dadzą

dogonić jutro
czarne ptaki przegonić
zanim się w gorzkie czcionki obróca

nieznacznie naznaczyć nieznaczące gesty
by znaczeń przydać przestrzeni
bez ciebie nieruchomej

do poruszenia jeszcze
niebo i ziemia
i tyle kartek do przewrócenia
do wysłania listów
słów do wyłuskania
ugłaskania
niezawracania z dróg

ponagla mnie
każdy twój krok
nie obok

ponagla
każde uderzenie serca

POPOŁUDNIE

a może by tak
spakować resztę życia
na wszelki wypadek
walizkę kupić za dużą
(koniecznie z drugim dnem)
w dobre ręce
zaadresować

w kolejce
do siebie
prawa poukładać przedwieczne
te przeciw, te za
na nowo rozważyć

pytania wyłącznie właściwe
i miejsce dla siebie
zostawić

przed drogą się
na szczęście złudne
zaszczepić

zaszłości z przeszłości
odmroczyć
żeby wieczór jasny mieć
bezpieczny

tymczasem popołudnie
mówisz:
młodość ma swoje prawa
mówię:
miłość ma prawa wszystkie

HAIKU PRZEDWCZESNE

Cienie na ścianie
To słońce prawie wiosenne
Marzeniem się złoci

PO

boli mnie powietrze
po wietrze

URODZINY

a potem noc
przyszła
i dzień kolejny
w koleiny wcisnął
wyżłobione starannie

i coraz dalej od wtedy
i wcale nie bliżej do znowu

mężczyzna popatrzył w okno
nie w lustro
ot taka niedojrzała dojrzałość
i parę złudzeń na dokładkę

a potem rok
koło zatoczył
ukradkiem
palcem pogroził mężczyźnie
okno mgłą zaszło
a lustro i tak
nie rozpoznało twarzy

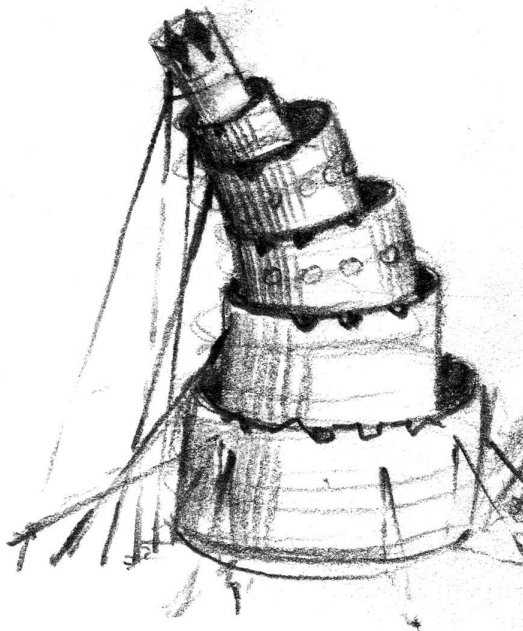
i jeszcze dalej od wtedy
i wcale nie bliżej do znowu

TABLETKI

tabletki na sen
dobry i zły po równo
tabletki
na tarczycę
i na brak tarczy
tabletki na skręt życia
i jelit
na pobudzenie akcji serca
choć potrzebne na zatrzymanie
nadmiernej

tabletki od
do
przeciw
za
i zamiast

tabletki na zawsze
i na nigdy
tabletki
na wers odważny zbyt
i na wiersz
pod tytułem „koniec”



Rys. Wojtek Lutka

Kordian Michalak – dziennikarz radiowy i telewizyjny, nauczyciel polonista, rzecznik prasowy, bibliotekarz, konferansjer, didżej, autor tekstów piosenek, poeta. Laureat wielu ogólnopolskich konkursów poetyckich. Jego wiersze wielokrotnie ukazywały się na łamach prasy krajowej i lokalnej, a także na antenie radia i telewizji. Znalazły się też w kilku poetyckich almanachach. Jest autorem tomików wierszy *Rachunek myślenia* i *Dreszcze*. Mieszka w Opolu.

Dymitr Mereżkowski

Notatnik 1919-1920

przełożył

MARIAN KISIEL

„Zrosyjską rewolucją, wcześniej czy później, przyjdzie się zmierzyć Europie, nie temu czy innemu europejskiemu narodowi, a właśnie Europie, jako całości; z rosyjską rewolucją bądź rosyjską anarchią, albo z czymś takim, co dzisiaj dzieje się w Rosji; czy będzie to przejście od jednej państwowej formy do innej, czy wyjście ze wszystkich form państwowych w nieznaną, to dzisiaj rozeznac jest trudno. W każdym razie, już teraz widać jasno, że jest to niebezpieczna gra nie tylko dla nas, Rosjan, ale i dla was, Europejczyków. Z uwagą i ostrożnością obserwujecie rosyjską rewolucję, choć ostrożność wcale nie jest do końca uważna; to, co dzieje się u nas, jest straszniejsze niż wam się wydaje. Płoniemy, tu nie ma wątpliwości, lecz czy nie ma wątpliwości w tym, że płonąc, i was nie podpalimy?

Europa zna każdy najmniejszy szczegół naszej rewolucji, choć jej wewnętrznego sensu nie rozumie. Widzi ruszające się ciało, a nie widzi ruszającej się duszy rosyjskiej rewolucji. Jej dusza, dusza Rosji, pozostaje dla Europy wieczną zagadką...

...Rosyjska rewolucja to nie tylko polityka, lecz i religia. To jest najtrudniej pojąć Europie, dla której religia jest od dawna również polityką. Sądźcie po sobie: wydaje się wam, że przeżywamy naturalną chorobę politycznego wieku, którą przeżywały w swoim czasie wszystkie europejskie narody; niech będzie wszystko jedno, wyżej głowy nie podskoczysz, gińmy jak wy; uspokoimy się, parlamentarnie będziemy milczeć, pozbędziemy się socjalistycznych i anarchicznych skrajności, i zadowolimy się burżuazyjno-demokratycznym sklepem w miejsce miasta Boga; tak było wszędzie, więc tak będzie i u nas.

Dobrze, rzeczywiście, tak by było, gdybyśmy nie byli „na zewnątrz”, gdyby nie nasza „transcendentność”, nakazująca nam bić głową o ścianę, lecieć „piętami do góry”. W każdym razie, na monarchii konstytucyjnej nie zatrzymamy się. Rosyjska monarchia, choćby i chciała, nie mogłaby przedstawić konstytucji. Dla prawosławnego cara abdykować z samowładztwa znaczyłoby abdykować z prawosławia.

...Lecz kiedy historyczne formy naszego państwa i Cerkwi zostaną obalone, wtedy w politycznej i religijnej świadomości narodu ziać będzie taka pustka, że nie wypełnią jej żadne istniejące formy europejskiej państwowości, nie tylko monarchia konstytucyjna, ale i republika burżuazyjno-demokratyczna. Aby tysiącletnie gromady w końcu się rozbiły, potrzeba takiego trzęsienia ziemi aż wszystkie stare parlamentarne ławy rozpadną się, jak domki z kart. Na żadnej z nich rosyjska rewolucja się nie oprze. Więc na czym, i co dalej z nią? Skoczyć w nieznaną, w „transcendentne”, polec piętami do góry. Rosyjska rewolucja jest tak samo absolutna, jak odbite przez nią samowładztwo. Jej świadoma, empiryczna granica to socjalizm, nieświadomiony, mistyczny. Anarchia. Już Bakunin przeczuwał, że zwycięska rewolucja będzie nie narodowa, lecz światowa. Rewolucja rosyjska będzie światowa.

Kiedy wy, Europejczycy, to pojmiecie, to rzucicie się, by gasić pożar. Lecz bądźcie uważni: nie wy nas zgasicie, to my was rozpalimy”.

❧

Napisałem to w 1907 roku (D. Merejkovsky, Z. Hippus, D. Filosofoff: *Le Tsar et la Revolution*. Paris 1907). Wtedy mi nie uwierzyliście – i dzisiaj nie wierzycie.

❧

Im bardziej jesteście spokojni, tym bardziej jesteście przerażeni.

❧

Kiedy z sobą rozmawiamy, słowa – jak lzy – wchłonięte są przez poduszkę

❧

Bolszewizm to trup wojny. Wojna była światowa i jej trup jest światowy.

❧

Jakkolwiek było to straszne, nie chcemy, by odeszło. Nasze doświadczenie jest naszą dorosłością. A wy wszyscy jeszcze jesteście dziećmi. Patrząc na śmierć, myślicie: umrą wszyscy, tylko nie ja.

❧

Bolszewicy nie są silni swoją siłą, lecz waszą słabością. Oni wiedzą czego chcą, a wy nie wiecie. Oni chcą jednego, a każdy z was czego innego.

❧

Przeceniacie pozytywną siłę bolszewików, umniejszacie zaś negatywną. Oni niczego nie mogą stworzyć, wszystko zaś mogą zburzyć, zbezczeszczyć.

❧

W Rosji „natychmiastowy socjalizm” – jak małżeństwo z pięcioletnią dziewczynką – jest zbezczeszczeniem.

❧

„Myślę – mówi Dostojewski – że najbardziej pilną potrzebą rosyjskiego ludu jest potrzeba cierpienia, wszechobecnego i nieutulonego. Pragnieniem cierpienia jest on, jak się zdaje, zarażony od początku wieków... Swoim cierpieniem lud rosyjski jakby się cieszył”.

❧

W świecie i w człowieku są dwa filary: pasywny i aktywny, ofiarny i heroiczny, wiecznie żeński i wiecznie męski. W doskonałym człowieku – Bogoczłowieku – te dwa filary łączą się. Kiedy Syn zwrócony jest do Ojca, jest pasywny, ofiarny, żeński. „Nie moja, lecz Twoja bądź wola”. Kiedy zwrócony jest do świata – jest aktywny, heroiczny, męski: „Zwycięzyłem świat”.

❧

W rosyjskim ludzie jest tylko jeden z dwóch filarów – religijna żeńskość.



✂

Wobec zachodniego, katolickiego chrześcijaństwa – męskiego – wschodnie, bizantyńskie jest żeńskie. Wpływ prawosławia na lud rosyjski – żeńskości na żeńskość.

✂

Wraz z chrześcijaństwem bizantyńskim lud rosyjski przyjął również bizantyńskie pogaństwo – samowładztwo. W samowładztwie jest początek rzymskiej władzy, rzymskiego męstwa. Lecz jak się ono załamuje w żeńskim rosyjskim żywiole? Według Konstantina Asakowa, istotą rosyjskiej historii jest „wyrzeczenie się, rezygnacja z władzy”, religijna anarchia w obrębie władzy. „Państwo – mówi Asakow – nigdy nie uwodziło swojego ludu; kiedy nasz lud nie chciał przyjmować władzy państwowej, a oddawał tę władzę wybranemu przez niego i przez niego pomazanemu władcy, sam chciał zachować swoje wewnętrzne prawa”, to znaczy żeńskie, ofiarne.

✂

W samowładztwie naród rosyjski wyzbywa się poniekąd swojej męskości i oddaje ją samowładcy.

✂

Całą rosyjską męskość uosabiał car. Upadł car – upadła męskość – pozostała absolutna żeńskość.

✂

Absolutna żeńskość to nieświadomość. Zamiast świadomości – instynkt. Religijny instynkt rosyjskiego narodu został oszukany przez prawosławie i samowładztwo. Car pochodzi od Boga. Był car, był Bóg; nie ma cara, nie ma i Boga. Dlatego właśnie „przejście do pełnego ateizmu było tak proste, jak przejście do łaźni i polewanie się nową wodą” (W. Rozanow, *Apokalipsa naszego czasu*). Błyskawicznie się przechrzcili.

✂

Naród pokłonił się carowi, jak Bogu; inteligencja pokłoniła się narodowi, również jak Bogu. Bezosobowy naród ubóstwił cara; samotna osoba ubóstwiła bezosobowy naród. Bałwochwalstwo, wzajemne ubóstwienie. Dwa różne bluźnierstwa – człowiekობstwo i ludobóstwo.

✂

Iwan Karamazow powiedział: „Człowiek jest Bogiem”. A Śmierdiakow uczynił Bogiem siebie.

✂

Kiedy naród został Bogiem, stało się z nim to, co powiedziano o człowieku w związku z jego człowieczeństwem, które postawiło się na miejscu Boga: „Odbiorę mu serce człowieka i dam mu serce zwierzęcia”.

✂

Straszny jest Car-Zwierzę, lecz bardziej straszne Zwierzę-Lud. Rosyjska rewolucja wyrzuciła samowładztwo, lecz go nie zgładziła. Samowładztwo cara to piramida ostrzem na sztorc: jeden zniwala wszystkich. Samowładztwo ludu jest również piramidą, ostrzem w dół: każdy jest zniewolony przez wszystkich. Lecz siła ucisku, ciężar niewoli w obu przypadkach są jednakowe.

✂

Religijna idea samowładztwa, ta oś, na której się ono obraca – prawosławie – pozostaje rewolucją nietkniętą, niezrozumiałą. Na tej osi piramida samowładztwaswobodnie została wywrócona, zwróciła się ostrzem w dół; a uzdrowiona, z równą łatwością zostanie przywrócona ostrzem do góry.

✂

Car Mikołaj miał Rasputina, car-lud ma Lenina. Jeden – chłop, drugi – inteligent; jeden – cudzołóżnik i pijak, drugi – eunuch i abstynent; jeden – fanatyk Boga, drugi – poza Bogiem. Jakże odmienni i jak podobni! Nie w oczach, a w spojrzeniu, albo tylko w możliwości spojrzenia – jeden i ten sam rosyjski chmiel, rosyjski bies, czarny Dionizos; jedno i to samo szaleństwo biczowań, wszystko jedno jakich, monarchistycznych czy anarchistycznych.

✂

W ostatnie dni cara Mikołaja należało wpatrywać się w twarz Rasputina, żeby zrozumieć: to majączenie, omamy; to dłużej trwać nie może. I teraz należy wpatrywać się w twarz Lenina, żeby zrozumieć: to długo trwać nie może; drugi Rasputin upada i zaczyna się druga rewolucja – nie, nie druga, ale pierwsza – ta sama, nie zakończona,

a tylko zatrzymana, przygnieciona nietopniejąca bryłą lodu obalonego samowładztwa – Październikową kontrewolucją.

✂

Nadchodzącego Chama rozpoznaje się po brzydkim zapachu. To żart? Nie, estetyka nie jest żartem, a wnikięciem w serce rzeczy. Nie piękno, antyestetyka rosyjskiej „socjalistycznej rewolucji” to złowieszcy znak. Życie jest wspaniałe; wszystko, co żywe kwitnie i słodko pachnie; tylko martwe czeźnie i śmierdzi.

✂

Jak słodko pachną nasze Luty i Marzec, słonecznośnieżne, w zawiejach, błękitne, jakby nieziemskie, górzyste. W te pierwsze dni albo tylko godziny, jakież piękno biło z ludzkich twarzy. Gdzie jest ono teraz? Wpatrzcie się w Październikowy tłum: on nie ma twarzy. Tak, nie brzydota, a brak twarzy, oto co w nim jest najstraszniejsze.

✂

Małeńkie, szarzutkie, niewidzialne, niepoliczalne, podobne do owadów. Nie ludzie, ale mszyce.

✂

Po słowiańsku „mszyca”, a po rosyjsku to owad, który przynosi dur plamisty, naturalną chorobę naszej „socjalistycznej ojczyzny”. Piotrogadzka Komuna postanowiła umyć lud w łaźni siłą, jak myje się małe dzieci. Przez tysiąc lat lud sam szedł do kąpieli, a teraz go nie zagonisz pałką. Polubił brud. W *Wojnie i pokoju* Pierre Bezuchow, po pożarze Moskwy, we francuskiej niewoli, aż tak się zapuścił, że polubił wszy: „Wszy, jedzące go, zagrzewały jego ciało”, mówi Tolstoj. Oto skąd ta socjalistyczna mszyca. Nie wróg pustoszy, nie obce zwierzę wyzera, lecz swoja ojczysta mszyca wysysa Rosję.

✂

W herbie carskiego samowładztwa jest św. Jerzy Zwycięzca, przebijający kopią skrzydlatą mszycę. A w herbie ludowego samowładztwa jest bezskrzydłata Zwycięska mszyca

✂

Okropności w okropnym śnie nie da się wypowiedzieć, nie da się zapamiętać. Tak samo my nie możemy wypowiedzieć tego, co teraz dzieje się w Rosji: już prawie nie pamiętamy.

✂

Idąc po petersburskich ulicach i wpatrując się w twarze, od razu rozpoznasz: to komunista. W jego twarzy nie brutalna sytość jest najważniejsza, nie zwierzęca drapieżność, lecz nuda, transcendentna „nuda ziemskiego raj”, „królestwa Antychrysta”.

✂

W Petersburgu już dawno stanęły wszystkie fabryki, kminy nie dymią. Niebo nad umierającym miastem jest jasne, bladezielone, jak nad górkami szczytami. Na ulicach śnieg – dziewiczobiałe, jak na polu. Wszystkie sklepy są zamknięte; przechodzących jest mało; poczta prawie nie jeździ – tylko rzadkie samochody z komisarzami i ciężarówkami z czerwonooarmistami. Na środku ulicy – końska padlina z obnażonymi zębami; psy rwą strzępy krwawego mięsa. Na włochatych koniach jadą Baszkirzy, żółtolicy, skośnoocy; śpiewają żalobną, dziką pieśń, tę samą, którą śpiewali w słonych stepach Średniej Azji.

✂

Do głodu łatwiej przywyknąć niż się zdaje. Przez pół roku żywiłiśmy się przemarzniętymi ziemniakami, kiszoną kapustą i czarnym chlebem ze słomą. I nic, przywykliśmy. Nawet czuliśmy tę lekkość, wstrzemięźliwość ducha, o której mówią chrześcijańscy asceci. Nigdy tak smacznie nie jedliśmy: dwa okruszki cukru ze skórką czarnego chleba to był cały bankiet.

✂

Strach przed głodem jest straszniejszy niż sam głód. Sprzedaliśmy wszystko, co było można – ubrania, meble, naczynia, książki – i zrozumieliśmy, że niebawem nie będzie można już nic sprzedać. Kiedy funt chleba kosztuje 300 rubli, a funt masła – 3000, żadnych pieniędzy nie starczy i śmierć głodowa zajrzy w oczy.

✂

Wielki rosyjski pisarz Wasilij Wasilewicz Rozanow umarł ze strachu przed głodem. Przed śmiercią zbierał po ulicach niedopałki papierosów.

✂

Chłód jest bardziej dotkliwy niż głód. Dobry urzędnik z komisariatu spraw wewnętrznych przysłał nam trochę drewna z krematorium; obie-





cał również przysłać z cmentarnych parków, które będą rąbać na drwa. Lecz tych martwych dREW dla nas nie starczyło. Jakoś ociepliliśmy dwa, trzy pokoje, pozostałe pozamykaliśmy. Siedzieliśmy w kozuchach. Patrząc na bibliotekę, pocieszałem się myślą, że można będzie podtrzymać ogień najpierw dzięki półkom, a potem książkom.



W Moskwie stanęły wodociągi. Toalety zamknięto i zakazano do nich chodzić pod groźbą „rozstrzelania”. Chorzy chodzą na poddasze, a zdrowi na podwórze. Na podwórzach – góry zamarniętych nieczystości. Nie ma kto ich wywieźć i gdzie. Do wiosny odtają.



Pękają zamarnięte rury wodociągów; ściany domów są zniszczone. Jeszcze dwie, trzy takie zimy i z rosyjskich miast zostaną tylko ruiny.



Czy Rosja może przeżyć bez miast? A dlaczego nie? Rosja to wieś; wieś nie lubi miast: „Dość naszej krwi wypili, przeżyjemy i bez was!” I przeżyją. Zdżiczają, zezwierzęcają się, zjedzą ich wszy, lecz przeżyją i będą syści. Kiedy porażony jest mózg, człowiek popada w idiotyzm. Lecz idioci żyją czasami bardzo długo i zdrowięją, grubną. Co będzie, jeśli rosyjski lud przemieni się w takiego idiotę, grubego, z „bielmem”, który to wizerunek tak niepokoił znawcę rosyjskiej wsi Iw.[ana] Bunina? Czy nie utrwali się komunistyczny raj na plecach tego idioty, jak niebo na plecach Atlasa?



„Czym jest Rosja? Lodową pustynią, po której chodzi nikiem człowiek”. Słowa te wypowiedział K.[onstanty] P.[iotrowicz] Pobiedonoscew.



W dwudziestostopniowy mróz, przez piętnaście wiorst gonią do pracy przy wykopach siedemnastoletnich kursantów i starych profesorów, akademików. Zaprotestował Gorki, napisał do Lenina; prosi, żeby tego nie robiono. Jakby tego nie zrobili właśnie Gorki z Leninem.



Lenin to samowładca, Gorki to biskup. Jest on w takiej czulej opozycji do Lenina, jak Suworin do Mikołaja II. Gorki i Suworin mają tę samą twarz, na wszystko gotowe: „Czego chcecie?” U obu w duszach ta sama przepaść w nicość, w nihilizm, we „włóczęgostwo”. Obaj są wielkimi rozpustnikami, albo – dokładniej – rozpustnicami. Absolutna rosyjska żeńskość, absolutna prostytucja.



Gorki założył wielomilionowe wydawnictwo rosyjskich tłumaczeń klasyków europejskich, „Literaturę Światową” – przytułek dla umierających z głodu pisarzy rosyjskich. Zapłata za arkusz drukarski z 40000 znaków – 300 leninówek [leninok], 3 kopiejki carskie, funt chleba. Wystarczy na powolną głodową śmierć.



Spekulant Grzebin, stojący za plecami Gorkiego, skupuje za grosze całą rosyjską literaturę. W sieci tego pająka wszyscy rosyjscy pisarze miotają się jak muchy.



W Moskwie wynaleziono nową karę śmierci: wsadza się człowieka do worka wypełnionego wszami i wszy zjadają go na śmierć. Do takiego worka wsadził Gorki duszę Rosji. A Europa rozmyśla: możliwa jest, czy też niemożliwa stopniowa ewolucja od worka wszy do porządku prawnego.



Kaci chińscy sprzedają w jatkach zamiast cielęciny mięso rozstrzelanych. Być może jest to legenda. Ale faktem niezaprzeczalnym, opowiedzianym mi przez świadka, jest to, że w Instytucie Medycyny Eksperymentalnej bulion dla prątków przygotowuje się z przepuszczonej przez maszynkę do mięsa ludzkiej wątroby. A Europa rozmyśla: możliwa jest, czy też niemożliwa stopniowa ewolucja od ludzkiej maszynki do mięsa do wolności, równości i braterstwa?



Wśród rosyjskich komunistów są nie tylko złodzieje, ale i dobrzy, prawi ludzie, prawie „święci”. Są najstraszniejsi. Bardziej niż od złodziei, cuchnie od nich „chińskim mięsem”.



Całe lato 1919 roku przeszło nam w „mękach nadziei”. Czekaaliśmy wyswobodzenia z dnia na dzień, z godziny na godzinę. Kie-

dy w czasie natarcia Judenicza zbliżały się głucho dźwięki armatnich salw, wsłuchiwaaliśmy się w nie, jak pogrzebani za życia – w stukot w pokrywą trumny. Ludzie oszaleli: widzieli patrol „białych” na Alei Zabalkańskiej; kiedy rozlegała się muzyka wojskowa, wyskakiwali rankiem z łóżek i rzucali się do okien, myśląc, że są to pierwsze oddziały oswobodzicieli. Patrząc na aeroplany „białych”, śmiali się i płakali.

Lecz wystrzały, stopniowo się oddalając, umilkły. I przestaliśmy czekać: zrozumieliśmy, że stukaliśmy w trumienne wieko, trumnę – zabito młotkiem.



Właśnie wtedy zrozumieliśmy, że świat będzie zamknięty i rzeźkome „niemieszanie się” Europy w rosyjskie sprawy okaże się rzeźkolistym mieszanym się na korzyść bolszewików. To, co Europa zrobiła z Rosją, nigdy nie będzie wybaczone. Nie my wam, lecz wy sami sobie tego nie wybaczyście.



W czym zawiera się sens wojny światowej? W zwycięstwie prawa nad siłą. Lecz zawierając pokój z bolszewikami, Europa godzi się na takie zwycięstwo siły nad prawem, jakiego jeszcze nigdy na ziemi nie było, i tym samym unicestwia sens wojny światowej.



Przed naszymi oknami, na środku ulicy, wyrosła gęsta, zielona trawa. W ciche letnie dni wiatr szeleści w trawie i unosi się przezroczysty puch dmuchawców...



Patrząc na błękitne niebo jak przez więzienną kratę. Cała Rosja jest więzieniem: uczucie to nie opuszczało mnie przez dwa i pół roku ani na minutę.



Naprzeciw naszych okien jest Dom Inwalidów. Dniem i nocą dochodzi stamtąd monotony, nużący dźwięk harmonii. Kiedy się tak weń dłużej wsłuchuję, wydaje mi się, że już dawno umarłem i nastąpiła wieczność. Jak w Apokalipsie: „Anioł zaś, którego ujrzałem stojącego na morzu i na ziemi, podniósł ku niebu prawą rękę i przysiągł na Żyjącego na wieki wieków, który stworzył niebo i to, co w nim jest, i ziemię, i to, co w niej jest, i morze, i to, co w nim jest, że już nie będzie zwłoki (Ap. Św. Jana 10, 5-6): Nuda, okropna nuda ziemskiego raju, królestwa Antychrysta.



Wniosłem podanie do Piotrogradzkiej Rady Delegatów Robotniczych i Chłopskich, że chcę z powodu choroby wyjechać za granicę. Dostałem odpowiedź: „Nie wypuszczać pod żadnym pozorem”. Z bezgraniczną władzą nad półtora setką milionów niewolników ludzie ci boją się nadmiernie wolnego głosu w Europie. Zamęczą, zabiją, lecz nie wypuszczą.



Moja rozmowa z tym dobrym komisarzem, który przysłał mi drwa:

- Jeśli nie wypuszczą, przekroczę front.
- Nie radzę.
- Rozstrzelają?
- Tak, mogą.
- Więc dajcie taki papier, żeby nie rozstrzelali.
- To nie w naszej władzy. Sprawa wojenna: pojmą, uznają za szpiega i postawią pod ścianę.
- Jak to możliwe?
- Po cóż wam wyjeżdżać za granicę? Zostańcie w Rosji.
- Ja tutaj umrę z zimna i głodu. I nic nie można zrobić, zwiariuję od nudy.
- Nie pozwolimy wam, tylko pracujcie, piszcie, głoście wykłady.
- Nie jestem komunistą.
- Nikt od was nie oczekuje komunizmu. Ogólnej pracy kulturalnej jest w Rosji wiele.

Przypomniałem sobie „Literaturę Światową” Gorkiego – „worek ze wszami” – i nic nie odpowiedziałem.



Zaproponowano mi wystąpienie w rocznicę 14 grudnia 1825 roku, na świątecznej gali, w Pałacu Zimowym, w Białej Sali z kolumnami. Powinienem był wysławić męczenników rosyjskiej wolności przed obliczem morderców wolności [swobodoubijc]. Gdyby tych pięciu powieszonych zostało wskrzeszonych, powiesiliby ich z powrotem, za Lenina, tak samo jak za Mikołaja Pierwszego.





Och, czystsze są pętle Mikołaja,
Niż palce szarych małą!

Tak właśnie powinienem powiedzieć, i już by mnie więcej o nic nie prosili. Ja to wiedziałem, i oni wiedzieli.

☞

W ciszy bezsennych nocy ważyłem dwie jednakowo straszne możliwości. Życie w Rosji to umieranie cielesne bądź duchowe, korupcja, upodlenie, a ucieczka to prawie samobójstwo – spuszczenie się z więziennego okna na płóciennych prześcieradłach z zawrotnej wysokości. I jak uciekać, zostawiwszy bliskich? Co lepsze, zginąć ze wszystkimi, czy samemu ocaleć? Dokonać wyboru, wszystko rozważyć, zdecydować się na ucieczkę, być może było trudniej niż uciec.

☞

Kiedyś wygnanie było prawie tym samym, co śmierć. Myśmy już wtedy mieli przedsmak tej śmiertelnej goryczy, którą obecnie pijemy pełną czarą. Wy, którzy tu zostajecie, nie zazdroście nam!

☞

Staruszka niania, kiedy powiedziałem jej o ucieczce, zapłakała w milczeniu; i piesek Afik, nasz wieloletni przyjaciel, patrząc rozumnymi oczami na nią i na mnie, zawył żałośnie: jak gdyby oboje prowadzili mnie na śmierć.

☞

Półtora roku szykowaliśmy się do ucieczki. Trzy razy już wszystko było gotowe i nagle w ostatniej minucie się psuło. Z początku chcieliśmy uciekać przez Front Finlandzki, potem przez Łotewski a, w końcu, przez Polski. W ostatnim czasie wielu wiedziało o naszym zamiarze, słuchy chodziły po mieście i żyliśmy w wiecznym strachu, że ktoś doniesie. Ileż pracy, poniżeń, kłamstw, chytrych wart był papierek pozwalający nam wyjechać z Petersburga – mandat na głoszenie wykładów oświatowych w jednostkach czerwoarmistów.

☞

Wiedzieliśmy, że za granicą leninki zmienia się w pył, i będziemy ubodzy, nędzy na nagiej ziemi. Lecz bielizny i ubrań nie wolno było wziąć więcej niż każdy mógł zmieścić w podręcznym tobołku lub w walizce. Z jaką męką wciskaliśmy rzeczy; jak się martwiliśmy, co lepsze – zwykła para butów czy drogiocenny rękopis; z jaką złodziejską zwinnością zaszywaaliśmy pieniądze w wyłogi sukienek i walizek!

☞

Trzy dni przed wyjazdem przyszedł mróz dwudziestosiedmiostopniowy, a myśmy nie wiedzieli, czy wagony się nie stopią. Ale nie wolno było niczego odraczać.

☞

W mglistoróżowy grudniowy wieczór, przez wymarłe ulice pełne zasp, na dwóch furmańskich saniach, najętych za 2000 rubli, pojechaliśmy na Dworzec Carskosielski. Na dworcu – ostatni mityng z przemówieniami komunistów, z koncertem śpiewaczek operowych i z żalobnym śpiewem Międzynarodówki. Przed trzecim dzwonkiem bagażowy, wynajęty za 1000 rubli, poprowadził nas w stronę wściekłego tłumu – pchających się do pociągu czerwoarmistów i spekulantów. Nie mogliśmy wnieść rzeczy, należało je porzucić, inaczej byśmy nie weszli. Dwoje naszych towarzyszy już weszło do wagonu, lecz tłum ich od nas odciął. W końcu ktoś nam pomógł. Wcisnęliśmy się. Korytarz był nabit czerwoarmistami, zawalony skrzyniami i workami. W przedziale dla czterech osób było czternaście i taki zaduch, że jedno z nas zemdlało.

☞

Trzy dni z Petersburga do X. – bezustanne delirium. Naloty Cze-ka, przesłuchania, rewizje, aresztowania, picie, śpiew, ruganie, kłótnie, ciągła walka o miejsce, duchota, ciemność, smród, robaki pełzające na ciele... Lepiej tego nie pamiętać.

☞

X. – przyfrontowe miasteczko – większa wieś. Połowa mieszkańców ma tyfus. Zatrzymaliśmy się w żydowskiej karczynie – czworo w jednym pokoju, 1000 rubli za dobę. Nasz gospodarz, kontrabandzista, grabił nas niemilosierdzie, ponieważ wiedział, po co przyjechaliśmy. W X. jest cała społeczność kontrabandzistów, którzy przemycają za front nie tylko towary, ale i burżujów. Mieliśmy dobrą rekomendację z Petersburga, więc łatwiej się było nam dogadać. Obiecano nas przeprowadzić do m.[iasta] N. za 20000 rubli. Na-

jęliśmy furmanów, lecz ci nas oszukali, nie przyjechali. Byłoby strasznie, gdyby donieśli.

☞

Wywiesiliśmy kożuchy na mróz, wygotowaliśmy bieliznę, żeby pozbawić się wszy. Z.[inaida] N.[ikołajewna] dostała gorączki. Bałem się, że to będzie tyfus. W nocy, chora, mającyla, że wstępuje na strome schody ze stopniami tak wysokimi, że nijak wejść nie można, a iść trzeba – inaczej potkniesz się i spadniesz w przepaść; a na samej górze schodów – gigantyczna, biała wesz.

☞

– Jakież porzucenie! Jakież porzucenie! – szeptała chora. Nigdy nie zapomnę tego szeptu. Cała melancholia wygnania – w dwóch słowach.

☞

Rosyjski furman oszukał, Łotysz okazał się uczciwy – przyjechał. Zawiał południowo-zachodni wiatr, mróz zelżał. Okryliśmy się, położyliśmy na deskach i wczesnym, jeszcze ciemnym rankiem pojechaliśmy z wielką ostrożnością, żeby nie nadziać się na oddział czerwoarmistów, po szerokich i pustych ulicach, wzdłuż śpiących domków. Kiedy bezpiecznie mijaliśmy roгатkę i w otwartym śnieżystym polu wolny wiatr zawiął nam w twarz, a potem w sosnowym borze, kiedy zapachniało smolą w ciepłym powietrzu, poczułem taką radość, że zdało mi się, że można za nią oddać życie. Wtedy zrozumiałem, że nie pomyliłem się w wyborze – zrobiłem to, co trzeba: umrzeć, lecz być wolnym.

☞

Głuchymi leśnymi drogami, a czasami zupełnie bez dróg, po omacku brnęliśmy przez śnieżne zasy do wsi – do ostatniego punktu, najbliższego polskiego frontu. W Z. Łotysz sprzedał nas Polakowi-kontrabandzistce, który również przeprowadzał zbiegów przez front. U Polaka zatrzymaliśmy się na nocleg. Ten głupi, mały człowiek z wystraszoną i głupią miną, nie bardzo nam dawał jakąś nadzieję. Wieczorem udał się na zwiad i, wróciwszy późną nocą, powiadomił nas, że jechać jest niebezpiecznie: na drogach są posterunki; ale i czekać też jest niebezpiecznie: w całym miasteczku są obławy i rewizje. Postanowiliśmy jechać.

☞

Minąwszy ostatnią chatę na drodze, gdzie mógł być posterunek, furman bojaźliwie odwrócił na nią głowę, my również spojrzeliśmy na nią; czy nie zapala się w ciemnych oknach lampy, czy nie wyskoczą z wrót ludzie z karabinami? Wiedzieliśmy, że jeśli wpadniemy, lepsza jest od razu egzekucja niż powolne tortury z zastraszaniem. Chwała Bogu, przejechaliśmy! Przy nikłym świetle gwiazd, w ciemnym, ośnieżonym polu, znów krążąc po omacku, bez dróg, czasami wywaliliśmy się w śnieg, objeżdżając dwa ostatnie posterunki na N-skiej trasie. W końcu minęliśmy je. Pojechaliśmy lasem, tak wąską ścieżynką, że ośnieżone sosny i jodły dotykały naszych twarzy puszystymi, białymi łapami.

☞

Jeszcze jedna, ostatnia wieś. Kiedy tłum okolicznych chłopów otoczył nas, serce podskoczyło mi do gardła. Co będzie, jeśli krzykną: „Stój!” Lecz popatrzyli w milczeniu, z obojętnością, i przepuścili nas. Dowiedzieliśmy się później, że niedawno, w tej samej wsi, chłopci zabili i ograbili kilku uciekinierów.

☞

Nagi, śnieżny step. N-ski gościniec. Słupy telegraficzne brzęczą monotonna. Lodowaty wiatr jak tnące noże. Żeby nie zamarznąć, położyliśmy się na spodzie sań i przykryliśmy głowy. Nagle, na samym końcu białej równiny pojawiły się czarne punkty: polski front.

- Kim jesteście?
- Rosyjskimi uchodźcami.
- Skąd?
- Z Piotrogradu.
- Dokąd?
- Do Warszawy, Paryża, Londynu.

Poznański legionista dał znak, otwarto bramę i przejechaliśmy linię graniczną, oddzielającą ten świat od tamtego.

☞

Tutaj na wygnaniu – ten sam krzyż, jak tam, w Rosji; myśmy go tylko przełożyli z ramienia na ramię.

☞

Rosja jest naszą ziemią, naszym ciałem. Bez ziemi jesteśmy jak bez ciała. Nasza miłość do Rosji jest nieutulona – nieutulone pragnienie obleka się w nowe ciało, w nową ziemię.





☪

Na Bożą niwę, zaoraną plugiem bratobójczej wojny narodów, my rosyjscy wygnancy, pozbawione ciała duchy wszechświata, padamy jak ziarno siewu Bożego, przyszłego braterstwa narodów.

☪

Nasza miłość do Rosji jest nie tylko miłością, ale i zakochaniem. Rosja jest Matką i Narzeczoną, Matką i Kochanką jednocześnie.

☪

Nie jest dla nas przypadkiem, lecz błogosławionym darem losu, darem Opatrzności, że jesteśmy teraz w Polsce, ziemi mesjanizmu, ziemi świata uniwersalnego.

☪

Nie pamiętam, gdzie czytałem bądź słyszałem tę legendę.

W czasie rozbiorów, ukrzyżowania Polski, Matka Boska Ostrobramska, ciemnym rankiem, do świtu, chodziła po litewskich polach i smuciła się, i płakała. Jej łzy padały na ziemię jak rosa, i kwiat wyrósł z tej boskiej rosy. Imię kwiatu – „Serce Polski” – mesjanizm polski.

W czasie klęski Rosji, rosyjska Matka Boska, Matka Bolesna chodziła po rosyjskich polach i smuciła się, i płakała. I tak samo z jej łez wyrósł kwiat. Imię kwiatu – „Serce Rosji” – mesjanizm rosyjski. Oba kwiaty są jednakowe; jest w nich jedno złote serce.

Świat teraz ginie z powodu bratobójczej wrogości narodów. Takiej wrogości jak między dwoma narodami-braćmi, rosyjskim i polskim, nigdy jeszcze nie było. Lecz kiedy ta wrogość się udobrucha, dwa narody połączą się, to ich złote serce jak kwiat otwory się i ogrzeje, jak słońce, całą ludzkość.

☪

Co oznacza światowa katastrofa, przeżywana dzisiaj przez ludzkość; zagładę Europy – polityczną, ekonomiczną, socjalną, kulturalną? Dlaczego w wojnie światowej nie ma zwyciężonych, nie ma zwycięzców? Dlaczego zwycięstwo jest gorsze niż klęska?

Rosyjski bolszewizm i polski mesjanizm odpowiadają na te pytania jak gdyby jednak: z kategorii narodowego bytu ludzkość powinna niechybnie, pod groźbą zagłady, przejść w inny wymiar, wyższy, bytu wszechświatowego. Niegdyś, w ludowych formach swojego bytu, narody żyły i rosły wolne; teraz umierają w nich, duszą się. Niegdyś były pieluchą kołysanki, teraz formy te stają się śmiertelnymcałunem. Ludzkość albo położy się w nich do grobów, żeby się rozpaść, albo odrzuci je jak wskrzeszony Łazarz.

☪

Wymóg uniwersalnego bytu w rosyjskim bolszewizmie i polskim mesjanizmie ma podobną zewnętrzną. Tymczasem przy zewnętrznym podobieństwie, właśnie wewnętrzna sprzeczność jest najgłębsza.

Rosyjski bolszewizm utwierdza równość bez wolności, dlatego że nie może rozwiązać antynomii wolności i równości. W samej rzeczy, antynomia ta jest nierozwiązywalna w porządku racjonalnego myślenia. Tutaj osoba (dokładniej: „indywiduum”) jest wchłaniana przez społeczeństwo (dokładniej: „państwo”). Jeden – Wszystkim, Wolność – Równością; do eksterminacji, absolutnej zagłady.

Antynomia ta jest możliwa do rozwiązania jedynie w porządku myślenia religijnego; teza: Ja – Osoba, Wolność – i antyteza: Nie-Ja, Społeczeństwo, Równość – łączą się w syntezie: w Braterstwie, Miłości.

☪

Łączność ze światem bolszewizm opiera na nienawiści. Że próby takich związków są możliwe, pokazuje międzynarodowa wojna światowa i jeszcze bardziej światowa, wojna domowa – „walka klas”. Czym skończyła się pierwsza, już wiemy; być może, prędko dowiemy się, czym skończy się druga.

Mesjanizm opiera światową łączność na miłości. Próba takiego związku nigdy jeszcze się nie dokonała, dlatego że ludzkość nie znała innej światowości, prócz chrześcijaństwa, lecz przecież w chrześcijaństwie miłość jest tylko początkiem osobistym.

W mesjanizmie miłość jest jednocześnie początkiem osobistym i publicznym, królestwem Bożym na ziemi i w niebie. To nowe przykazanie miłości – „przykazanie nowe daję wam” – połączenie Wolności i Równości w Braterstwie, Ojca i Syna w Duchu Świętym – Trzecie Przymierze.

☪

Najbardziej przerażająca w śmierci jest utrata sensu. Za to zginęła Rosja? Nie z powodu swojej wiecznej duszy, lecz za uniwersalizm.

☪

„Apokalipsa” to koniec historii świata. Europa chce jeszcze kontynuacji: w tym jest jej słabość. Bolszewizm chce końca: w tym jest

jego siła. Nie wierzy w „Apokalipsę”, lecz sam jest do gruntu „apokaliptyczny”.

☪

Można mieć nadzieję, że to jeszcze nie koniec i ludzkość przetrwa; lecz właśnie można mieć tylko nadzieję.

☪

Czyż prawdziwy koniec nie nastąpi tak samo, jak podobne końca – od wewnątrz – najpierw od wewnątrz, a potem już z zewnątrz? I czy teraz nie powtarza się na naszych oczach objawione widzenie z Patmos? Czyż nie jesteśmy wyczerpani lekkiem przedkatakizmem, jaki nadchodzi z wszechświata? Czyż nie zwija się nasze wewnętrzne niebo, jak zwój? Czy nie staje się nasze słońce jak krew i nasza woda jak piolun? Czy nie kruszy się nasz wielki Babilon? I czy Szkarłatnoczerwona Bestia nie wychodzi z otchłani, z otchłani naszych serc?

☪

Światowe brzemie ma dzisiaj swoje centrum w Rosji. Bez Rosji Europa ani nie zginie, ani nie ocaleje. To znaczy, że straciliśmy wszystko, oprócz naszej uniwersalności.

☪

Ludzie zabili Boga – to jest przyczyna wszystkiego. Ale wydaje się czasem, że to Bóg zabił ludzi.

☪

Jeśli to, co teraz się dzieje, zależy od ludzi, to nie ma dla nich wybaczenia. Lecz to nie tylko od nich zależy. Ludzie powinni coś zrobić, żeby ocaleć; ale nie tylko ludzie.

☪

Nigdy? Nie, dwukrotnie było to, co teraz: na początku, kiedy Bóg wywiódł świat z chaosu; i w środku, kiedy Słowo stało się Ciałem. I teraz jest to samo, na końcu – w tym, dla czego jeszcze nie mamy imienia.

☪

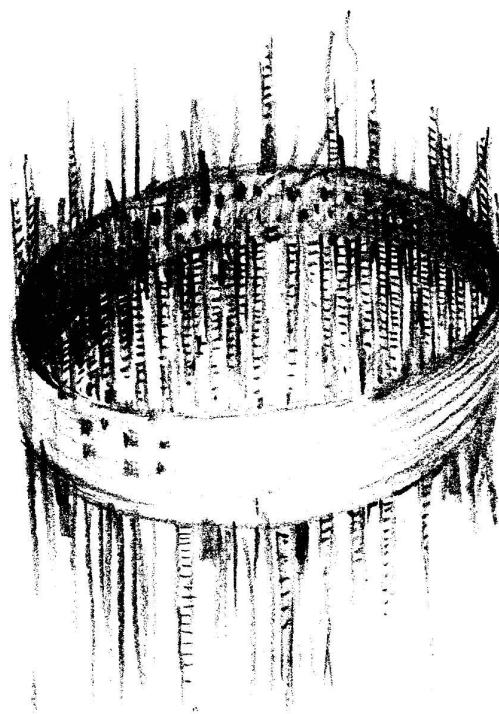
Kielich Chaosu napełnił Kosmos. Kielich Kosmosu napełnił Logos. Kielich Logosu napełnił Duch.

☪

Jeszcze nie wiemy, czym będzie zjawisko Ducha; lecz wiemy, co będzie, jeśli znów świat pogrąży się w chaosie.

☪

Inne narody kończą ratować świat, Rosja [dopiero] rozpoczyna.



Rys. Wojtek Łuka





Fot. Janusz Stobiński

Marta Fox

O poezji Marty Fox pędzłem Miró pisanej

ANNA ZOFIA GĄSIENICA BYRCYN

Marta Fox, wybitna współczesna polska poetka, pisarka, eseistka, pasjonuje się od wielu lat twórczością Joana Miró, znamienitego katalońskiego malarza, rzeźbiarza i ceramika. Swoją zbiórkę poezji zatytułowaną *Rozmowy z Miró*, poświęcony rozważaniu istotnych zagadnień związanych z pragnieniem niezależności, przemijaniem czasu, bezradnością, samotnością, cierpieniem, starością, opublikowała w 2011 r. Fox zwraca się w formie monologu do Miró, jednego z głównych artystów XX wieku, reprezentującego różne prądy artystyczne od surrealizmu poprzez fowizm, kubizm aż po abstrakcyjny ekspresjonizm.





Poetka dzieli się swymi obawami i wrażeniami z Miró, „malarzem kobiet, ptaków, gwiazd, i księżycy”, ponieważ jest pod urokiem jego dzieł, które przedstawiają świat pogodnych, rytmicznych i barwnych znaków, wydawałoby się daleki od wszelkich trosk. Studiując i kontemplując biomorficzne abstrakcje Miró, Fox najwidoczniej dostrzegła zapał, niepokój i marzenia, które dźwięczą głęboko zarówno w katalońskim artyście jak i w niej samej. Poetka domyśla się, że rozbawione, wesole, beztroskie i dziecinne wyobrażenia Miró, artysty „światła Morza Śródziemnego” są złudne, wspaniałe surrealistyczne obrazy inspirowane kubizmem i fowizmem wypełnione są zawilgocionymi znaczeniami, zrozumiałymi jedynie przez przygotowanych do podjęcia intelektualnej podróży, magii odczytywania poetycznych dzieł malowanych jego pędzlem.

Miró był mocno zakorzeniony w swej katalońskiej ziemi, która ukształtowała jego osobowość. Wierzył, że prości ludzie z Mont-roig del Camp posiadają wielki potencjał i przywrócą wielkość Katalonii i dlatego namalował *Bunt katalońskiego chłopca/Paysan catalan en révolte* (1937), obraz odnoszący się do katalońskiego hymnu narodowego *Żeńcy/El segadors*, którego zakaz wykonywania wydany przez Franco obowiązywał do 1975 r. Jednocześnie Miró w swoich obrazach starał się podkreślić kataloński optymizm, nawiązując do wczesnej sztuki katalońskich prowincjonalnych kościółków, łącząc współistnienie czarnych i białych kolorów i apelując o nadzieję, akceptację, oddanie, sumiennosc oraz szczerosc⁴. Poświęcał wiele uwagi detalom (zwłaszcza w pejzażach), aby odzwierciedlić swoją przynależność do rodzimnej ziemi, widoczne jest to szczególnie w *Gospodarstwie*, dziele zakupionym przez Ernesta Hemingway'a², który wcześniej poznał się na jego doniosłości. Miró świetnie znał sztukę popularną, doceniał jej wartość i wielkość, twierdząc, że im bardziej twórczość artystyczna jest lokalna, tym bardziej staje się ona uniwersalna³.

Podobnie jak wielu artystów ze swej generacji, Miró doświadczył przerażających lat wojennych. Przeżył I wojnę światową, wojnę domową w 1936 roku i II wojnę światową. Przez lata przesładowały go koszmary owych ciężkich czasów. Stał się pesymistą i sądził, że zawsze wszystko musi skończyć się źle. Jego humor i malowidła pełne intensywnych żółtych, niebieskich oraz czerwonych plam powstawały pod wpływem potrzeby oderwania się od własnych doświadczeń, naznaczonych horrorem i okrucieństwem wojen,

jak również chęcią ucieczki od swej osobowości nacechowanej mocno pesymizmem⁴.

Niebawem Miró osiągnął uznanie dzięki swej niestrudzonej i systematycznej pracy. W swych dziełach poetyzował i dodawał plastycznej intensywności wszystkiemu co małe, a zwłaszcza ptakom, ważkom, kroplom rosy i błyszczącym w dali gwiazdkom. Miró wybrał drogę artysty, który oddał się od przekazania informacji na temat dziejących się w danym momencie wydarzeń, przesuując swe zainteresowania do intymnych momentów wpatrywania się w ruch skrzydła ptaka, połysku kropli rosy, czy migotania gwiazd. Kataloński artysta stworzył fantastyczne obrazy wypełnione biomorficznymi figurami przetwarzającymi się w różne formy w zależności od wyobraźni widza⁵. Jego dzieła otworzyły drzwi światu marzeń i fantazji pozbawionego hipokryzji oraz fanatyzmu⁶. Na jego płótnach następuje transformacja obiektu w ideogram o ukrytym symbolicznym znaczeniu, ponieważ dla Miró każda rzecz odłącza się i odlatuje od innych obiektów, podobnie jak jego ulubiona figura, którą był ptak, symbol wolności i duchowości. Miró z wyobrażeniami ptaków stworzył całą serię malarskich zapisów, które są niczym muzyczne partytury. Te malownicze zapisy, które powstały pod pędzlem Miró pozwalają na niezliczone interpretacje. Stanowią przejście z obiektu w znak, od przedstawienia symbolicznego do przestrzeni wyobraźni i od opisowego realizmu do sztuki fantazji⁷.

Modyfikacje oraz mutacje znaków Miró tworzą łańcuch symboli, w których słońce przemienia się w oko zmieniające się w pająka, a ten z kolei przybiera formę trójkąta przekształcającego się w głowę, czy też człowieka przeistaczającego się w drzewo, szyszkę przybierającą formę kapelusza, lub wazon przeobrażający się w kształt kobiety. Miró sprowadził swój wizualny świat do repertuaru zmiennych znaków i stworzył płótna posiadające swoje własne prawa artystyczne, które zmuszają oglądających do poszukiwania klucza poetyckiego.

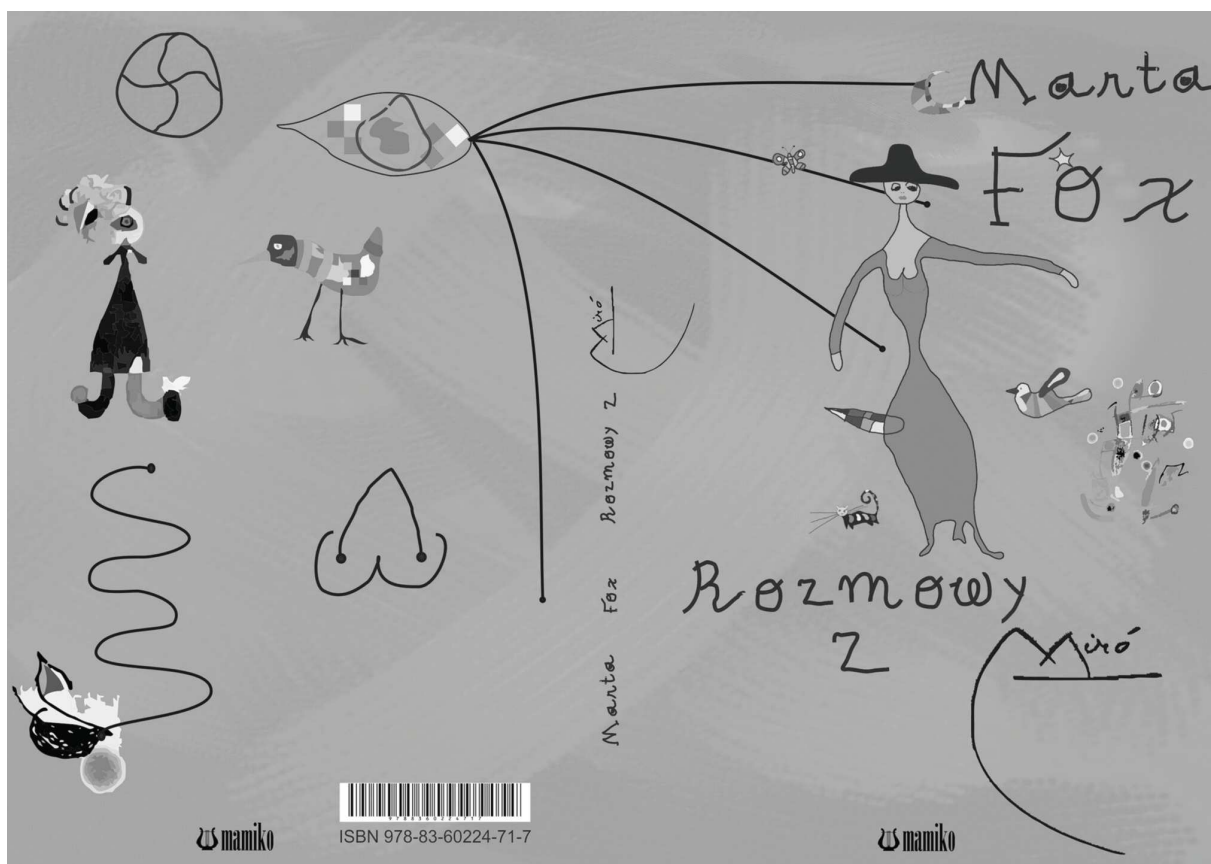
Marta Fox odkryła twórczość Miró w latach 80. ubiegłego wieku, kiedy Polskę zasnęły smutek i szarość. Poetkę uwiodło jego poetyckie obrazowanie, w którym skondensowane orientalne i zachodnie tradycje stanowiły część dziedzictwa katalońskiego, sięgającego średniowiecza z jego idea światłej wolności ducha⁸. W Polsce panował ponury stan wojenny, rząd PRL ograniczył drastycznie życie swoim obywatelom, starając się obalić polityczną opozycję. Tysiące aktywi-

stów potraktowano brutalnie, wielu Polaków internowano, wielu zostało zabitych. Rządząca junta wprowadziła podwyżki cen jako jedną z gospodarczych reform, sytuacja materialna ludności stawała się coraz gorsza. Kryzys ekonomiczny spowodował, iż ówczesny rząd komunistyczny wprowadził kartki na podstawowe produkty, takie jak: wędliny, mięso, cukier, mąka, czy też czekolada. Pomarańcze, granaty, grejpfruty, ananasy, banany, migdały, orzeszki ziemne – niedostępne dla przeciętnego Polaka, stawały się marzeniem. Półki w sklepach spożywczych zazwyczaj świeciły pustkami. W aptekach brakowało lekarstw i podstawowych materiałów higienicznych. Ludzie godzinami stali w długich kolejkach po żywność. Ulicami przetaczały się kolumny czołgów. Podróże zagraniczne były nieosiągalne. Okres stanu wojennego zapisał się ciemno na kartach historii Polski. Był wypełniony strachem, terrorem, cierpieniem i niepewnością o przyszłość.

W owym powikłanym czasie sztuka Miró, z którą zetknęła się Marta Fox, umożliwiła poetce podjęcie artystycznej wędrowki po zupełnie innym świecie – świecie marzeń i radości. Fox nie traciła czasu na pasywną wegetację. W 1974 roku ukończyła filologię polską a następnie podyplomowe studia na Uniwersytecie Śląskim w Katowicach. Przez dwie dekady (1974–1995) pracowała jako bibliotekarka i nauczycielka języka polskiego i literatury polskiej w liceum im. W. Broniewskiego w Katowicach, wychowując przy tym dwie córki. Od 1983 roku miała również etat dziennikarki i redaktora „Młodej Sztuki”, jednocześnie była asystentką redaktora naczelnego „Górnośląskiego Diariusza Kulturalnego”, później została kierownikiem literackim Teatru Dzieci Zagłębia w Będzinie (1995–1999) i ekspertem programu artystycznego Galerii Sztuki „Extravagance” w Sosnowcu, tamże organizowała poetyckie konkursy „Inspiracje”, urządziła spotkania ze znanymi artystami, pisała wstępy do katalogów wystaw (1995–1999), redagowała dział poezji w kwartalniku „Wyrazy” a od 2002 do 2015 roku była członkiem zespołu redakcyjnego literackiego magazynu „Migotania”. Publikowała swe teksty poetyckie w różnych czasopismach, między innymi w „Gońcu Teatralnym”, „Teatrze”, „Opcjach”, „Poezji”, „Autografie”, „Pomostach”, „Magazynie Literackim”, „Wiadomościach Kulturalnych”, „Śląsku”, „Odrze”, „The Sarmatian Review”, „Toposie” oraz „Zwierciadło”⁹.

Marta Fox zadebiutowała w 1989 roku w czasopiśmie „Tak i Nie” opowiadaniem zatytułowanym *Gra*, za które





Marta Fox „Rozmowy z Miró”, 2011; projekt okładki: Janusz Stobiński

otrzymała Grand Prix w konkursie Miłośnej Literatury w Lubinie.

Na trzecim Górnos Śląskim Festiwalu Kameralistyki zaprezentowała w Teatrze Śląskim swój poetycki spektakl *Zaplakać czerwonym deszczem* z muzyką Bogdana Mizerskiego. Fox jest laureatką wielu nagród, między innymi Polskiej Sekcji Międzynarodowej Książki dla Młodzieży w konkursie „Książka Roku” (1995, 2000). Otrzymała również nagrodę za zasługi dla Kultury Polskiej (2006), jest laureatką śląskiego Hanysa (2013) za osiągnięcia literackie, nagrody Narcyza (2014), Nagrody Artystycznej Marszałka Województwa Śląskiego za osiągnięcia w dziedzinie literatury (2014) oraz nagrody „Kobieta Humanitas” (2015).

Marta Fox pracowała intensywnie, podobnie jak Miró, który przez 90 lat namalował 2000 obrazów, stworzył 500 rzeźb oraz 400 ceramik, zrobił 5000 kolaży twierdząc, że pracuje tak ciężko i sumiennie jak ogrodnik lub hodowca winogron¹⁰.

Różne i ciekawe zajęcia, które Fox wykonywała przez lata, umożliwiły poecie rozwinąć szerokie kontakty ze środowiskiem artystycznym¹¹. W siemnolnnych latach osiemdziesiątych obrazy Miró przynosiły jej ulgę, umożliwiały ucieczkę do świata optymizmu,

radości, katalońskiego ciepła, słońca i intensywnych barw. Malowidła Miró odzwierciedlające świeżość, zabawę, spontaniczność, z ich poetyckimi znakami podobnymi do płam łączących naiwne z twórczym, ukazujące organiczne formy i płaskie rysunki pełne ostrych linii wraz z elementami katalońskiego folkloru, porównywać można do poezji oferującej nadzieję i mistyczną kontemplację.

Miró łączył sztukę i poezję w kombinację znaków i słów. Obrazy katalońskiego artysty ukazują jego emocje, tworząc opowieści o samotności, głodzie, pasji, przemijaniu, obawie przed starością. Opowieści te osnute są wokół osobistych, intymnych przeżyć. Reprezentują pasje i obsesje artysty. *Peintures-poésies*, czyli poetyckie obrazy Miró są mitycznym, archetypicznym wyrażeniem egzystencji i postawy wyrażonej w symbolicznej formie. Miró poznał dzieła mistyczne Świętego Jana od Krzyża oraz Świętej Teresy z Ávili¹², czytał też poezję buntowników: Novalisa, Lautréamonta, Rimbauda, Jarry'ego¹³. I właśnie pod ich wpływem jego obrazy stawały się pisaniem, melodią i dźwiękiem, gdyż według Schlegela uniwersalne zasady poezji zakładają, że różne gatunki ekspresji łączą się w dziełach¹⁴.

A wiadomo, że Miró był zafascynowany kaligrafią, ideogramem, transcendentą języka¹⁵.

Zapewne poetka ze Śląska, odkrywała z upodobaniem intelektualne malowidła Miró, jego festywnie, bajecznie barwne, a zarazem mistyczne, poetyczne znaki. W swej poezji Fox nie posługuje się ekfrazą, aby omówić wybrany obraz Miró, lecz raczej stara się oddać atmosferę, którą kataloński artysta tworzył na swych płótnach, twierdząc przy tym, że ekspresja ludzkiego ducha jest najważniejsza¹⁶.

Sztuka konwersacji wymaga posługiwania się osobliwym językiem, który jest głównym narzędziem Marty Fox, aby wyrazić swoje marzenia, zauroczenia, zwątpienia i obawy. Dla poetki rozmowa stanowi część estetyki, jej lingwistycznego i artystycznego stylu bycia. Poetka w swoich wersach tworzy wewnętrzne monolog, ukazując relację pomiędzy wyrażonym słowem, a obrazem na płótnie. Kiedy Fox bardzo chce porozmawiać z kimś na tematy istotne, wybiera Miró, „artystę śródziemnomorskich gwiazd i księżycy”, gdyż w jego malowidłach odczytuje podobne do swoich tęsknoty. Artysta z Mont-roig del Camp mieszał farbę, poetka





z Katowic łączy swe uczucia ze słowem poetyckim. Fox posiada świadomość tej niezwyklej sytuacji, w której następuje ich niecodzienne artystyczne spotkanie.

W wierszu zatytułowanym *Spotkanie z Miró* zawartym w zbiorze pt. *Rozmowy z Miró*, Fox sugeruje, że ich nietypowe spotkanie jest przypadkowe, a ich trudne dążenia artystyczne, poety i malarza, tworzą nieprzeciętne bogactwo porównywalne jedynie do górskiego kryształu, egzotycznego owocu lub ulotnego motyla. Poetka zdaje sobie doskonale sprawę, że ich praca twórcza wymaga wielu poświęceń, musi także przeciwstawić się panującym prądom akademickiego i mieszczańskiego świata, który jest nieprzyjaźnie nastawiony do ich działań artystycznych, oferujących nowe rozwiązania i nadzieje:

*Mogliśmy nie spotkać się w słowie
nie znaleźć górskiego kryształu
i nie być dla siebie tak jak teraz
w obrazach pomarańczach motywach
i świecie który byłby przeciwko nam
gdybyśmy nie wierzyli że to my
możemy być przeciwko niemu*
(Rozmowy z Miró)

Marta Fox w swych poematach-monologach przywołuje dodatkowo świadomość przemijania czasu, zmian zachodzących w ciele kobiety, poczucie zbliżającej się starości oraz śmierci. Jednakże, wiedza o przemijaniu nie jest źródłem jej głębokiego smutku, stanowi raczej podstawę do lepszego zrozumienia stosunków międzyludzkich oraz poznania najbardziej istotnych, cennych i wartościowych stron owych relacji, ponieważ starzenie się z bliską i drogą osobą, śmierć przy niej oznacza dzielenie się swym życiem, aby mieć odwagę powiedzieć:

*Kocham tym prawdziwiej im mniej
Cię
potrzebuję i nie ma w tym wyznaniu
kokieterii ani żadnej niewieściej
sztuczki
(...)
bardzo chciałabym raz jeszcze
zanim ciemność zajrzy mi w oczy
rozbłysnąć pod pędzlem
Twoim*
(Rozmowy z Miró)

Autorka zbioru wierszy o wymownym tytule *Nie jestem, która wszystko zniesie* boi się samotności, mimo otaczających ją: rodziny, przyjaciół, znajomych, różnorodnych z nimi, często

skomplikowanych relacji i związków stawia pytanie:

*Dlaczego tylko przez kilka sekund
jesteśmy we dwoje
a potem staję się pojedyncza?*
(Rozmowy z Miró)

Każdy – mówi Fox – powinien poznać siebie, poszukując odpowiedniego stylu życia, aby doznać odrobiny szczęścia i radości potrzebnych każdemu człowiekowi do zdobywania i rozwijania swych zdolności oraz zainteresowań: *Samotność jest wtedy gdy/ nie ma mnie we mnie.*

Bliski związek pomiędzy podmiotem lirycznym/poetką, a artystą/malarzem można dostrzec w nieco nietypowej prośbie:

*Spójrz na moją matkę Miró
i namaluj jej postać poskręcaną ar-
tretyzmem
(...)
Bądź okrutny i pokaż jej marzenia
czyli prawdziwe kłopoty
które będą dla niej odpoczynkiem
(...)
niech czerń zapanuje na Twoich
płótnach i niech wreszcie powie że
najlepiej
umiera się z pragnieniem śmierci
a nie w smutku*
(Rozmowy z Miró)

Poetka prosi Miró, aby wyraził w swych płótnach to, czego nie może ona napisać, gdyż czasem słowa nie są wystarczające, aby opisać pewne ważne stany. Liryczny podmiot domaga się od artysty, aby był przekonujący i szczery w swej twórczości.

Po wierszu *Wygnanie z czasu* następuje niezwykle utwór Marty Fox na temat istnienia naszych przodków wśród nas i z nami. Jest to poemat o pamięci i więzach z naszymi bliskimi, którzy przeszli już z tego świata w inną, wieczną krainę, lecz nadal pamiętamy o nich, myślimy i wspominamy ich, prowadzimy z nimi rozmowy-monologi:

*Od tamtego czasu
nie śniła mi się ani razu
czasami jednak przychodzi
do mnie jak żywa
(...)
Milczymy (...) jakby nawet słowo –
dlaczego –
przestało istnieć
Chcę by wyciągnęła rękę
i przygarnęła mnie tak
jak nigdy tego nie robiła*

*Ona jednak ma tylko twarz
Bo najtrudniej rozstać się z twarzami*
(Rozmowy z Miró)

Rozmowy z Miró dotyczą niezmiernie doniosłych i bolesnych spraw. Są pełne dojrzałej mądrości i bystrego spojrzenia na trudne i poważne tematy, podobnie jak poniższy fragment wiersza, który zawiera myśli poetki dotyczące kruchości i krótkotrwałości czasu doświadczonego przez tych, którzy go nie przetrwonili:

*Bezpowrotnie Miró mija tylko czas
który
nie rzeźbi nie dotyka nie dźwięczy
i nie boli
przykrywa jedynie kurzem i bliźną to
co na nic innego nie zasługuje*
(Rozmowy z Miró)

Czasem liryczny podmiot stara się ocalić od niezmiernie dotkliwych i smutnych chwil rozstania, więc skarży się i narzeka mówiąc otwarcie:

*Nie mogę się pogodzić Miró że od-
chodzisz
ode mnie codziennie po trochu że ko-
lory jakie
wybierasz dzisiaj są bardziej letnie
i bledsze od
tych którymi brudziłeś swoje płótna
wczoraj*
(Rozmowy z Miró)

Fox interesuje się procesem starzenia się i ukazuje to powolne gaśnięcie poprzez swe obserwacje, a także refleksje bliskiego przyjaciela. Być może szuka dobrej rady na powolne zmiany. Prawdopodobnie jedną z nich jest przechodzenie z namiętności do przyjaźni, a następnie do duchowej bliskości, o czym poetka pisze bez zażenowania:

*w nocy płaczemy nogi
rano opowiadamy sny
a potem patrzymy
w tym samym kierunku*
(Rozmowy z Miró)

Poezja zapewne uwalnia Fox z przeszłości, teraźniejszości, a nawet przyszłości. Autorka improwizuje wyzwala jąca taniec wierząc, że jest otwarta na wszystko co niemożliwe, chociażby dostępne dla niej jedynie w marzeniach i snach. W swych erotykach Fox łączy napotykaną zmysłowość z niezwyklej ekspresją słowa. Jej wier-





sze stają się cudownymi zakłęciami, które chcą wyrwać miłość z przemijania, bolesnych rozstań, religijnych i społecznych barier. Autorka tomiku wierszy *Chcę być chłopcem, jak mój ojciec* podobnie jak wiele osób z jej generacji, kwestionuje tradycyjne role kobiet w wersetach napisanych w formie monologu, zaadresowanych do członków rodziny, postaci literackich, pisarzy, poetów, artystów, między innymi Miró, katalońskiego surrealistycznego malarza.

Podmiot liryczny Marty Fox, który czasem staje się salamandrą lub ptakiem stara się przedrzeć przez bariery czasu, wieku, płci wyzwalając siebie z tradycyjnych i konwencjonalnych ról narzucanych przez społeczeństwo, prosząc: *Zedrzyj ze mnie wreszcie ten gorset Miró!... Uwolnij mnie z ciasnych ram...* Kobieta, która jest jakby salamandrą spalającą się w płomieniach życia i odradzającą się na nowo podobnie jak Orlando, wyzwolona postać literacka Wirginii Woolf¹⁷, przemierza niezliczone labirynty życia przeszłości i teraźniejszości biorąc i kosztując to, co przyniesie jej los w poszukiwaniu swojego miejsca na ziemi. A więc, w labiryntach snów i marzeń, w odbiciach licznych zwierciadeł przekształca się w kobietę-ptaka, która zniszczona przez okrutne przeżycia posiada ogromną siłę i pasję, aby ponownie się odrodzić i działać, pozostawiając po sobie znak, czyli poezję, dar dla tych, którzy łakną literatury i doceniają zapisane słowo.

W poezji Marty Fox występuje pewny dyskurs, w którym egzystencjalne doświadczenia przybierają formę zabawy, gdy poetka świadomie postuluje się literackimi, mitycznymi oraz legendarnymi figurami. Autorka zbioru wierszy *Dotknij mnie, tak dawno nie miałem kobiety* często podejmuje tematykę dotyczącą przeróżnych filozoficznych spotkań, powikłań, dążeń, upodobań, doczesności, wyrzutów sumienia i obietnic. Poetka niejako odkrywa skrawek swej duszy i dzieli się z czytelnikami swoimi zapatrywaniami na tematy zwane tabu, dotyczące między innymi nietypowych związków, uwodzenia mężczyzn, prowadzenia rozmów z bliskimi, którzy odeszli z tego świata, czy też pragnienia bycia wiecznie piękną i młodą.

W wielu swych wierszach Marta Fox celebrowała mistycyzm kobiecości. Jej liryczny podmiot pragnie być przepięknym egzotycznym kwiatem lub cudnym i delikatnym motylem. Ponadto przeniknięta jest pasją przejrzyściwości i dlatego też chce, aby wszystko było zawsze w jej życiu jasne i czyste, bez zasłon wstydu, fałszu, czy też kłamstwa. Poetka oczekuje uczciwości i prawdy w relacjach pomiędzy męż-

czynną i kobietą, a także między swą twórczością poetycką i życiem. Jednocześnie Fox zainteresowana jest zabawą w przebieranie się, nakładaniem masek i kostiumów. A zatem lirycznym podmiotem jej wierszy staje się Julia¹⁸, Sydonia von Borck, wiedźma, i piękna wróżka. Niezmiennie pragnie być sobą i częścią innych istot, takich jak: ojciec, matka, młody chłopak, brat, córka, Cortazar, Kafka, czy też Święty Jan od Krzyża. Fox często sięga po zawile kwestie *gender*, gdyż interesuje ją rola mężczyzny i kobiety w dawnym i współczesnym świecie.

Joana Miró również pochłaniała podobne fascynujące zagadnienia. Namalował serię ironicznych obrazów, a najsłynniejsze wśród nich to słynny *Karnawał arlekiina*, czy *Portret Madame K* – płótna wypełnione ideą zabawy i przebierania. Miró tworzył spektakle, zmieniając kobiety i mężczyzn w manekiny, automaty, komików. Sam także uwielbiał przebierać się w strój Arlekiina¹⁹. Ponadto twierdził, że kobieta jest wolnością i stworzył w 1938 roku podczas wojny domowej *Głowę kobiety*²⁰. Elementy kobiecości były niezmiernie ważne dla Miró. Świadczą o tym nawet same tytuły jego dzieł: *Macierzyństwo* (1929), *Kobieta, ptak, gwiazda* (1942), *Kobieta w nocy* (1945). W twórczości Miró kobieta jest ikoną ulepioną z gliny, jest też płodną kobietą z czereśniami, kobietą dzbanem, z której czerpie inspirację, boginią nago stojącą, istotą przed lustrem, a więc Wielką Boginią, innymi słowy – wieczną kobiecością, o której szeroko pisze Marija Gimbutas oraz Erich Neumann²¹.

Poezja Marty Fox, czasem bardzo romantyczna i sensualna koncentruje się na osobistych przeżyciach poetki, poszukującej nowych symboli i domen, ale przede wszystkim domaga się wielkiej odpowiedzialności, szczerości, szacunku i zmian niektórych ważnych poglądów. W wierszach Fox można dostrzec pewien mocno zarysowany system wartości związany z akceptacją różnych ludzi i ich stylów bycia.

Tymoteusz Karpowicz, znakomity polski poeta, twierdził, że poezja Marty Fox niejako przenosi tradycję miłości i śmierci Haliny Poświatowskiej do następnego poziomu, a mianowicie porusza tematy bliskie kobietom dorząłym, posiadającym już pewną wiedzę życiową i doświadczenie. Przeto, można by rzec, że Marta Fox przejęła pochodnię od młodej Poświatowskiej i podjęła się wędrówki poprzez galimatias labiryntów, swych artystycznych przeżyć, które poprowadziły ją na intelektualne i duchowe spotkanie z Joanną Miró i jego niezwykłymi dziełami zwanymi *tableaux-poèmes*.

¹ James Johnson Sweeney. *Joan Miró*. New York: Arno Press, 1969, str. 14; Anne Bauvais, Michel Draguet, Claude Gourmans, Jean M. Minguet Batllori, Yvon Taillandier. *Joan Miró, peintre-poète*. Bruxelles: Font Mercator, 2011, str. 47, 50.

² Alain Jouffroy. *Miró*. Trans. Charles Lynn Clark. New York: Universe Books, 1987, str. 12.

³ Wiese and Martin, str. 28.

⁴ Wiese and Martin, str. 113-114; Anne Bauvais, Michel Draguet, Claude Gourmans, Jean M. Minguet Batllori, Yvon Taillandier. *Joan Miró, peintre-poète*. Bruxelles: Font Mercator, 2011, str. 15.

⁵ Jouffroy, str. 68-69.

⁶ *Ibid.*, str. 34.

⁷ Rzepińska, str. 465.

⁸ James Johnson Sweeney. *Joan Miró*. New York: Arno Press, 1969, str. 78; Guy Wheelen. *Miró*. Trans. Robert Erich Wolf. New York: Harry N. Abrams, Inc., Publishers, 1984, str. 8.

⁹ Oficjalna strona Marty Fox Oficjalna strona Marty Fox: <http://www.martafox.pl/o-mnie/>

¹⁰ Janis Mink. *Joan Miró*. Bonn, Taschen, 2006, str. 91.

¹¹ Oficjalna strona Marty Fox: <http://www.martafox.pl/o-mnie/>

¹² Jouffroy, str. 87.

¹³ Weise, str. 51.

¹⁴ *Ibid.*, str. 58.

¹⁵ Jouffroy, str. 82.

¹⁶ Wiese, str. 86.

¹⁷ Virginia Woolf. *Orlando: A Biography*. Richmond: Hogarth Press, 1928.

¹⁸ Fox, *Wszystko co niemożliwe*, str. 13.

¹⁹ Jouffroy, str. 60.

²⁰ *Ibid.*, str. 68.

²¹ Marija Gimbutas. *The Language of the Goddess*. San Francisco: HarperCollins, 1991; Erich Neumann. *The Great Mother: An Analysis of the Archetype*. Trans. Ralph Manheim. 2nd ed. Princeton, New Jersey: Princeton University Press, 1963.

Anna Zofia Gąsienica Byrcyn – wykładowca języka polskiego i literatury polskiej w Uniwersytecie Illinois w Chicago. Uczyła języka polskiego i literatury polskiej na Uniwersytecie Loyola, Saint Xavier i w Oakton College. Wykładała język polski na intensywnych letnich kursach na Uniwersytecie Indiana w Bloomingtonie i Uniwersytecie Pittsburgh. Obecnie pracuje w Saint Xavier University i prowadzi kursy z francuskiego (język, kultura) i polskiego (literatura polska w tłumaczeniu angielskim). Doktoryzowała się w 2000 roku w Uniwersytecie Illinois w Chicago na podstawie rozprawy napisanej w języku angielskim *Aspects of Myth in the Poetry of Halina Poświatowska* (Aspekty mitu w poezji Haliny Poświatowskiej). Tłumaczka wierszy Marty Fox na język angielski. Przekłady i artykuły opublikowała m.in. w: „The Sarmatian Review”, *Modern Poetry in Translation*”, „Lituanus”, „Postscriptum”, „The Dirty Goat” oraz „Visual Anthropology”. Powyższy esej prezentowany był w języku angielskim na konferencji („Joan Miró’s Imprints in Marta Fox’s Poetry”) AATSEEL Chicago, January 11, 2014.





Z realizatorem filmowym
i producentem **KRZYSZTOFEM KASPRZAKIEM**
rozmawia ELŻBIETA PISARCZYK

Fot. archiwum Kas Film



Częstochowa jakiej nie znacie

Firma Kas Film powstała w 1984 roku, działając w branży RTV-AGD. Cztery lata później jej właściciel Krzysztof Kasprzak zmienił działalność na produkcję filmów dokumentalnych i promocyjno-reklamowych. Na stałe współpracuje z uznanymi fachowcami z branży, m.in. z reżyserem Wiesławem Saniewskim, Pawłem Woldanem, operatorem Mieczysławem Chudzikim, kompozytorem muzyki filmowej Januszem Yaniną Iwańskim, Robertem Glińskim z zespołu Gang Marcela, jak również ze znanymi aktorami – Piotrem Machalicą i Arturem Barciśm. Produkcje Kas Filmu emitowane były w wielu telewizjach w Polsce i na świecie m.in.: TVP1, TVP Katowice, TVP Poznań, RTL7, TVP Polonia oraz pokazywane i nagradzane na wielu festiwalach filmowych. Krzysztof Kasprzak od wielu lat z pasją zajmuje się produkowaniem filmów o Częstochowie w oparciu o uzyskane taśmy archiwalne. Jego dorobek obejmuje ok. 40 filmów.

– Kiedy zaczęła się pana przygoda z filmem?

– Pierwsze krótkie filmy, reportaże powstały na studiach w latach 70. ubiegłego wieku. Kolega miał kamerę 8 mm, pożyczalem ją i filmowałem – nic wielkiego, migawki z Częstochowy. W latach 80. były już kamery VHS i tak się rozkręciłem, że dekadę później zamarzyła mi się własna telewizja. Zacząłem się starać o koncesję na nadawanie. Ostatecznie nic z tego nie wyszło, choć miałem już nawet promesę Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji. Zachęcano mnie, by zamiast zakładać telewizję, uruchomić produkcję filmów. Tak się stało. Pierwsze filmy nakręciłem w połowie lat 90. dla istniejącej wówczas w Polsce niemieckiej telewizji RTL 7 i TVP3. Robiliśmy krótkie reportaże, wywiady – to były początki. W końcu przyszedł czas na moją pierwszą dużą produkcję – film o Urszuli Ledóchowskiej „Zwyczajna świętość”. Reżyserował go Wiesław Saniewski, ja byłem producentem. Potem przygotowałem dla niemieckiego instytutu Bauera

i Ośrodka Karta relacje osób, które w czasie II wojny światowej przymusowo pracowały dla III Rzeszy – szukałem świadków nie tylko w Częstochowie, ale też w Krakowie i Warszawie. Kręciłem również reklamówki...

– Aż wreszcie wpadł pan na pomysł „Spaceru po Częstochowie”.

– Okazją był wyjazd córki do Niemiec. Chciała zawieźć osobom, które ją zaprosiły, jakąś książkę o Częstochowie. Chodziło o zareklamowanie miasta. Szukała ładnego albumu, ale nie znalazła. O Jasnej Górze, o Jurze – tak. Ale o mieście nie było. Pomyślałem, że warto by taki przewodnik zrobić w wersji filmowej. Szybko powstała też koncepcja scenariusza, bo właśnie wtedy Piotr Machalica został dyrektorem częstochowskiego teatru – jedna z aktorek Agata Ochota-Hutyra obwozi nowego szefa po ulicach i gawędzą o mieście. Udało się to tak nakręcić, choć już nie na ten wyjazd córki do Niemiec. Film ma cztery wersje językowe: polską, angielską, niemiecką i włoską i jest sprzedawany do dzisiaj,

choć po tych dziesięciu latach już trochę się zdezaktualizował, Częstochowa się przecież zmieniła. Sprzedaliśmy w sumie 10 tys. płyt. Film ten podobnie jak „Niezapomniana Częstochowa”, który powstał kilka lat później, jest świetną reklamą miasta. Podobną konwencję wykorzystaliśmy w filmie „Weekend w Opolu”. Tam bohaterem był Artur Barciś.

– Potem powstały cztery filmy o pielgrzymkach Jana Pawła II do Częstochowy...

– Zauważyłem, że jest w Polsce wiele miast, do których Jan Paweł II przyjechał tylko na chwilę, na jedną mszę, a powstały filmy na ten temat. W Częstochowie papież był sześć razy i to po kilka dni, a nie powstał żaden większy dokument z tych wydarzeń. Postanowiłem sam nakręcić film. Najpierw robiłem je dla dziś już nieistniejącej telewizji Religia. Z okazji beatyfikacji Ojca Świętego kupiło je także sześć innych stacji. Nadaliśmy tym filmom tytuł „Częstochowskie pielgrzymki Ojca Świętego Jana Pawła II”. Jest to cykl filmów dokumentalnych zmontowanych w 2012 roku z archiwalnych materiałów filmowych większości do tej pory niepublikowanych, przypominających pielgrzymki Jana Pawła II do Częstochowy. Ci, którzy osobiście uczestniczyli w tych pielgrzymkach papieskich do Częstochowy lub śledzili je za pośrednictwem telewizji i radia, obejrzą te filmy ze wzruszeniem. Będą się im przypominały przeżyte wówczas chwile, nadzieje, oczekiwania, wielki entuzjazm wiary, który wówczas nam towarzyszył. Młodszemu pokoleniu filmy pozwolą poznać spłot wydarzeń, które doprowadziły do obecnej sytuacji społeczno-politycznej. Cykl ten otrzymał II nagrodę w kategorii programy telewizyjne na VII Polonijnym Festiwalu Multimedialnym „Polskie Ojczyzny 2012”. Filmy powstały pod Honorowym Patronatem Metropolity Częstochowskiego ks. arcybiskupa dr. Wacława Depo.

Kolejny cykl „religijny” to pięć odcinków rozmów z biskupem Antonim Długoszem, wyprodukowanych dla Telewizji Rolniczej. Ksiądz biskup – fascynujący człowiek – porusza bardzo ważne sprawy dla człowieka; uzależnienie, narkomania, osoby niepełnosprawne, dzieci, a także opowiada o sobie.

– Odnaleziony film o Częstochowie z 1962 roku – to był szczęśliwy przypadek i a potem prawdziwy hit...

– Zadzwoił do mnie znajomy z Bielska-Białej. Miał kontakt z rodziną zmarłego filmowca, który w 1962 roku na zamówienie Wytwórni Filmów Oświatowych kręcił jakiś film w Częstochowie. Po jego śmierci rodzina znalazła w piwnicy rolki. W większości okazały się zniszczone, ale dwie ocalały. Udało mi się je zdobyć. To był profesjonalny materiał i powstał z niego film, który bardzo spodobał się widzom. Zobaczyli w nim pierwsze bloki stawiane w dzielnicy Tysiąclecia, dzielnicę Raków z nowo powstałą aleją Pokoju, Śródmieście z AI. NMP – budynki i pomniki których już nie ma. Są też zdjęcia filmowe z Huty im. Bolesława Bieruta i zakładów włókienniczych, nowy budynek Politechniki Częstochowskiej. Zabawy organizowane w klubach „Filutek” i „Studnia”. A także jedyne zachowane zdjęcia filmowe poetki Haliny Poświatowskiej.





Film „Częstochowa 1962 rok” cieszył się dużym powodzeniem do tego stopnia, że pytano mnie kiedy będą kolejne lata 70., 80.? Nawet o 90. się dopominali, bo każde pokolenie chciało mieć płytę o Częstochowie swojej młodości. Archiwalia z lat 70. i 80. zbierałem już wcześniej, teraz miałem okazję, by je wykorzystać. To były klisze głównie z amatorskich klubów filmowych. Działy przy uczelniach, przy Dyskusyjnym Klubie Filmowym, w hucie... Ich członkowie rejestrowali różne uroczystości, ale też wykłady na politechnice, zebrania i trochę wydarzeń z miasta. Gdy upowszechniło się VHS, ludzie masowo pozbywali się tamtych nagrań. W Akademickim Klubie Filmowym nowa pani kierowniczka kazała przysłać stare klisze wyrzucić na śmietnik. Członkowie zabrali je stamtąd i tym sposobem, po latach, filmy trafiły do mnie. Czasem też pomagał los. Kiedyś na ul. 1 Maja zauważyłem rolki filmowe w witrynie sklepu z dzinsami. Były po prostu ozdobą wystawy. Chodziłem tam i trulem właścicielowi, żeby mi dał te taśmy. Okazały się dorobkiem amatorskiego klubu filmowego „Czesanka” istniejącego przy zakładach włókienniczych. Oczywiście normalnym miejscem szukania było Allegro. A raz na eBay udało mi się dorwać u sprzedawcy z Francji film o pielgrzymce warszawskiej do Częstochowy. Powstał w 1961 r., ale był niemy. Nie szkodzi, pomyślałem. Dodał mi lektora i dźwięk. Nawet muzykę „z epoki” udało się do niego kupić. W tamtych czasach w Polsce pielgrzymi i Jasna Góra byli całkowicie wycieni z dokumentacyjnych kadrów filmowych.

– W związku z olbrzymim zainteresowaniem tryptykiem: „Częstochowa 1962 rok”, „Częstochowa lata 70 XX wieku” i „Częstochowa lata 80 XX wieku” postanowił pan zrealizować kolejny dokument o naszym mieście.

– W filmie „Częstochowa lata 90. XX wieku” pokazane zostało miasto z dekady lat 90. ubiegłego wieku. Z początku myślałem, że to za wcześnie robić film z tych lat, ale młodzi ludzie pytali się kiedy powstanie film. W tym filmie można zobaczyć przemiany, jakie zaszły w sferze gospodarki, pożar Jasnej Góry z 1990 roku, VI Światowy Dzień Młodzieży wraz z nadaniem Janowi Pawłowi II honorowego obywatelstwa Częstochowy. Jest też otwarcie nowego dworca PKP i sukcesy częstochowskich klubów sportowych. Siatkarze AZS-u sześciokrotnie sięgali po tytuł mistrza Polski, medale zdobywał Włókienniarz, a Raków grał w ekstraklasie. Po zrobieniu tego filmu przejrzałem jeszcze raz swoje archiwum i okazało się, że mam dużo materiałów filmowych z lat 60., które wcześniej nie były pokazane i udało się zrobić tym razem film dokumentalny z całej dekady lat 60. W tym dokumencie widzowie zobaczą wizytę senatora Roberta Kennedyego na Jasnej Górze, uroczystości związane z 1000-leciem Chrztu Polski, pochod pierwszomajowy, festiwal piosenki studenckiej z 1962 roku, posłuchają jak grał częstochowski zespół big-bitowy „Luxemburg Combo”. Film przypomina również częstochowski sport tamtych lat: żużel, piłkę nożną i boks. Unikatowe zdjęcia filmowe z pogrzebu tragicznie zmarłego żużlow-

ca Bronisława Idzikowskiego. W pół roku po premierze filmu Częstochowa lata 60 odbyła się premiera filmu „Częstochowa lata 50. XX wieku. W tym filmie zobaczyliśmy rozdanie pierwszych dyplomów na Politechnice Częstochowskiej z 1953 roku (była to jeszcze Wyższa Szkoła Inżynierska). Pokazaliśmy relację z lotniska w Rudnikach. W 1956 roku na Jasnej Górze odbyło się uroczyste złożenie Jasnogórskich Ślubów Narodu w obecności ok. miliona wiernych. Zobaczymy również jak mieszkający odpoczywali latem i zimą.

Myślę, że seria tych filmów pozwala w ciekawy sposób powrócić do minionych lat, a dla młodego pokolenia jest doskonałą lekcją historii o swoim regionie. Wszystkie te filmy są na płytach DVD i można je zakupić w kilku częstochowskich salonikach prasowych i przez internet.

– Jak duże ekipa pracuje nad tymi filmami?

– Od kilku do kilkunastu. Scenariusze zwykle pisze nam Zbysław Janikowski – autor wielu książek historycznych o Częstochowie, a ja dostosowuję je do materiałów filmowych, jakie posiadamy. Kilka osób zatrudnionych jest przy gromadzeniu materiałów archiwalnych, montażem i udźwiękowieniem zajmuje się Robert Nawrot. Oczywiście dochodzą do tego specjaliści spoza miasta, zajmujący się starymi kliszami. Bo jest to mroźna praca. Praca przy każdym z filmów trwa kilka miesięcy.

– Czy natrafił pan na nagrania tak zniszczone, że nawet specjalistom nie udało się odczytać?

– Oczywiście. I to jakie! Były to taśmy z wystawy w 1909 roku. Właściciel kina Oaza w Warszawie ustawił w Częstochowie na terenach wystawowych kamerę, rejestrował nią obraz, a wieczorem go odtwarzał na dużym ekranie w plenerze. I ludzie mogli obejrzeć samych siebie. Te klisze znajdowały się u pewnej pani z Częstochowy. Jej mąż, pracownik magistratu, uratował je przed hitlerowcami, kiedy wkroczyli do miasta w 1939 roku. Wyniósł je po prostu z biblioteki, gdzie wcześniej były przechowywane. Niestety, później te taśmy zostały zalane wodą, więc się zniszczyły. Ale jest jakaś nadzieja, że coś się uda uratować. Na razie jest 1,5 m taśmy: Lubomirski otwiera wystawę, przecinając wstęgę przy bramie wejściowej, a tu brama się przewraca! Byłby to film starszy niż „Pożar zapalczarni” z 1913 roku. I drugi z najstarszych zachowanych polskich dokumentów filmowych, po odnalezionej w 2000 roku „Pruskiej kulturze” z 1908 roku.

– Może częstochowianie, zupełnie tego nieświadomi, mają w domach więcej takich skarbów...

– Dlatego mamy dla nich propozycję – Święto Kina Domowego. Organizujemy je w listopadzie razem z Ośrodkiem Promocji Kultury „Gaude Mater”. Pomysł takiej imprezy powstał w USA. Wymyślili ją archiwiści filmowi. Kto ma stare klisze – 8, 16 czy 35 mm, niech je przyniesie, a my je zaprezentujemy na ekranie. Wiele osób przechowuje nakręcone przed laty rolki, a nie może już odtworzyć, dlatego akcja zrobiła się bardzo popularna. U nas też takie święta odbywają się w większych miastach np. w Warszawie

i Katowicach. W Częstochowie w listopadzie każdego roku w Ośrodku „Gaude Mater” czekamy na takie filmy najpóźniej na tydzień przed projekcją. Razem z Krzyszkiem Wieczorkiem, operatorem OKF-u, przejrzymy je i posprawdzamy, czy np. gdzieś nie pozrywały się złączki. Zapraszamy wszystkich, bez względu na to, co mają na kliszach – uroczystości rodzinne czy pochody pierwszomajowe.

– Udokumentowane są już lata: 90., 80., 70., 60., 50., a kiedy kolejne?

– Teraz przygotowujemy się do realizacji filmu „Częstochowa lata 40. XX wieku”, a w przyszłości być może nawet kolejne lata. Tylko kiepsko jest z materiałami filmowymi z tego okresu. W związku z tym szukamy kontaktu z osobami, które posiadają takie materiały filmowe lub ciekawe fotograficzne z Częstochowy z lat 40. Prosimy o informacje na tel. 603528963.

– Nie ograniczają się Pan tylko do miejsca i osób związanych z Częstochową.

– Oczywiście. Niedawno zrobiłem film o Marku Perepeczce. Znalazł się w nim wywiad z Andrzejem Wajdą. Perepeczko grał w jego „Weselu” i w „Panu Tadeuszu”. Rozmawialiśmy przez 30 minut, ale na płytę trafiły tylko wybrane fragmenty. Gdy jechaliśmy do Krakowa, byłem pełen obaw. Ale sławny reżyser okazał się osobą bardzo kontaktową. Był już chory, poruszał się o balkoniku... Gdyby odmówił nam spotkania, wcale bym się nie zdziwił. Ale on bez problemu się zgodził. Powiedział, że jako reżyser ma dług wdzięczności wobec aktorów, którzy występowali w jego filmach. Uderzyło mnie to: aktorzy mówią, że to zaszczyt zagrać u Wajdy, a on podkreśla, że ma dług wobec nich.

– Jest pan uznanym filmowcem, co zostało zauważone...

– ...na 14. Festiwalu Filmów Optymistycznych Multimedia Happy End otrzymałem honorową Złotą Rybę – nagrodę za całokształt działalności. Mam także na swoim koncie Nagrodę specjalną na Polonijnym Festiwalu Multimedialnym „Polskie Ojczyzny” 2008 za „Spacer po Częstochowie”, drugą nagrodę w kategorii program telewizyjny na tym samym festiwalu w 2012 r. za cykl filmów o pielgrzymkach Jana Pawła II do Częstochowy, wyróżnienie na Festiwalu Filmowy „Mediatravel” 2009 za „Niezapomnianą Częstochowę”. Dostałem też nagrodę Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury za rok 2015.

Jestem współorganizatorem Częstochowskiego Festiwalu Filmowego im. braci Krzemieńskich „Moja Mała Ojczyzna”, który w tym roku odbył się już po raz czwarty. Pokazujemy filmy związane z Częstochową i zapraszamy znanych aktorów i reżyserów, którzy w jakiś sposób przewinęli się przez nasze miasto.

Co dwa miesiące w ramach cyklu „Celulozowa historia Częstochowy” w Ośrodku Promocji Kultury Gaude Mater wraz z operatorem Krzysztofem Wieczorkiem wyświetlamy bezpośrednio z projektora 16 mm filmy, które mam w swojej filmotece. Każdy pokaz poświęcony jest jednemu tematowi. Do tego zapraszamy ciekawych gości, którzy uzupełniają pokazywany film. Wszystkich zainteresowanych tą tematyką zapraszam na stronę www.kasfilm.pl.





Były co najmniej dwa istotne powody, dla których Galeria Art. Nova 2 ZPAP zapelniła się grafikami Henryka Bzdoka. Pierwszy to wręczenie artysty nagrody Opus Silesiae, przyznawanej co trzy lata przez Zarząd Okręgu w Katowicach ZPAP, a fundowaną przez prezydenta Miasta Katowice. Nagroda była wyrazem docenienia i uznania jego niezwykle bogatego dorobku twórczego. Drugi powód – mniej oficjalny – to 80. urodziny laureata. Na ekspozycji pojawiły się więc zarówno prace z lat wcześniejszych, jak i najnowsze.

Henryk Bzdok to twórca, którego można nazwać kolekcjonerem codzienności. Od lat nie rusza się z domu bez aparatu fotograficznego. Wypuszcza się w różnorodne zakątki swojej śląskiej krainy, albo – co też dość częste, przemierza ulice, place miast niemieckich albo włoskich, przyglądając się tamtejszym zwyczajnym dniom i powszedniemu życiu. Czyny to niejako przy okazji – odwiedzając przyjaciół i znajomych, przesiadując w kafejce, czy zwyczajnie spacerując wśród urokliwych zabudowań. Tym co łączy te śląskie i zagraniczne spacerunki Henryka Bzdoka to przenikająca wszystkie zdjęcia, a potem pomniejszone grafiki – wielka życzliwość, jaką obdarza poznane miejsca – nieważne, czy to peryferie Mysłowic, Szopienic, Bytomia, Opola czy włoskie ulice pamiętające czasy włoskich dożów. Bacznemu oku obserwatora nie umknie nic, chociaż przeniesione na papier obrazy zdają się nabierać bardziej uogólnione rysy. Ale to tylko pozory – ta najistotniejsza kreska, czy położony kolor akcentuje ten element czy sytuację, którą chciał przybliżyć oglądającemu prace ich autor.

– Wróciłem do swojego dawnego sposobu robienia grafik – mówił Henryk Bzdok – był czas, że dużo czasu spędzałem przed komputerem zafascynowany możliwościami komputerowego oprogramowania. Nastąpił przesyt digitalną grafiką a zatęskniłem do swoich dawnych, tradycyjnych grafik.

Bo właśnie sposób rysowania, prowadzenia kreski, dodawanie koloru jest tym, co wyróżnia Bzdoka, co stało się jego znakiem rozpoznawczym. Taki sposób rysowania jest właściwy tylko jemu. Lekkość, przywiązywanie wagi do detalu, do utrwalenia charakterystycznego rysu danego miejsca, czyni prace Henryka Bzdoka świeżymi, wypełnia je oddech, słońce, wiatr, deszcz, czasem śniegowa miejska plucha, a znad przyulicznych kawiarnianych stolików unosi się zapach kawy, śmiech rozmawiających. Grafiki Henryka Bzdoka unoszą ze sobą to, co dzieje się wokół nas. Nie ma w nich „programów artystycznych”, „manifestów”, swiato-



Fot. Zbigniew Sawicz

Powroty Henryka Bzdoka

poglądowych czy politycznych dyskusji – jest otwartość na zwyczajne życie – bo tak pojmuję Henryk Bzdok swoją rolę bycia artystą. Użyteczność, zwyczajność – a grafiki są tylko jednym z przejawów jego myślenia o innych, otwartości, szczerości i autentyczności. „Taki jestem”, „nie potrafię żyć obok” – zdaje się mówić w swoich pracach. Śląsk – z jego katowickim epicentrum i beskidzka, zatopiona w ciszy i górskiej przyrodzie przystań są tym, co najbardziej jest potrzebne do życia Henrykowi Bzdokowi. Jego pogodne usposobienie, celny dowcip i przyjazny stosunek do ludzi pozwalają mu tworzyć dzieła będące znakomitą odwzorowaniem jego wnętrza. Grafiki i rysunki – podobnie jak ich twórca są zwyczajne, a jednocześnie wyrafinowane, drobiazgowo ale niosące pewne uogólnienia, bo zauważenie specyfiki miejsca – jego klimatu czy panującej atmosfery wymaga posiadania pewnych cech – wrażliwości i dystansu. Od czasu do czasu Henryk Bzdok przenosi nas w inny, jakże bliski mu świat – do krainy jazzu, ale także w środowisko bli-

skich mu osób – nie tylko plastyków, z którymi przez dziesiątki lat spotykał się, pracował, korespondował, sprzeczał, odbywał „długie Polaków rozmowy” na gastronomicznym szlaku minionego PRL-u (zapamiętane historyjki przelała na papier dwutomowych *Anegdot*, skrzętnie opatrując każdą z nich znakomitą graficznym komentarzem).

Ilość powstałych prac nie została zapewne policzona nawet przez samego artystę. Rysunek i grafika są nie tylko tym, co pozwala mu być artystą, ale to jego sposób na życie.

Tytuł wystawy *Śląsk nieskończony* stał się więc metaforą Bzdokowego Śląska sięgającego dalej niż horyzont, a zarazem świetnie opisującą sposób, w jaki swój Śląsk pokazuje – czasem ledwo naszkicowany, niedopowiedziany, zawsze jednak swojski, bliski i znany. Śląsk nieskończony, nieodgadnięty, nieoczywisty, do końca nierozpoznany, wielowymiarowy, jak nasza codzienność.

WIESŁAWA KONOPELSKA





Tyle debiutów przynosiło wiele znaków zapytania! Oczekiwania rosły, bo na afiszu pojawiło się też nazwisko Michała Znanieckiego, któremu powierzono reżyserię, inscenizację i projekt kostiumów do premierowego przedstawienia.

Przed premierą Michał Znaniecki zapowiadał, że przygotowuje przedstawienie w elżbietańskim entourage'u, sprawiającym wrażenie, że akcja tego muzycznego dramatu rozgrywa się w teatrze szekspirowskim, a jego zamysł inscenizacyjny i reżyserski polegał na stworzeniu kameralnego, intymnego widowiska, bo wielka, niewinna miłość istnieje po dziś dzień, a takie uczucie pokonuje wszelkie bariery i możliwe jest bez względu na sytuację otaczającą dwie kochające się osoby. Jest więc *Romeo i Julia* z jednej strony przedstawieniem z epoki, z drugiej – na wskroś nowoczesnym, co sygnalizują określone zachowania i sytuacje, w których znajdują się kochankowie. Julia jest współczesną dziewczyną, podpalającą papierosy, o dość swobodnym zachowaniu, Romeo też nie jest wielkim romantykiem w rozumieniu klasycznym – to zakochany młodzieniec, który jest gotów pokonać wszelkie trudności, by zdobyć swą ukochaną Julię. Czyż dzisiaj nie ma takich Julii i Romeów, których rodziny wzajemnie się nie akceptują, które dzieli pozycja społeczna i zamożność?

Scena po scenie, akt po akcie, realizatorzy premierowego spektaklu wciągają widza w tę dramatyczną intrygę. Z każdą odsłoną zagęszcza się scenografia, której wielofunkcyjne elementy budują przestrzeń zarówno wnętrza pałacowych, słynnej sceny balkonowej, placu, na którym rozgrywa się walka na śmierć i życie, aby w finale stać się symbolicznym grobem. Rody Kapuletich i Montekich różnią kostiumy – pierwszych wyróżnia bogactwo, drudzy to trochę ubodzy krewni, z resztkami kryz – tak charakterystycznych dla stroju bogaczy.

W partii Julii obsadzona została Ewa Majcherczyk, zaś partię Romea wykonywał Andrzej Lampert. Czy podołali niełatwemu przecież zadaniu – odpowiedź nie jest jednoznaczna. Moim zdaniem zabrakło nieco liryzmu, chociaż z drugiej strony dość ostra barwa głosu Ewy Majcherczyk korespondowała z jej dynamicznym sposobem bycia. Podobnie Andrzej Lampert, rozśpiewał się dopiero w kolejnych partiach spektaklu.

Pomysłem scenograficznym, który zapewne spodoba się publiczności jest scena z lustrem umieszczonym na suficie sypialni kochanków, ale pewnie mniej spodobają się czasem niezrozumiałe zachowania Gounodowskich bohaterów, jak chociażby Julia wiążąca sobie rogi prześcieradła na szyi. Niby drobiazgi, ale chyba niepotrzebne. Za to znakomicie sprawdza się chór umieszco-



Ewa Majcherczyk (Julia) i Andrzej Lampert (Romeo) w premierowym spektaklu

Fot. Krzysztof Bielinski/Opera Śląska

Romeo i Julia na otwarcie sezonu

OPERA

Pięknie skomponowaną sceną, skąpaną w granatowo-białym świetle, z umieszczonymi w samym centrum dwójgim bawiących się dzieci rozpoczyna się spektakl *Romeo i Julii* Charles'a Gounoda – najnowszej premiery Opery Śląskiej w tym sezonie. Widok ten oczarowuje i zapowiada magiczne przedstawienie. Jeśli dodać, że była to nie tylko premiera spektaklu, ale też debiut na bytomskiej scenie nowego szefa artystycznego Opery Śląskiej Bassema Akiki i pierwszy sezon Łukasza Goika jako dyrektora Opery, to napięcie wzrastało.

ny jak w elżbietańskim teatrze w pałacowych oknach, a twarze śpiewaków i znakomicie zaprojektowane stroje przydają całości powagi, kolorytu epoki, stając się zarazem komentatorem sytuacji.

W miarę upływu przedstawienia można jednak odczuwać przesyt nagromadzeniem pomysłów scenograficznych. Przynajmniej w kilku miejscach przydałoby się nieco ascezy i uspokojenia. Niezwykła scena – prolog zapowiadała właśnie taki charakter spektaklu – i tak mogło pozostać. Imponująco jednak prezentują się gigantyczne podświetlane witraże czy wręcz – niczym w kalejdoskopie gra światła.

Najważniejsi oczywiście w przedstawieniu są wykonawcy, a ci – mimo drobnych uwag pod adresem głównych bohaterów – spisali się znakomicie. Świetnie zabrzmiał chór, a soliści wraz z zespołem baletowym dali popis swojego wysokiego kunsztu tanecznego. Wspaniale poprowadził orkiestrę Opery Śląskiej Bassem Akiki, co z pewnością jest zapowiedzią kolejnych świetnych realizacji pod jego kierownictwem muzycznym. Swoją dalszą współpracę z Operą zapowiada też Michał Znaniecki,

dla którego bytomskie przedstawienie zamykało jubileusz 25-lecia pracy twórczej jako reżysera.

Nie bez znaczenia jest, że spektakl został przygotowany w języku oryginału, czyli po francusku, co również należy zauważyć i docenić.

Jak na tyle debiutów w jednym spektaklu, wszystko poukładało się jak należy i było niewątpliwie dużym sukcesem wszystkich zespołów i realizatorów na bytomskiej scenie. *Romeo i Julia* z pewnością będą przyciągać do teatru tłumy melomanów nie tylko w Bytomiu czy Katowicach, ale także podczas spektakli wyjazdowych – z myślą o takich prezentacjach został również pomysłany ten spektakl.

WIESŁAWA KONOPELSKA

Charles Gounod *Romeo i Julia*. Opera w 5 aktach. Premiera: Opera Śląska w Bytomiu, 21 października 2017 r. Kierownictwo muzyczne: Bassem Akiki. Inszenizacja, reżyseria, kostiumy: Michał Znaniecki. Scenografia: Luigi Scoglio. Choreografia: Elżbieta Pańtak, Grzegorz Pańtak. Reżyseria światła: Bogumił Palewicz.





Ze **SŁAWOMIREM ZUBRZYCKIM**
pianistą, twórcą rekonstrukcji wioli organisty
– instrumentu wymyślonego przez Leonarda da Vinci,
rozmawia MAREK LYSZCZYNA

Zdjęcia ze zbiorów prywatnych S. Zubrzyckiego



Muzyczne śledztwa

Tropami zapomnianych instrumentów

– 17 października minęła 25 rocznica śmierci prof. Tadeusza Żmudzińskiego, którego był pan studentem. Jak pan wspomina profesora?

– Profesor Tadeusz Żmudziński był moim najważniejszym pedagogiem. To był człowiek o niezwykłym charakterze, niezwykle osobowości, prawdziwy wychowawca. Myślę, że reprezentował pewną epokę, która już odeszła: epokę tytanów pracy, solidności, dobrych manier i oczywiście pianistykę XX wieku. Profesor Żmudziński studiował między innymi u Waltera Giesekinga, więc jego osobowość i sztuka pianistyczna były ukształtowane jeszcze przez wpływy przedwojennych pianistów. To była wspaniała epoka, w której podziwiano ludzi takiego formatu. Myślę, że dzisiaj

zagubiliśmy zdolność dostrzegania ich, pokazywania ich osobowości, choćby w mediach, gdzieś obecnie funkcjonują na marginesie głównych nurtów informacyjnych.

– To prawda, media tracą zainteresowanie. Profesor Żmudziński był nie tylko pedagogiem, ale też koncertującym pianistą, dzięki czemu publiczność mogła go łatwiej poznać. Dzisiaj te drogi zawodowe się nieco rozchodzą. Pianisci rzadko mają czas, by uczyć studentów.

– Nie wiem czy do końca jest tak, że dzisiaj pianisci nie uczą, ale może rzeczywiście koncentrują się na bardziej spektakularnych wydarzeniach, takich jak kursy mistrzowskie. W krótszym czasie mogą zgromadzić znakomitych stu-

dentów – pianistów, może efektywniej jest dla nich prowadzić takie otwarte lekcje. Profesor Żmudziński był tytanem pracy, takiej regularnej, codziennej pracy. Oczywiście zdarzało się, że kiedy wyjeżdżał na koncerty, a były one liczne, wtedy dni zajęć się zmieniały; zdarzało się, że mieliśmy także zajęcia w niedzielę. Niemniej to nie była nigdy godzina pracy. To zawsze trwało godziny.

– Zawsze Profesor miał czas dla studentów?

– Zawsze, nawet kosztem własnego zdrowia. Przyjeżdżał do Krakowa z Katowic i właściwie cały dzień funkcjonował tylko o kawie.

– Potem wyjechał pan na studia do Bostonu. Jak wtedy, na początku lat 90. XX wieku wyglądało środowisko muzyki dawnej w Stanach Zjednoczonych?

– Gdy wyjeżdżałem na studia na stypendium Fulbrighta, nie trafiłem do środowiska muzyki dawnej. Muszę powiedzieć, że moje dochodzenie do muzyki dawnej było nurtem niezależnym od mojej głównej działalności. Pojawiło się jeszcze na studiach, niemniej szkoła profesora Żmudzińskiego, moje studia pianistyczne w USA, to był nurt pianistykę współczesnej, który nie bardzo przekładał się na muzykę dawną, więc postanowiłem zburzyć ten model. We wczesnych latach 90. postanowiłem, że chociaż zajmuję się muzyką współczesną, czy raczej pianistyką współczesną, to zbuduję klawikord Johanna Sielbermana. Oryginał stoi w Muzeum Narodowym w Norymberdze. Zakupiłem plany i zbudowałem ten instrument. Dlaczego o tym mówię? Dlatego, że zetknięcie z taką materią z wieku XVIII, z instrumentem tego typu, było dużym wyzwaniem dla pianisty kształconego we współczesnej pianistyce. To nie ta sama klawiatura, nie tylko ze względu na kolory, ale na jej funkcjonowanie.

– To inny mechanizm.

– Tak, to były dwa różne światy. Musiałem sobie odpowiedzieć na pytanie czy jestem w stanie adaptować się do warunków instrumentu historycznego. To jest naprawdę bardzo duża różnica, zwłaszcza biorąc pod uwagę klawikord i współczesny fortepian. Już w przypadku klawesynu jest trochę łatwiej. Trudniej w wypadku *fortepiano*, o którym wtedy nie było w Polsce mowy, czy klawikordu. Nikt tym nie chciał się zajmować, to był bardzo mało rozpoznany obszar. Dzisiaj sytuacja znacznie się różni od ówczesnej.

– Czy powodem tego był fakt, że w Polsce nie przetrwało dziedzictwo w postaci instrumentów takich jak we Francji czy w Niemczech?

– To prawda. Podczas niedawnej I Konferencji Instrumentologicznej w zamku Ostromecko pod Bydgoszczą poruszono kwestię olbrzymich strat, ja-





kie ponieśliśmy w Polsce. Strat do tego stopnia, że uwierzyliśmy w to, że w naszej historii muzyka jakoś nie bardzo się rozwijała – to nieprawda! Ona rozwijała się normalnie, budowano instrumenty jak w krajach sąsiednich. Może nie tak intensywnie, jak w państwach, które były podzielone na mniejsze struktury, na księstwa, jak Włochy czy Niemcy – wtedy ta konkurencja muzyczna była znacznie większa. W Polsce muzyka też się bardzo dobrze rozwijała. Jak wspominałem, budowano instrumenty, było wiele inicjatyw, niestety bardzo wiele z tego, co zostało zbudowane zostało zniszczone, i to jest nasza wielka strata. Rzeczywiście, kiedy spotykam kolekcjonerów we Włoszech czy w innych krajach, to oni mają instrumenty Ruckersa, różne *fortepiano*, i to są instrumenty oryginalne. Na szczęście obecnie bardzo wiele się w Polsce zmienia i z wielką satysfakcją zobaczyłem, że na sesję instrumentologiczną przywieziono orestaurowane fortepiany Bradwooda i Pleyela, ale również zrekonstruowane *fortepiano* Waltera z 1795 roku. Jechałem na konferencje z taką myślą, żeby poruszyć problem istnienia w Polsce instrumentów z wieku XVIII, a konkretnie *fortepiano*, to znaczy, żeby były one szeroko dostępne do wypożyczenia na koncerty. Okazuje się, że powoli to już się dzieje.

– I ta fascynacja rekonstrukcjami doprowadziła pana do tego opus magnum, jakim jest wiola organista?

– Tak, to prawda. To był proces, który rozwijał się równoległe do mojej działalności pianistycznej. Przez około dwadzieścia lat zajmowałem się wykonawstwem muzyki współczesnej – to jest w ogóle inny świat. Jednak rozwijałem moje zainteresowania muzyką dawną. W latach 90. bywałem na kursach klawesynowych w Innsbrucku i w Warszawie, żeby trochę rozwinąć inne umiejętności. No i zacząłem budować klawikord, który był dość istotnym elementem w poznawaniu dawnych instrumentów. Potem była spora przerwa i dopiero około 2008 roku poczułem taką potrzebę, aby zrobić coś jeszcze. Zrobić dosłownie – to znaczy wykonać fizycznie. Traktowałem to jako dobry czas sprzyjający koncentracji. Kiedy trafiłem na informacje o instrumentach klawiszowo-smyczkowych, stwierdziłem z zaskoczeniem, że taki pomysł, który rozpoczął się w szkicach Leonarda da Vinci, został przez niego wymyślony, mógł zupełnie przepaść w historii! Kiedy zobaczyłem, jak małe jest zainteresowanie tym tematem, pomyślałem, że to jest niezwykle wyzwanie. Było to niezwykle zadanie, bowiem stanąłem przed wieloma obszarami, problemami, które musiałem rozwiązać, rozpracować, przetworzyć, aby z tego wyciągnąć jakąś praktyczną możliwość stworzenia in-

strumentu. Sam pomysł mnie zachwycał tak dalece, że przez blisko cztery lata, właściwie niemal codziennie pracowałem po kilka godzin, pracując przeciw prawie na dwóch etatach.

– Patrząc na violę organistę ma się wrażenie, że to bardzo misterny, skomplikowany mechanizm, który łączy instrument smyczkowy z instrumentem klawiszowym. Co było najtrudniejsze w tej pracy? Czy wszystkie elementy wykonywał Pan ręcznie?

– Trzymałem się pewnych zasad budowy instrumentów z tamtej epoki, oczywiście w tym przypadku nie każdy detal odgrywał zasadniczą rolę. Kiedy rekonstruuje się instrumenty, lub restauruje, wówczas obowiązuje zasada, że poszukuje się elementów z danej epoki. Rozpiętość czasu nie może przekraczać określonej ilości lat. W wypadku rekonstrukcji wioli organisty nie musiałem się trzymać takich restrykcyjnych reguł w każdym szczególe, w kształcie każdej śrubki, bowiem to nie było celem. Celem było uzyskanie odpowiedzi na pytanie, czy taki instrument mógł powstać i rozwinąć się w tamtym czasie, to znaczy czy zaczęłoby się wówczas na nim powszechnie grać. Mam na myśli instrument koncertowy, który miałby możliwość ekspresji, wyrazu muzycznego, bo to jest rzecz dla wykonawcy najważniejsza. Nie tyle odtworzenie pewnej muzealnej wizji instrumentu, ile stworzenie instrumentu, który mógł odnieść wówczas sukces. To jest niesamowita historia. To nie było tak, że Leonardo da Vinci coś naszkicował, a później nikt tego nie chciał zrobić przez pięć wieków, i nagle ktoś to odbudował. Zwykle tak moją historię się przedstawiało w mediach, bo to dobrze brzmi, media wolą takie skróty. Historia jest oczywiście bardziej kolorowa i to mnie zafascynowało. Proszę sobie wyobrazić, że dotarłem do doskonałej pracy napisanej w Londynie, z której wynika, że było dwieście przypadków rozpoczęcia lub nawet ukończenia budowy. To już jest niemała liczba, która wręcz zniknęła z historii muzyki! I to było dla mnie szokujące, że pomimo tego, prawie żaden instrument tego typu dziś nie istnieje. Kiedy byłem na konferencji instrumentologicznej, stwierdziłem, że należy stworzyć osobny dział w klasyfikacji instrumentów, czyli instrumenty klawiszowo-smyczkowe. Nie ma takiego działu i mówię tu o klasyfikacji międzynarodowej. Będę do tego dążył, aby go wpisać. W związku z tym, że powstała niegdyś tak wielka liczba instrumentów, a do naszych czasów zachował się tylko jeden historyczny instrument z 1625 roku, postanowiłem zadać sobie pytanie, co się takiego wydarzyło, jakie były przeszkody, jakie – być może – były wady tych konstrukcji, że nie zostały one spopularyzowane. Muszę dodać, że znane są co najmniej trzy świadectwa wybitnych

postaci świata muzycznego, które zetknęły się z takimi instrumentami. Był to Orlando di Lasso i Vincenzo Galilei, ojciec Galileusza, którzy grali na pierwszym w historii instrumencie zbudowanym w 1575 przez Hansa Heydena w Norymberdze. Instrument ten trafił do Monachium, gdzie kapelmistrzem opery książęcej był właśnie Orlando di Lasso. Galilei przyjechał z wizytą do niego i zachowała się taka wzmianka Galilego, że to bardzo ciekawa konstrukcja i dobrze byłoby ją rozpropagować. Następnym świadkiem jest Michael Praetorius, który poznał drugi instrument zbudowany w Norymberdze przez Heydena w 1600 i opisał go w znanym, istniejącym do dzisiaj dziele *Syntagma Musicum*, gdzie opisuje znane ówczesne instrumenty muzyczne. Mamy też wzmiankę Carla Philipa Emanuela Bacha, który poznał instrument Hofelda zbudowany w Berlinie w 1753 roku. Carl Philip Emanuel Bach, w słynnym traktacie zatytułowanym *O prawdziwej sztuce gry na instrumentach klawiszowych* napisał takie zdanie: *Niestety bogenklavier, świętyn wynalazek Hofelda nie wszedł jeszcze do szerokiego użycia. Zanim się to stanie nie można określić jego szczególnych zalet, bez wątpienia okaże się użyteczny do akompaniowania.* Akompaniowaniu Carl Philip Emanuel Bach poświęcał bardzo dużo uwagi. To był dla niego ważny dział dotyczący grania na instrumentach klawiszowych, więc to świadczy bardzo pozytywnie o opisanym przez niego instrumencie. Wiemy też, że Franciszek Liszt poszukiwał instrumentu zbudowanego przez Wasianskiego i Gebrechta w Królewcu, chociaż niektóre źródła podają, że zbudowany był on w innym mieście, a dopiero trafił później do Królewca, niemniej tam był przez lata w rękach Wasianskiego, który był zaprzyjaźniony m.in. z Immanuelem Kantem. Franciszek Liszt będąc w Królewcu na koncertach chciał zagrać na tym instrumencie, ale tak się zdarzyło, że było to już po śmierci Wasianskiego, a instrument został gdzieś przeniesiony i nikt nie potrafił go odnaleźć. Niemniej musimy stwierdzić, że informacje o istnieniu takich instrumentów pojawiają się co jakiś czas w różnych miejscach Europy, a na początku XXI wieku naprawdę była to biała plama. Było kilka osób, które tym się interesowały. Próbowano taki instrument zbudować i w Japonii i we Włoszech. Mamy także w historii Polski trzech budowniczych. Jan Jarmusiewicz, około 1830 r., w okolicach Łańcuta zbudował instrument, który nazywał się klawiolin. To był instrument, na który natrafiłem jako pierwszy. Poinformował mnie o tym mój kolega, Kazimierz Pyzik kompozytor i muzyk grający na licznych instrumentach, w tym wioli da gamba. Powiedział, że istnieje coś takie-





Przy fortepianie prof. Tadeusz Żmudziński – nauczyciel Sławomira Zubrzyckiego



Koncerty prof. Tadeusza Żmudzińskiego były zawsze wielkim wydarzeniem życia muzycznego

go jak fortepian smyczkowy, klawiolin Jana Jarmusiewicza, zbudowany w XIX wieku. To był ten punkt, od którego rozpocząłem pracę. Ale byli też inni konstruktorzy, którzy na przełomie XIX i XX wieku budowali podobne instrumenty, np. Aleksander Piątkiewicz i Julian Trzebiński. Aleksander Piątkiewicz działał w Hyrowie, i z tego co udało mi się odnaleźć, jego brat był profesorem słynnego hyrowskiego gimnazjum. Obaj byli bodajże jezuitami, bo to było gimnazjum prowadzone przez ten zakon. Zatem, to już któryś z kolei ksiądz, który buduje taki instrument, ponieważ również instrument, o którym już wspominałem, ten z 1625 został zbudowany przez Raymundo Truchado, mnicha hiszpańskiego. Nie wiem dlaczego, ale być może coś niezwykłego jest w jego brzmieniu, co fascynowało osoby duchowne....

– To praca niemal detektywistyczna – odnajdywanie śladów, tropów. Kolejny element śledztwa to repertuar. Czy były komponowane utwory przeznaczone specjalnie na ten instrument?

– Oczywiście ale sprawa jest też złożona. Ponieważ wiemy o tym, że jeden utwór został ewidentnie napisany *für bogenklavier* – jest to sonata, jedna z najpóźniejszych sonat Carla Philippa Emanuela Bacha, która znajduje się w zbiorze sonat fortepianowych, niemniej w opisie jest zaznaczone, że *für bogenklavier* czyli fortepian smyczkowy i to jest udokumentowane, nie ma tu żadnych wątpliwości, ale mówimy o wieku XVIII. Jak wiemy muzyka zaczęła w tym czasie precyzyjnie określać swoje instrumentarium. W XIX wieku było ono nie do podważenia – Chopin pisał na fortepian, Paganini na skrzypce, trudno byłoby tę muzykę przenieść na inne instrumenty. Natomiast muzyka wcześniejsza nie była poddana takim restrykcjom w zakresie instrumentarium. Kiedy mówimy o muzyce XVI wieku, musimy pamiętać, że rozwijały się bardzo intensywnie formy muzyczne pisane na instrumenty klawiszowe. Zaczęto przekładać polifonię wokalną na instrumenty klawiszowe, takie jak wczesne ograny czy klawesyn, mogła to być też viola organista. Wyobrażam sobie, że jeśli Orlando di Lasso na takim instrumencie mógł grać, to byłaby muzyka bardzo zbliżona do utworów Andrea Gabrieli czy Anibale Padovano, które już wykonywałem. Są one nieco późniejsze, ale nie sądzę, żeby to miało znaczenie, zwłaszcza że część tematów jest wzięta np. z Orlando di Lasso. Sądzę, że repertuar włoskiego renesansu jest absolutnie właściwym i takie były założenia Leonarda, o czym pisał Emanuele Winternitz, badacz jego dzieła. Leonardo da Vinci grał na violi da Baccio, ale zarzucał jej to, że nie moż-



Viola organista – instrument zrekonstruowany przez Sławomira Zubrzyckiego

na na niej wykonywać swobodnie polifonii. Były klawesyny, ale ich dźwięk z kolei zanikał. Były oczywiście także organy, ale uważał, że tworzą dźwięk długi, nie zanikający co prawda, ale bez możliwości wpływania na niego. Postanowił więc stworzyć instrument doskonały, którego dźwięk byłby stały, ale niejednorodny, z możliwością modulowania brzmienia, jak na instrumentach smyczkowych. Jednocześnie byłaby możliwość grania wielu głosów przy pomocy klawiatury – jak wiemy, polifonię znacznie łatwiej jest grać na instrumencie klawiszowym, natomiast na smyczkowym są pewne ograniczenia fakturalne. To założenie Leonarda dokładnie wypełnia się we włoskim repertuarze klawiszowym XVI wieku, ale nie tylko. Mówi się, i słusznie, że wówczas każda muzyka była muzyką włoską! Także i polska muzyka była muzyką włoską... myślę że jeśli będę grał jakieś fragmenty z polskich tabulatur, np. gdańskiej, warszawskiej czy krakowskiej, to będzie to również taka sama muzyka włoska, tylko że skomponowana w Polsce. I to jakby naturalnie stanowi repertuar na violę organista.

Drugi obszar, który brałem od początku pod uwagę, to jest muzyka wczesnego baroku komponowana na violę da gamba. Dlatego, że jej brzmienie w dużym stopniu przypomina brzmienie violi organista lub na odwrót – viola organista przypomina brzmienie zespołu viol

da gamba. Jest to charakterystyka przytoczona przez Michaela Praetoriusa, i to jest bardzo ważna informacja również dla dzisiejszego konstruktora. Założyłem, że gdyby ten instrument został zbudowany za życia Leonarda da Vinci i rozwinął się, uzyskał akceptację, to właśnie ten okres XVII wieku byłby złotym okresem rozwoju violi organista. I tak np., muzyka na violę da gamba Saint Colombe'a, Marina Marais czy C. F. Abła mogłaby powstawać z przeznaczeniem na violę organista. Przy niewielkiej adaptacji, innym przełożeniu, np. z dwóch viol da gamba na klawiaturę można zagrać dokładnie całą strukturę takiego utworu. Założyłem więc, że taki repertuar także może być wykonywany. Znajduję też inne pomysły, np. wczesne koncerty organowe Haendla – wydają mi się wręcz idealne. Jest też obszar muzyki współczesnej, który jest bardzo pojemny i tutaj można bardzo wiele zrobić, przy czym chciałem w pierwszym okresie promowania mojego instrumentu skoncentrować się na muzyce historycznej.

– Viola organista wzbogaca ciekawą rodzinę instrumentów klawiszowych, począwszy od klawikordów po dzisiejsze instrumenty elektroniczne. A może wpadł Pan na jakieś tropy innych instrumentów klawiszowych zapomnianych przez historię?

– Ostatnio pojawiło się podejrzenie, że fortepian, wynalazek Christoforiego z 1700 roku, miał swojego prekursora nie

tylko w klawikordzie, ale też w klawicyterium – średniowiecznym instrumencie, który był instrumentem uderzającym w struny, bez tłumika, bardziej pobrzmiwał jak harfa. Niewykluczone, że odnajdziemy jakieś inne instrumenty. Są także różne wątki, które zostały przerwane w historii muzyki, takie jak np. inne metody strojenia, inny typ podziału klawiatury, jak choćby w cimballo cromatico. Istnieją także instrumenty ćwiercotonowe, które swego czasu również mogły się rozwinąć, choćby fortepian Haby w muzeum instrumentów w Pradze, na którym też miałem okazję zagrać. To są takie wątki, które być może nie miały szans rozwoju. Widziałem kiedyś Christophera Stemberidge'a grającego na cimballo cromatico i muszę powiedzieć, że czynił to w ogromnym skupieniu, wręcz z wysiłkiem, ponieważ w oktawie znajduje się 19, a nie 12 klawiszy! Każdy bemol i krzyżyk są osobnym klawiszem, to robi spór różnicę dla współczesnego muzyka. Może względu praktyczne okazały się pewną przeszkodą. Trudno jednak zaprzeczyć, że jakieś odkrycia mogą się jeszcze pojawić. Budowa mojej violi organista i jej popularyzacja za sprawą mediów światowych, takich jak choćby Agence France Presse, spowodowały pewien impuls w tym kierunku. Wkrótce po moim pobycie w Brukseli, gdzie zagrałem recital w Muzeum Instrumentów Muzycznych, w jednym ze słynniejszych muzeów



tego typu, dostałem wiadomość, że na dworze królewskim w Brukseli odkryto w piwnicy zdekompletowany instrument z 1830 roku, fortepian smyczkowy piano-viole. Wiem, że obecnie trwają próby jego rekonstrukcji. Zapewne mogą się odnaleźć także fortepiany smyczkowe, ale mnóstwo instrumentów przepadło, w tym wszystkie stworzone w Polsce. A może gdzieś są? Staram się popularyzować ten typ instrumentu także w kręgach naukowych. Bardzo dobrze, że doszło do pierwszej konferencji instrumentologicznej, gdzie spotkali się także muzealnicy. Rozmawiałem z osobami z Rzeszowa, być może uda im się trafić na informacje dotyczące klawiolinu Jana Jarmusiewicza. To byłaby naprawdę sensacyjna informacja.

– Jak publiczność europejska i polska przyjęła violę organistę? Od kilku lat jest pan w zasadzie w nieustannym tournée?

– Minęły cztery lata od mojego pierwszego koncertu, podczas którego zaprezentowałem ten instrument i muszę powiedzieć, że moja praca spotkała się z bardzo wielkim odzewem wielu środowisk, nie tylko muzycznych. Zainteresowała także konstruktorów, otrzymałem wiele bardzo sympatycznych listów, nawet podziękowań za moją pracę, ale takich, powiedziałbym fachowych, dotyczących strony technicznej, co jest dla mnie bardzo istotne. Bardzo wiele było również komentarzy ze strony melomanów. Wytworzył się taki obyczaj na moich koncertach, że publiczność podchodzi do instrumentu, ja wracam na estradę, żeby porozmawiać, zademonstrować funkcjonowanie mechanizmu, to są bardzo sympatyczne chwile, kiedy mogę spotkać tak wielu ludzi, odbiorców mojej muzyki. Zetknąłem się naprawdę z bardzo sympatycznym, miłym i ciepłym przyjęciem. Także istotne są spotkania z profesjonalistami, z muzykami, czy budowniczymi, którzy odbierają violę organistę bardzo dobrze. Jeśli chodzi o publiczność, są też sytuacje zabawne, niespotykane w filharmoniach. Opowiem anegdotę. W jednej filharmonii poprosiłem o asystę, aby zapewnić bezpieczeństwo, kiedy ktoś z publiczności wejdzie na estradę. Odpowiedziano mi, że „u nas to się nigdy nie zdarzyło”. „No to zobaczymy” – mówię. Zawsze słuchacze najpierw patrzą, potem pojawia się jeden odważny, który wchodzi na scenę. Chęć zobaczenia takiego dziwnego instrumentu jest bardzo duża.

– Pierwsza pana płyta zawierała muzykę dawną. Ale to nie jedyny muzyczny kontekst dla violi organisty. Nagrał pan także płyty z Bjork.

– To był pewien artystyczny eksperyment. Dziwny eksperyment, ale zdecydowałem się wziąć udział w takim nagraniu. Inna muzyka, aczkolwiek wydawało mi się, że strukturalnie te utwory i partia, która została przeznaczona

na na violę organistę zostały dość dobrze osadzone w brzmieniu instrumentu, ponieważ dublowały kwintet smyczkowy użyty we wcześniejszych wersjach.

– Skąd zainteresowanie Bjork tym instrumentem?

– Bjork interesowała się tym instrumentem na samym początku, gdy było o nim dużo informacji w mediach światowych. Wkrótce dostałem od jej menagera pytanie, czy widziałbym możliwość pokazania jej instrumentu. Bjork chciała wówczas przyjechać, ale później ta sprawa została zawieszona z powodu jej licznych podróży, tras koncertowych. Po dwóch latach dostałem znowu maila z pytaniem, czy nie byłbym zainteresowany udziałem w nagraniu. Przysłali mi nuty, poprosili o jakąś próbkę nagrania. Zrobiłem to, po czym znowu była cisza, choć miałem przeczucie, że tym razem coś z tego może wyniknąć. Upłynęło kilka miesięcy, po czym dostałem zapytanie, czy nie mógłbym wziąć udziału w nagraniu płyty. To był czwartej, materiałem powiniennem nagrywać w sobotę, a już w następną środę całość miała być miksowana w Londynie. Dano mi zatem dwa dni, żeby się przygotować, sądziłem, że będę miał lepszy komfort pracy. Widocznie w zespole Bjork planuje się to wszystko bardzo spontanicznie. Była to błyskawiczna produkcja. Poprosiłem Grzegorza Steca z Katowic, reżysera dźwięku, który na szczęście mógł wówczas przyjechać do Krakowa. Nagrywając płytę byliśmy cały czas przy telefonach, zostały ustalone wszystkie czasy, tempa pod konkretną synchronizację. Nasze pliki szły do Anglii, potem na Islandię do Bjork i z powrotem do Londynu. Trochę zwiariowana produkcja. Ale efekt jest ciekawy.

– Ostatnia kwestia – dość ważna, a mianowicie model biznesowy, na który się Pan zdecydował, wydając płytę dzięki systemowi Kickstarter, który wydaje się być w dzisiejszych – trudnych dla twórców czasach – dobrym narzędziem dla wspierania takich niekomercyjnych, ambitnych przedsięwzięć.

– Namówiono mnie, żeby skorzystać z takiej możliwości. Oczywiście były wcześniej propozycje z wytwórni płytowych. Ale w przypadku pierwszej płyty chciałem mieć kontrolę nad tym, jak ona będzie wyglądać. Namówiono mnie do wzięcia udziału do kampanii na Kickstarterze w USA. To jedyny polski projekt muzyczny, który udało się tam przeprowadzić. Było z tym trochę pracy, ale myślę, że to też buduje pewną kampanię informacyjną. Podglądałem kto był fundatorem, nie było to głównie środowisko muzyczne, co ciekawe, ale w dużym stopniu techniczne, środowisko inżynierów, wynalazców, twórców, akademików, którzy zajmują się współczesną techniką. Myślę, że mój projekt wsparli także ludzie związani z projek-

tami gier komputerowych, to teraz bardzo nośna płaszczyzna i wielki rynek. O dziwo, środowiska muzyczne były w mniejszości.

– Dzięki Kickstarterowi od razu weryfikujemy, czy pomysł się podoba publiczności, czy nie.

– Struktura wpłat była rozproszona, to znaczy było dużo wpłat, drobnych kwot. Płyta dostała także nominacje do polskiego Fryderyka i do International Classic Music Award. To są nominacje, niemniej jednak produkcja spoza wielkich firm płytowych została doceniona i zauważona, więc to też jest sympatyczne.

– Najbliższe plany?

– Kilka tygodni temu wróciłem z Francji i Belgii. We Francji, w dolinie Loary zagrałem w Clos Lucé w Ambois, czyli w ostatnim miejscu zamieszkania Leonarda da Vinci. Odbywa się tam festiwal renesansowy, na który zostałem zaproszony. Poproszono mnie nawet, żeby nie grać jednego recitalu, ale trzy, by większa publiczność mogła poznać ten instrument. Już rozpoczęły się obchody 500. rocznicy śmierci Leonarda. Zostałem przyjęty bardzo dobrze, doceniono też moją pracę rekonstrukcyjną violi organista, zaproponowano mi kontakty z wybitnymi badaczami dzieła Leonarda. Padła też propozycja fundacji Clos Lucé wydania książki, którą zamierzam napisać. Jestem zaproszony też na recital w kulminacyjnym momencie obchodów w 2019 roku. Z Francji pojechałem do Belgii, do Liège, gdzie na festiwalu *Les Nuits de Septembre* zagrałem recital w świetnej akustyce Kolegiaty św. Jana. Zainteresowanie publiczności było bardzo duże. Dalsze plany to Łódź i Poznań.

– A plany płytowe?

– W tym momencie rozpoczynam nowy etap działalności, w którym chcę rozpocząć współpracę z muzykami grającymi na innych instrumentach. Mam nadzieję, że dojdzie do skutku nagranie ze znakomitą klawesynistką Lilianną Stawarz z Warszawy, z Uniwersytetu Muzycznego im. Fryderyka Chopina. Zagramy m.in. Carla Philipa Emanuela Bacha. To będzie następne wydawnictwo płytowe. Chciałbym też nagrać repertuar renesansowy, ale planuję również współpracę np. z violami da gamba. Mam także projekt roboczo nazywany *only keyboards*, czyli *tylko instrumenty klawiszowe*. Biorąc pod uwagę, że viola to instrument smyczkowy, to może być bardzo ciekawe brzmienie ensamblowe. Będą i smyczki, i klawesyn czyli będzie basso continuo, i być może będzie *fortepiano*, być może wcześniejszy repertuar z organetto, w znaczeniu średniowiecznego instrumentu (rodzaj portatywu). Albo renesans, albo muzyka XVIII wieku. Zobaczymy, jakie pomysły jeszcze wynikną...

– Dziękuję za rozmowę.



Rozmowa z **ARTUREM BARCISIEM**

To jest moje miejsce, tu są moje korzenie



– Porozmawiajmy o pana związkach ze Śląskiem. Urodził się pan w Kokawie koło Częstochowy. Co Pan pamięta z czasów dzieciństwa?

– Pamiętam tory kolejowe i to, że nasz dom położony był obok stacji na granicy dwóch wsi, które przecinały tory. Z jednej strony była Kokawa, z drugiej Mykanów. Pamiętam, że razem z braćmi czekaliśmy, aż będzie jechał pociąg...

– To było wydarzenie?

– Nie, nie, pociągi często tamtędy jeździły. Czekaliśmy, ponieważ tą ciuchcią mógł jechać nasz dziadek Edek, który gdy nas widział, rzucił nam ciastka.

– Był maszynistą?

– Nie, był konduktorem i często jeździł na tej trasie. Cała nasza rodzina pracowała na kolei. Mama – na przystanku kolejowym, sprzedawała bilety, dziadek – jak wspominałem – był konduktorem, tata też był kolejarem – pracował w magazynie w Częstochowie. To było moje dzieciństwo.

– Teraz jest pan uznanym artystą. Kiedy zrodziła się myśl, by zostać aktorem?

– Byłem mały, drobny. Gdy wyszedłem na scenę w Rędzinach, poczułem się ważny; gdy stałem na podwyższeniu, wszyscy patrzyli na mnie i bili mi brawo – i już nie byłem taki mały. Czuję, że scena to miejsce dla aktora. Wyobrażałem sobie, że aktor musi być wysoki i przystojny, a ja nie zapowiadałem się na wysokiego. Mimo to robiłem wszystko, aby nim zostać. Skończyłem liceum, zdałem maturę i wybrałem łódzką szkołę teatralną (PWSFTViT w Łodzi), ponieważ dowiedziałem się, że tam przyjmują nietypowych, to znaczy, że nie liczy się wygląd.

– Zdał pan za pierwszym razem.

– Zdawałem egzamin trzystopniowy. Ale tak, rzeczywiście za pierwszym razem.

– W odkryciu talentu pomogła pani polonistka...

– Tak. Była to pani Elżbieta Sosnowska z Liceum Ogólnokształcącego w Rudnikach. Tego liceum już nie ma. Zauważyła, że wiersz, którego kazała nauczyć się na pamięć, mówię ze zrozumieniem, wiem, o czym mówię i w dodatku potrafię przekazać jakieś emocje. Wszyscy słuchali. Stwierdziła, że nadaję się do tego, aby wystąpić w konkursie recytatorskim. To był konkurs wielostopniowy, popularny w całej Polsce. W drugiej klasie ŁO wystartowałem w tym konkursie, pokonując poszczególne etapy, aż dotarłem do Katowic. Katowice były dla mnie wtedy wielką metropolią. Tam, w konkursie wojewódzkim, zająłem drugie miejsce. Rok później wygrałem w województwie śląskim i reprezentowałem ten region na etapie finałowym, który również wygrałem. Pamiętam, że było to w Lublinie, w Teatrze im. Juliusza Osterwy.

– A to już był jakiś dorobek, którym można się było pochwalić.

– Okazało się, że nie, bo szkoła teatralna woli kandydatów „czystych”, bez nabytych manier, nieskażonych wiedzą. A często recytatorzy nabywali pewnych manier, przyzwyczajęń, które w studiowaniu przeszkadzały, więc ja się na wszelki wypadek nie przyznałem. Konkurs zatem nie przyczynił się do mojego dostania się do szkoły.

– One show Barciś. Proszę o tym opowiedzieć.

– To jest mój program estradowy, który powstał z potrzeby. Otrzymałem dużo

zaproszeń, żeby gdzieś przyjeżdżać, występować. A nie chciałem tak po prostu stać na scenie i opowiadać o sobie, więc postanowiłem, że będę mówił o tym, na czym się znam najbardziej, czyli o aktorstwie. Najpierw to był rodzaj musicalu – monodramu muzycznego, w którym śpiewałem wyłącznie piosenki dotyczące aktorstwa, tremy, wpadek. Było wiele tych piosenek. A potem, gdy pojawiło się większe zapotrzebowanie na występy w bardziej estradowej formie, część tych piosenek przeniósłem do nowego programu. To jest moje spotkanie z widzami, w którym opowiadam piosenkami, i anegdotami opowiadam jak to jest być aktorem.

– Gdzie na Śląsku można obejrzeć ten program?

– Występowałem w wielu miejscach: w Katowicach, Częstochowie, Cieszynie. Jadę tam gdzie mnie zaproszą.

– Mieszka pan w Warszawie, ale czy mówi pan o powrocie w rodzinne strony?

– Nie, mam swój dom, swoje miejsce do życia, ale często bywam w Częstochowie. Tam jest moja rodzina, moja mama, mój brat, który jest jednym z najlepszych zegarmistrzów w mieście – opiekuje się zegarem znajdującym się na ratuszu. Często tam bywam z racji tego, że to jest moje miejsce, moje korzenie.

– Jest pan także znany z tego, że często angażuje się w akcje charytatywne. W tramwajach częstochowskich jest też nagrany Pana głos.

– Tak. Został ogłoszony plebiscyt, który wygrałem, i jestem bardzo szczęśliwy.

Rozmawiała:
ELŻBIETA PISARCZYK

Artur Barciś – jest jednym z najbardziej znanych polskich aktorów teatralnych, telewizyjnych i filmowych, reżyserem teatralnym. Artur Barciś to aktor bardzo wszechstronny – sprawdza się zarówno w rolach komediowych jak i dramatycznych. Zadebiutował w filmie Jerzego Hoffmana „Do krwi ostatniej”. W 1981 r. wystąpił w „Człowieku z żelaza” Andrzeja Wajdy oraz w „Znachorze” Jerzego Hoffmana w roli Wasyłki. Mistrz drugiego planu i ról charakterystycznych. Sympatię widzów zdobył występując u boku Cezarego Żaka w komediowym serialu „Miodowe lata” i w popularnym „Ranczu”. Jest absolwentem Łódzkiej Szkoły Filmowej, którą ukończył w 1979 roku. Ma na swoim koncie niezliczoną ilość ról teatralnych, telewizyjnych i filmowych. Do największych przeżyć w karierze aktora należała bez wątpienia rola młodego Adolfa Hitlera w spektaklu „Mein Kampf” według Georga Taboriego w reżyserii Roberta Glińskiego. Grał m.in. u Andrzeja Wajdy w „Wielkim tygodniu”, Wojciecha Marczewskiego „Ucieczka z kina Wolność”, w filmie Kazimierza Kutza „Straszny sen Dwidziusia Górkiewicza”, „Pułkownik Kwiatkowski”, Leszka Wosiewicza „Kroniki domowe”. Pracował w Teatrze na Targówku i Teatrze Narodowym. Od 1984 roku jest członkiem zespołu Teatru Ateneum w Warszawie. Do najważniejszych jego ról należy tytułowy bohater spektaklu „Burzliwe życie Lejzorka” według Ilji Erenburga w reżyserii Macieja Wojtyski i Waldemara Śmigasiewicza. Ponad dwadzieścia lat później powrócił do tego tekstu jako reżyser. Obecnie jest związany z kilkoma teatrami. Gra w Och-teatrze Krystyny Jandy, w Teatrze Capitol, a od ponad 30 lat w Ateneum. Jest też autorem felietonów, jak również bajek dla dzieci. Włącza się w różne akcje charytatywne.





Źródło: Wikipedia



Paolo Uccello, *Święty Jerzy i smok*, ok. 1470, National Gallery w Londynie

Jak pokonać smoka?

O świętych i smokach w chrześcijańskiej ikonografii...
a o Paola Uccella „Świętym Jerzym ze smokiem” – w szczególności

EWA CHUDYBA

W chrześcijańskiej ikonografii smok jest symbolem chaosu i zła. Jak go pokonać? Jak zwyciężyć zło? Co o sposobach poskromienia potwora mogą nam powiedzieć święci, którzy sobie z nim poradzi? Na łańcuchu prowadzi smoka święta Małgorzata z barokowego obrazu Johanna Heinricha Kynasta z kościoła pw. Chrystusa Króla w Nowym Świątowie, który prezentowany był na wystawie *Nieznane arcydzieła, nieznani mistrzowie* w Willi Caro. Jednak chyba najpopularniejszym przedstawieniem zwycięstwa dobra nad tym, co podłe i niegodziwe – obok Michała Archaniola strącającego szatana do otchłani i Madonny depczącej głowę węża – jest wizerunek świętego Jerzego, który na białym koniu wznosi się nad smokiem, by porazić go włócznią.





Świetlista figurka świętego zdobi nastawę ołtarza w kościele p. wezwaniem św. Jerzego w Gliwicach-Ostropie, który we wrześniu obchodził swoje 350-lecie. Za rycerzem klęczy księżniczka, którą ten wyzwał od grozy potwora. Niewinność zajęła miejsce po prawej, smok po lewej stronie – i ich rozróżnienie nie budzi tu żadnych wątpliwości. Zupełnie inaczej niż na obrazie Paola Uccella *Święty Jerzy ze smokiem*, namalowanym około 1470 roku. To – jak pisze Margreta Grigorova – jeden z najbardziej dyskutowanych obrazów w ogóle. Nie ma co ukrywać, że złożona symbolika dzieła Uccella nie daje mi spokoju od lat. Jako dziecko oglądałam jego czarno-białą reprodukcję w albumie. I zawsze zatrzymywałam się przy niej z uczuciem dezorientacji. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego młodziutki rycerz zabija smoka, którego księżniczka właśnie wyprowadziła na spacer. Bo przecież smok jest na smyczy. Po co go zabijać? Było mi żal potwora, który otwiera pysk w ryku bólu i nie ma przednich łap, bez których nie może się bronić ani nawet utrzymać równowagi. Ma tylko skrzydła. Księżniczka też wydaje się nie rozumieć ataku rycerza – wyciąga drobną dłoń w perswazyjnym geście, jakby coś wyjaśniała, jakby chciała coś wytłumaczyć albo udzielić lekcji pogłądowej... I dlaczego jest taka spokojna? Dlaczego nie może zdobyć się na coś więcej niż ta blada reakcja, kiedy przed jej oczami rozgrywa się horror? Dlaczego właściwie pozostaje niewzruszona? Klasycznym pytaniem, jakie filozofia zadaje w związku ze złem jest „unde malum” – „skąd zło?”. To pytanie o jego pochodzenie, o przyczynę, o źródło. Kiedy patrzę na obraz Uccella zastanawiam się nad inną kwestią – „ubi malum” („ubinam malum”) „gdzie zło”? Jeśli przychodzi z zewnątrz, z ciemności, by wyrządzić nam krzywdę – św. Jerzy i jego włócznia podsuwają nam przykład bezkompromisowego rozwiązania. Co jednak, gdy zło czai się gdzie indziej?

Ubi malum

Wszystkim tym, którzy w obrazie Uccella chcieliby znaleźć motywację do walki ze złem albo odpowiedź na pytanie, a właściwie na odwieczny problem, jak sobie z nim poradzić, jak z nim skutecznie walczyć, twórca – Paweł o przydomku Ptak, nie ułatwia sprawy. Bo jak tu rozprawić o pokonywaniu zła, jeśli to, co miało być jego symbolem, budzi współczucie i żal, żeby nie powiedzieć – miłosierdzie? A w stosunku do rycerza, który bez litości i wahania dąży do unicestwienia potwora prowadzonego na smyczy

czujemy co najmniej zakłopotanie? Czy to przykład diabelskiej przewrotności, która nas zwiódła, kiedy powinniśmy być nieugięci? A może kulturowo uwarunkowany sentyment? Czy po *Granicy możliwości* Sapkowskiego, gdzie wiedźmin Geralt, Jaskier, a ostatecznie i Jennefer stają w obronie złotego smoka bo: „nie zabija się legendy” – i po smoku szczęścia Falkorze o perłowych łuskach, którego pokochało pokolenie lat osiemdziesiątych wychowane na *Niekończącej się historii*, mogłoby być inaczej? Ale przecież tolkienowski Smaug aż tak wielkiego żalu i troski w nas nie wzbudza. Musi tu zatem chodzić o coś innego. O co?

Smok na obrazie Uccella jest już poskromiony. Czyn rycerza wygląda więc nie tylko na bezsensowny, ale i okrutny. I chyba w tym leży problem. Pisze o tym w monografii poświęconej Uccellowi Stefano Borsi, który wskazuje, że na obrazie prezentowanym w londyńskiej National Gallery artysta połączył dwa chronologicznie odrębne momenty – atak świętego na smoka i prowadzenie podporządkowanej już bestii przez księżniczkę na smyczy, przez co czyn rycerza traci wiele ze swego heroizmu i staje się wręcz formą zbędnej, niepotrzebnej przemocy

Także Olga Tokarczuk w swojej powieści *Podróż ludzi księgi* zwraca uwagę na sznur/smycz, którym smok przywiązany jest do księżniczki (albo na którym ona go prowadzi): „nic, która wiązała go z ręką kobiety, nie kojarzyła się z symbolem niewoli, lecz raczej z więzami posłuszeństwa, dobrowolnego oddania się i podporządkowania”.

Kurtyzana Weronika, bohaterka *Podróży...*, oglądając obraz Uccella pyta: „Kto to jest? Dlaczego ona pozwala mu zabić to biedne zwierzę? Czy to święty Jerzy?” I konstatuje: „Ta księżniczka nie wygląda wcale na więzioną. To ona więzi smoka. Taki smok nie mógłby nikomu zrobić krzywdy. Już raczej ten rycerz”. Smoka, który został opanowany, nie trzeba zabijać.

Kwestia wypowiedziana przez Weronikę – jak zauważa Margreta Grigorova w artykule poświęconym odwołaniu do Uccella w twórczości Tokarczuk i Herlinga-Grudzińskiego – ma być wstępem do dyskusji o władzy człowieka nad złem i odwrotnie:

„Tokarczuk pisze zdanie, które najmocniej odnosi się do brzmienia przesłań Herlinga-Grudzińskiego, związanych z twórczością malarską Uccella, że każda przemoc to orędziem Szatana: «Każda przemoc jest orędziem Szatana, to krzywda, śmierć, ogień i tortury. Walka – jak wojna – nie może być dobra. Zabijanie jest zabijaniem». Co koresponduje z ideami Herlinga-Grudzińskiego przeciw grzechom prze-

mocy i zwyrodnieniom władzy, które przenikają jego twórczość”.

Nawet jeśli to, co zabijasz, to zło – ty stajesz się zabójcą. Walczyć z Imperium, którego naturą jest przemoc, to stawać się jego częścią, pisał w *Valisie* Philip K. Dick.

Czy właśnie to chce na obrazie Uccella powiedzieć rycerzowi księżniczka, kiedy czyni dłonią znaczący gest? Że nie sposób pokonać zła przemocą i agresją? Że próby pozbycia się zła przemocą rodzą jeszcze większe zło? Że mylą się zacietrzewieni i fanatyczni inkwizytorzy, którzy zło (tak chętnie widziane w innych) chcą wypłenić sami, wypalić do gołej ziemi wbrew ewangelicznej przypowieści, by pozwolić chwastom rosnąć na polu razem z pszenicą aż do czasu żniwa?. Żniwa, którego nie będzie prowadził człowiek.

Ten, kto przemocą chce pokonać zło – może zostać nim owładnięty. Ale jak w takim razie poradzić sobie ze złem? Bo przecież ono jest. To także nie ulega wątpliwości.

Powróćmy więc do pytania – ubi malum? Gdzie szukać zła, aby je pokonać i jak?

We fragmencie Ewangelii według św. Marka (7, 15-23) Jezus mówi:

„Nic nie wchodzi z zewnątrz w człowieka, co mogłoby uczynić go nieczystym; lecz co wychodzi z człowieka, to czyni człowieka nieczystym. (...) Z wnętrza bowiem, z serca ludzkiego, pochodzą złe myśli, nierząd, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, wyuzdanie, zazdrość, obelgi, pycha, głupota. Całe to zło z wnętrza pochodzi i czyni człowieka nieczystym”.

Co zatem, gdy na pytanie ubinam malum odpowiemy nie wskazując poza, w ciemność, gdzie czają się pazury, kły i niegodziwość innych, ale na samych siebie? Co zrobić i jak pokonać zło, jeśli jest częścią nas?

Cingulum

Wydaje się, że z obrazu Uccella odczytać można dwa sposoby przeciwstawienia się złu. Jeden z nich to droga walki. Droga rycerza, który zatopił włócznię w oku potwora. Ponieważ jednak na obrazie smok jest już poskromiony – heroiczny czyn rycerza, jego dzielność i odwaga w konfrontacji z potworem przekształcają się w figurę bezsensownej przemocy. Zbroja wojownika nie tyle chroni go tu przed trującymi miazmatami bestii, co wydaje się impregnować na litość, zrozumienie i współczucie. Czy zamysł Uccella był świadomy? Jest też druga droga, na której smokowi – o ile rozumieć go będziemy jako symbol tego, co zło w nas – destrukcyjnym skłonnościom i instynktom,





gniewowi, nienawiści, przemocy i agresji, nakłada się *cingulum*. Po łacinie to pasek, pas, rzemień. A zatem zło skłonności za pomocą *cingulum* symbolicznie bierze się w ryzy, zaczyna nad nimi panować. To droga księżniczki – niewiasta dzielna, jak mówi Księga Przysłów: „przepasuje mocą swe biodra, umacnia swoje ramiona”.

Chrześcijaństwo zna wielu świętych, którzy świetnie radzili sobie ze smokami nie przemocą i agresją, ale zawierzeniem Bogu, znakiem krzyża i właśnie *cingulum*. Święta Radegunda, zaopatrzona w krzyż, tak długo przemawiała słowami modlitwy do wielkiego smoka zwanego *Grand'Goule*, który żył w wodach rzeki Clain w okolicach Poitiers, aż ten zniknął. Biskup Metz u św. Klemens wyprowadził ze swego miasta smoka Graouilly – owinąwszy mu węzową szyję stułgą – a więc na podobieństwo *cingulum*, podobnie św. Marceli, biskup Paryża, „(...) wyprowadził z miasta smoka mieszkającego na cmentarzu w grobie ładaczniczy”. Św. Sylwester, papież, spętał łańcuchem smoka prześladowującego mieszkańców miasta Fornole. Na łańcuchu prowadzi smoka święta Małgorzata z barokowego obrazu Johanna Heinricha Kynasta z kościoła pw. Chrystusa Króla w Nowym Świątowie. W *Zywotach Świętych Pańskich na wszystkie dni roku* tak opisane jest spotkanie Małgorzaty z bestią: „Podanie mówi, iż opadł ją w podziemiu więziennem kusiciel w przerażającej postaci smoka ognistego i sycząc rzucił się na nią, jakby ją chciał pożreć; ale bohaterka chrześcijańska spojrzawsza na niego z uśmiechem, przeżegnała się i ze słowami Psalmisty w ustach: «Po żmii i po bazyliżku chodzić będziesz» (Ps. 90) śmiało stawiała nogę na karku potwora. Smok skrzył się w kłębek i skomląc zniknął, poczem dziwna światłość ogarnęła celę więzienną”.

I wreszcie święta Marta. Opowieść o tej świętej jest tu szczególnie istotna, ponieważ występują w niej wątki korespondujące z tymi, które znajdziemy w legendzie o walce świętego Jerzego ze smokiem. Marta z Betanii, która po śmierci Chrystusa razem z Marią Magdaleną i Łazarzem opuściła Ziemię Świętą i schroniła się na wybrzeżu prowansalskim, miała – zgodnie z podaniem – uwolnić mieszkańców miasta prześladowanego przez bestię „większą od wołu, dłuższą od konia, mającą węzowy ogon, łeb lwa z twarzą starego człowieka i rogami, a zęby ostre jak miecze”. Bestia nazywała się *Tarasque*. „(...) trzymając w jednej ręce krzyż, święta pokropiła potwora wodą święconą, owinęła szarfą jej kark i oswojoną wprowadziła do miasta, lecz przerażeni mieszkańcy natychmiast bestię rozsiekli. Napomnieni

przez Martę przyjęli z jej rąk chrzest, a jako ekspiację za swój gwałtowny czyn nazwali swe miasto *Tarascon* i umieścili *Tarasque* w herbie”.

Smok i święty Jerzy

Ze świętym Jerzym i smokiem jest nieco inaczej. Smok nie przynależy bowiem – niejako istotowo – do tego świętego. Marian Plezia, redaktor polskiego wydania *Złotej legendy* – średniowiecznego zbioru żywotów świętych z połowy XIII wieku autorstwa dominikanina Jakuba de Voragine, we wprowadzeniu do *Legendy na dzień świętego Jerzego* pisze:

„Wyobrażenie św. Jerzego walczącego ze smokiem jest dla nas tak naturalne i potoczne, że nieomal nie umiemy w myśli rozdzielić jednego od drugiego. A tymczasem pierwotna legenda o św. Jerzym, niezmiernie popularna zarówno we Wschodnim, jak i Zachodnim Kościele (...) nie znała jeszcze motywu smoka. Pojawia się on po raz pierwszy z początkiem XII w., a dopiero uwzględnienie go w *Złotej legendzie* nadało mu tę szeroką popularność, jaką cieszył się następnie (...). Motyw sam zapożyczony został [nie wiemy, jakimi drogami] z mitów greckich, a mianowicie z mitu o Perseuszu, który również ocalił od pożarcia przez smoka królową Andromedę. Na związek tych dwu legend wskazuje poza ich uderzającym podobieństwem także to, że uratowana królowa jest zarówno w jednym, jak i w drugim przypadku córką króla afrykańskiego. Dopiero po historii ze smokiem, która w bardzo znamiennej sposób nie wiąże się zupełnie z resztą opowiadania, referuje Jakub de Voragine pierwotny zrab starej legendy o trybunie wojskowym Jerzym, umęczonym za cesarza Dioklecjana [w. III/IV] (...) Kult św. Jerzego, jako patrona rycerstwa rozszerzył się bardzo w epoce wypraw krzyżowych i rozkwitu porządku feudalnego [w. XII-XIII]. Nawiązuje do tego znane opowiadanie o jego ukazaniu się przy szturmie i zdobyciu Jerozolimy w r. 1099”. Święty Jerzy miał również walczyć ramieniem z krzyżowcami w 1177 roku w bitwie pod zamkiem Montgisard niedaleko Ramli, kiedy to wojska pod wodzą Baldwina IV – króla trędowatego odniosły zwycięstwo nad przeważającymi siłami sułtana Saladyna. O smoku nie było wtedy chyba jeszcze w ogóle mowy. Bo i po co? Pojawił się dopiero, kiedy krzyżowcy wrócili do domu.

Przywołajmy fragment *Złotej legendy* poświęcony walce świętego z potworem:

„Jerzy, trybun wojskowy rodem z Kapadocji, przybył pewnego razu

do prowincji Libii, do miasta zwanego Silena. W pobliżu tego miasta było jezioro na kształt morza, w którym miał siedzibę okropny smok. Smok (...) podchodząc pod mury miasta zarażał wszystko swoim oddechem. Mieszkańcy zatem musieli mu codziennie dawać dwie owce, aby uspokoić jego wściekłość (...) Kiedy wreszcie zabrakło już niemal owiec (...) za ogólną zgodą zaczęto mu dawać jedną owcę i jednego człowieka. Dawano tedy synów i córki wszystkich obywateli (...) razu pewnego los padł na jedyną córkę króla przeznaczając ją na pożarcie smokowi. Wtedy król pogrążony w rozpacz rzekł: Weźcie złoto i srebro, i połowę mego królestwa, a zwolnicie moją córkę (...). Lecz lud odparł mu z oburzeniem: Ty sam, królu, ustanowiłeś to prawo, a teraz, gdy nie żyją wszystkie nasze dzieci, chcesz ratować własną córkę? (...) Król widząc, że nie potrafi córki ocalić, przydział ją w szaty królewskie (...). Wówczas ona padła do nóg ojca prosząc, by ją błogosławił, a skoro ze łzami dał jej swoje błogosławieństwo, poszła ku jezioru. Św. Jerzy, który właśnie przechodził tamtędy, zobaczył ją płaczącą i zapytał, o co idzie. (...) gdy ona wszystko mu opowiedziała, rzekł: Nie bój się, dziewczyno, bo ja w imię Chrystusa cię obronię (...). Jerzy wsiadł na konia i przeżegnawszy się odważnie uderzył na zbliżającego się doń smoka, a zwinąwszy silnie włócznią i polecając się Bogu, zranił go ciężko, obalił na ziemię i rzekł do panny: Zrzucić bez obawy twój pasek na szyję smoka, dziewczyno. A gdy to uczyniła, smok poszedł za nią jak najłagodniejszy pies. Tak zaprowadzili go do miasta, a ludzie na ten widok zaczęli uciekać na wyżej położone miejsca i mury (...). Ale św. Jerzy skinął na nich mówiąc: Nie bójcie się, bo Pan na to przysłał mnie do was, abym was uwolnił od plagi smoka. Uwierzcie tylko w Chrystusa i niechaj każdy się ochrzci, a ja tego smoka zabiję. Wówczas król ochrzcił się wraz z całym ludem, a św. Jerzy wy dobył miecz z pochwy, zbił smoka i kazał go wynieść poza miasto”.

W opowieści o walce świętego ze smokiem wydają się nakładać i interferować dwie tradycje – walki i ta związana z *cingulum*. Smok pada tu ofiarą wojującego obrazu chrześcijaństwa, który wydało społeczeństwo feudalne. Bo czy byłoby możliwe, by Jerzy – patron krzyżowców i europejskiego rycerstwa pozwolił smokowi – czyli złu – ujść cało? Silnie zmilitaryzowany kontekst, fakt realnie toczony walki sprzyjały odsunięciu na drugi plan motywu *cingulum* i powiązanej z nim idei, że zło należy trzymać w ryzach, ale unicestwić go nie sposób. Trudno też za prawdzi-





Fragment nastawy ołtarza z kościoła św. Jerzego w Ostrope

wie chrześcijański uznać wątek wykorzystania poskromionego smoka, który szedł za królową „jak najłagodniejszy pies”, jako „straszaka”, by zmusić mieszkańców Silene do przyjęcia chrztu. Wydaje się on odwróceniem motywu z legendy o św. Marcie, która gani mieszkańców za zabójstwo wziętego w rzyzy potwora. Co ciekawe, w przypisie do angielskiej wersji legendy o świętym Jerzym, pochodzącej z około 1400 roku, opublikowanej w ramach Robbins Library Digital Projects na stronie Uniwersytetu w Rochester, pojawia się informacja, że w najstarszej łacińskiej wersji legendy, w której obecny jest motyw walki ze smokiem, św. Jerzy prosi królową o wstążkę, którą ma splecione włosy i ją wykorzystuje jako smycz. W przypisie zawarta jest też sugestia, że zamiana wstążki na *cingulum*, dokonana przez autora *Złotej Legendy*, miała na celu upodobnienie walki św. Jerzego ze smokiem do opowieści o poskromieniu smoka przez św. Martę.

Powróćmy do obrazu Uccella. W świetle *Złotej legendy* interpretacja Tokarczuk o smoku złączonym z księżniczką „wiązami posłuszeństwa” okazuje się jak najbardziej słuszna. Ale relacja smoka i księżniczki – przynajmniej na obrazie Uccella, wydaje się jeszcze bardziej intrygująca.

Smok i księżniczka

W niektórych mitach, jak zwracał uwagę Carl Gustaw Jung, bohater pokonujący smoka jest w wyjątkowy sposób złączony z bestią – ma podob-

ną do niej naturę. Na obrazie Uccella to nie smok i święty Jerzy, ale smok i księżniczka wydają się mieć coś wspólnego.

Kiedy przyrzeć się uważnie barwnym kołom umieszczonym symetrycznie na skrzydłach smoka można zauważyć, że mają takie same kolory, jak kolory sukni księżniczki. Co więcej, widoczny niewielki fragment wewnętrznej szaty ma zielony kolor – dokładnie taki, jak skóra smoka.

I rycerz i księżniczka są złączeni ze smokiem – ona luźną smyczą, on – włócznią. Nie uwolnimy się od zła, które jest częścią nas. Ci, którzy chcą unicestwić własne zło – będą z nim sprzężeni bólem i cierpieniem, ale się od niego nie uwolnią. Ci, którzy własne zło wezmą na *cingulum*, którzy je oswoją, którzy się go nie wyprą – pozostaną w spokoju. Przyznać się do swojego zła, do swoich słabości, do sfery popędowej, do wszystkiego, co niskie i niegodne, a co jest częścią nas – to punkt wyjścia do tego, aby je poskromić, aby nad nim pracować. Tego, co popędowe, wyplenić się nie da. Ale można je sublimować – temu przeciwieństwo miała kultura, rozumiana nie jako przeciwstawna naturze, ale powołana do jej uprawy i uświęcenia. Uszlachetnienia tego, co prymitywne i instynktowne, a co zanegowane może stać się destruktywne i niszczące.

W ujęciu psychoanalitycznym to, co nieświadome i popędowe, choć potencjalnie groźne i niszczące – jest też tym, co w nas najbardziej żywotne, zapładniające – w nieświadomości ma się

kryć źródło mocy twórczych. Współczesna psychologia uczy, że także trudne emocje – takie jak gniew czy złość – są potrzebne. Kolory na skrzydłach smoka i sukni księżniczki są piękne – to kolory życia. Nic nie jest złe na początku.

Właśnie dlatego, że nie chce unicestwić smoka, to księżniczka jest tą, która go poskramia. Gdyby sięgnąć po wypracowaną przez Junga nomenklaturę – mogłaby ona reprezentować pełnię, osobowość zintegrowaną – jest fascynująca, wibruje kolorem, złe instynkty – swojego smoka – ma pod kontrolą.

To po jej stronie obrazu – mimo że tuż obok stoi przerażający potwór, który w dodatku broczy krwią i otwiera pysk w ryku bólu – panuje spokój. Księżniczka wręcz emanuje spokojem.

Rycerz

A rycerz? Inaczej niż księżniczka ubrana w luźną, nie krępującą ruchów suknię – cały jest sztywny i kanciasty. Rycerz jest tym, który nie przeżywa – zakuł się w zbroję i odciął od swojego ciała, od tego, co czuje. Dlatego tak łatwo zadaje ból – ponieważ sam zabronił sobie go odczuwać. Skupiony na włóczni i unicestwieniu potwora, niczego innego nie dostrzega. Za nim kłębi się coś ciemnego.

To ciemne zarysy lekko skubizowanych koron drzew, które płynnie stapiają się z kłębiastymi kształtami chmur i wydają się pęcznić za plecami jeźdźca jak gniew, który za chwilę ogarnie go i pochłonie. Nad nim – nocne niebo, któremu patronuje księżyc – tuż po nowiu,







mający kształt rogów. Wrażenie oniryczności całej sceny jeszcze potęguje pochylona twarz jeźdźca z na wpół przymkniętymi oczami. Wygląda prawie, jakby spał. Czy to sen księżniczki? Czy może rycerza? A zresztą – czy to aby na pewno rycerz?

Księżniczka i rycerz?

Zawsze dziwiło mnie, że święty Jerzy na obrazie Uccella jest taki młody, że ma tak delikatną, zupełnie niemęską twarz – właściwie jest to twarz tak subtelna, że może uchodzić za kobiecą. I tak docieramy do jeszcze jednej interpretacji, jaką chciałabym zaproponować. Interpretacji w duchu psychologii analitycznej: obraz Paola Uccella przedstawia – pod powierzchnią motywu z legendy o świętym – trzy postaci kobiecości i bierze na warsztat kobiecą agresywność, popędowość, spletaną sferę emocji.

Skąd odczytanie obrazu w trybie feminium?

Tylko ze względu na poszlaki i luźne skojarzenia:

– olbrzymia, dominująca nad całym obrazem i postaciami grota – symbol ewidentnie żeński i chthoniczny

– motyw smoka – potwornej matki. Pierwszy smok – babilońska Tiamat – był rodzaju żeńskiego. Smok – jak pisze Jung – „(...) w mitologii jest symbolem matki. Motyw ten spotyka się na całym świecie, potwora określa się mianem smoka – matki. Smoczyca pochłania dziecko, wysysa je z powrotem po urodzeniu. (...) Ta przerażająca matka to *sakrophaga*, pożeraczka ryb; w innej postaci występuje jako matuta, matka zmarłych. To bogini śmierci.”

– Uccello maluje obraz około 1470 roku. Joanna d'Arc zostaje spalona na stosie w 1431 roku. Obraz kobiety – rycerza, kobiety rezygnującej ze swojej kobiecości musiał być w tym czasie niezwykle żywy w wyobraźni współczesnych, skoro do dziś obecny jest w naszej;

– podobieństwo rysów twarzy rycerza i księżniczki. Obydwoje mają wypukłe czoła – czoło Jerzego chroni hełm o charakterystycznym kształcie. Wypukłe czoło, które kobiety odsłaniały, było jednym z wyznaczników kobiecego piękna u schyłku gotyku i początku quattrocenta. Nic mi nie wiadomo, by cecha ta wpisana była także w ówczesny kanon męskiej atrakcyjności.

W interpretacji psychoanalitycznej obraz może prezentować rozszczepienie – smok, rycerz i księżniczka to jedna i ta sama osoba – a dokładnie trzy jej wersje, które na płaszczyźnie malowidła wykraczają poza linearny porządek czasu. To równocześnie wizualizacja tego,

co kobieta może zrobić ze swoją agresją. Albo co agresja może zrobić z nią.

Smoczyca

Nie spotkaliście nigdy kobiety – smoka? Zatruwającej atmosferę i otoczenie swoim jadem, niechęcią i złością? Kobiety opanowanej przez nienawiść i agresję tak, że jest wobec nich równie bezsilna, jak smok z obrazu Uccella pozbawiony łap? Potwór bez przednich łap nie utrzymuje równowagi, jest niestabilny, zachwiany. I bezbronny. Taka jest – mimo całej swojej złości i okropieństwa, które ją rozdyma – kobieta – smok. Bo agresję zwraca głównie przeciw sobie, ta agresja sprawia, że potworniej coraz bardziej.

Kobieta – rycerz

Teraz kobieta – rycerz. Nie chce stać się potworną matką, więc razem z destrukcyjnym aspektem kobiecości wyrzeka się jej całej. Kobiecość, emocjonalność, rozchwianie – potworna sprawa. Kobiecość to też – zgodnie ze stereotypem, ale i uwarunkowaniami fizycznymi – podatność na zranienie, delikatność, wrażliwość. Kobiety zazwyczaj nie gwałcą. Joanna d'Arc w więzieniu przywdziewa ponownie strój męski, aby chronić się przed seksualną napaścią strażników. Kobieta zakuta w męską zbroję, odcięta od emocji i ciała – przejmuje męską formę agresji – zimnej, na dystans, obojętnej. Po zbroi spłyną krew czy łzy – nie pozostawiając śladu. A ona będzie klucz włóczni smoka nie potrafiąc zrozumieć, że nie da się go unicestwić. Bo smok jest częścią nas. Dopóki tego nie pojmie, będzie spać, pogrążona w letargu, a kolory na skrzydłach smoka będą blakły. I tylko powietrze wokół będzie coraz bardziej gęstnieć.

Kiedy kobieta – rycerz podniesie wzrok, przestanie wpatrywać się we włócznię – zrezygnuje z zasady dystansu i separacji – stanie się księżniczką.

Księżniczka

Myślicie, że księżniczkę łatwo zranić i zaatakować? Przecież tuż przy niej kroczy poddany jej smok. I ten smok – instynkty, popędowa siła, gniew – będą na jej usługi, gdy będzie ich potrzebować, ale nią nie owładną. Ta XV-wieczna Daenerys Targaryen może być matką smoków, ale nigdy nie stanie się smoczycą. Z bożą pomocą księżniczka wzięła na cingulum to, co w nas pierwotne i zwierzęce. Jej suknia łśni kolorami życia.

Bibliografia:

Biblia Tysiąclecia, Wydawnictwo Pallotinum, Poznań – Warszawa 1980.

Dick Philip K., *Valis*, tłum. Lech Jęczynek, Rebis, Poznań 1994.

Dwa oblicza smoka. Katalog wystawy. Tom II: Eseje, Zamek Królewski na Wawelu, Kraków 2015.

de Voragine Jakub, *Złota legenda. Wybór*, tłum. Janina Pleziowa, red. Marian Plezia, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1983.

Jung Carl Gustaw, *Podstawy psychologii analitycznej. Wykłady Tavistockie*, tłum. Robert Reszke, Wydawnictwo WROTA, Warszawa 1995.

Tokarczuk Olga, *Podróż ludzi księgi*, Warszawa 1998.

Sapkowski Andrzej, *Wieża Jaskółki*, superNOWA Warszawa 2001.

Netografia:

Borsi Stefano, *Paolo Uccello. English version*, Giunti Editore, Firenze 1998, s. 45. Źródło: Google books https://books.google.pl/books?id=xJ0l8_PuFBAC&pg=PA39&lpg=PA39&dq=paolo+uccello+quattrocento&source=bl&ots=4OpeSiGd66&sig=ZsKz ae O e F I M u m 2 9 L U L w n F e O v U - 0 k & h l = p l & s a = X & v e d = 0 a h U K E w j Q h s u u 3 f n V A h W k K 5 o K H V A c D 4 U Q 6 A - E I V D A J # v = o n e p a g e & q = p a o l o % 2 0 u c c e l l o % 2 0 q u a t t r o c e n t o & f = f a l s e [dostęp: 07.08.17]

Edukacja – Św. Jerzy z klasą, Wirtualne Muzeum Drzeworytów Ludowych, Muzeum Etnograficzne Seweryna Udzieli. Źródło: <http://www.drzeworyty.pl/edukacja-swie-ty-jerzy-z-klasa.html> [dostęp: 07.08.17]

Grigorova Margreta, *Legenda – obraz – apokryf. Przesłania Paola Uccella w utworach. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego i Olgi Tokarczuk*. Źródło: http://www.swiatlowo.ath.bielsko.pl/sis16/10.grigorova-legend_a_obraz_apokryf.pdf [dostęp: 07.08.17]

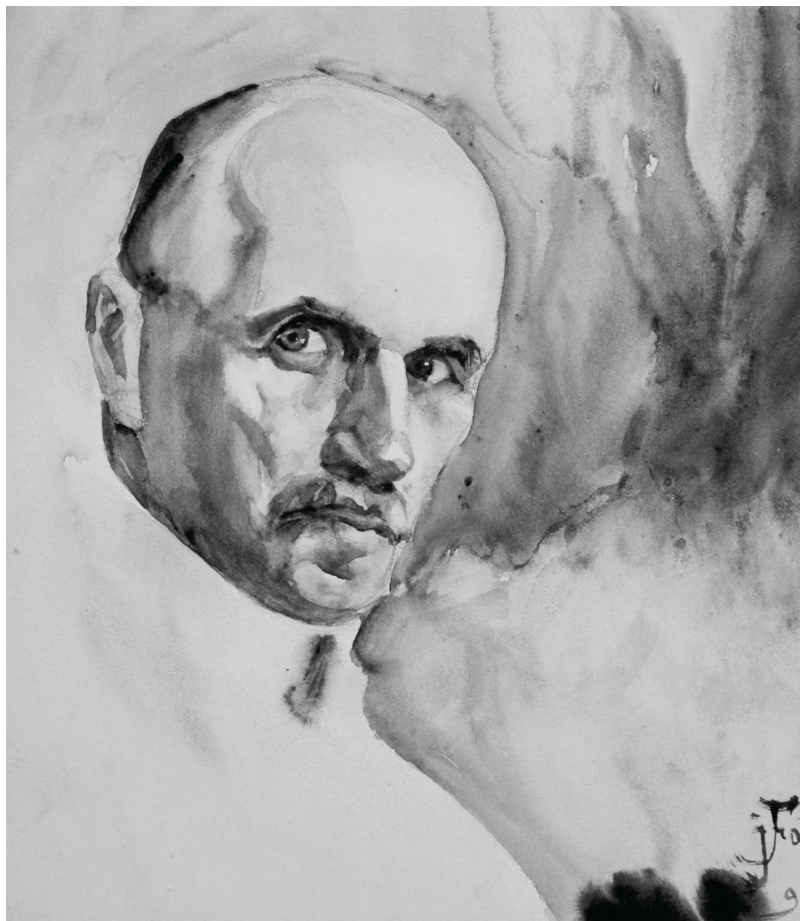
Święty Jerzy. Patron walki duchowej. Źródło: <http://www.integrum-home.pl/intspiracje2.htm> [dostęp: 08.08.17]

St. George and the Dragon in the South English Legendary (East Midland Revision, c. 1400), red. E. Gordon Whatley, Anne B. Thompson, Robert K. Upchurch. Źródło: <http://d.lib.rochester.edu/teams/text/whatley-saints-lives-in-middle-english-collections-st-george-and-the-dragon-in-the-south-english-legendary> [dostęp: 08.08.17]

Ks. Piotr Skarga, o. Prokop Leszczyński, o. Otto Bitschnau, *Żywoty Świętych Pańskich na wszystkie dnie roku*, Karol Miarka, Miłków – Warszawa 1910. Źródło: https://pl.wikisource.org/wiki/%C5%BBywoty_%C5%9Aw%C4%99tych_Pa%C5%84skich_na_wszystkie_dnie_roku/Lipiec/ca%C5%82o%C5%9B%C4%87 [dostęp: 08.08.17]

Wikipedia: *Cingulum*. Źródło: <https://pl.wikipedia.org/wiki/Cingulum> [dostęp: 08.08.17]





Julian Fałat, *Autoportret*, 1910 r.

Pragnę Bystrą sławną zrobić

O Muzeum Juliana Fałata w Bystrej

KINGA KAWCZAK

Niewiele jest takich miejsc jak Fałatówka w Bystrej. Ta podmiejska willa oddalona o kilka kilometrów od centrum Bielska-Białej, jest siedzibą biograficzno-artystycznego Muzeum poświęconego postaci wybitnego polskiego akwarelisty Juliana Fałata (1853-1929). Miejsce nie jest przypadkowe, bowiem w tym domu artysta spędził niemal 20 ostatnich lat swego życia. Dom o niezmiennym przez lata kształcie, otoczony jest ogrodem, w którym stoi stary krzyż przywieszony przez malarza z podkrakowskiej miejscowości, a na wznoszącej się powyżej skarpie zachował się mурowany fundament po modrzewiowej pracowni mistrza, obok niego betonowa niecka basenu.

Artysta nie był stąd. Urodził się na ziemi lwowskiej w Tuligłowach w rodzinie wiejskiego organisty. Po różnorodnych perypetiach, kształceniu w Krakowie, Zurychu i Monachium, podróży dookoła świata, pełnieniu funkcji nadwornego malarza cesarza pruskiego

Wilhelma II, osiadł w Krakowie, gdzie w 1895 roku objął stanowisko dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych. Placówkę zreformował, a dzięki zabiegom dyplomatycznym czynionym we Wiedniu podniesiono jej status nadając miano Akademii. W podbeskidzkiej miejsco-

wości zakochał się podczas swoich pobytów w roli kuracjusza sanatorium doktora Ludwika Jেকেlesa. Dzięki jego zachęce i namowom przyjaciół (rodzinnie Rudzińskich z Osieka koło Oświęcimia) w 1909 roku zakupił niewielki dom letniskowy, który z czasem rozbudował. To tu emerytowany krakowski profesor nadal pracował twórczo, przyjmował swych dawnych przyjaciół i współpracowników. Cieszył się z życia rodzinnego, a rodzinę założył późno, bowiem dopiero w 1900 roku ożenił się z Marią Luizą Comello, z którą miał córkę Helenę i dwóch synów – Lucjana i Kazimierza. Tu zawarł nowe serdeczne znajomości i angażował się w życie lokalnej społeczności. Swoją beskidzką ostoję opuszczał jednak czasami dla spraw wagi wyższej – angażował się jako malarz wojenny w działalność legionową, krzewił polskie życie kulturalne organizując Konfraternię Artystów w Toruniu, pracował w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie.

Po śmierci Juliana Fałata jego domem opiekowali się potomni, jednak na skutek różnorodnych perypetii, po 1945 roku posesja przeszła na rzecz skarbu państwa. Od początku pojawiła się idea utworzenia tutaj muzeum artysty. Jednakże do uruchomienia placówki muzealnej doszło dopiero w 1973 roku, jako oddziału Państwowego Muzeum w Bielsku-Białej, obecnie Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej. Ekspozycja poddawana była kilku modernizacjom, a najnowsza dwuetapowa nastąpiła w latach 2013/2015.

W 2013 roku uruchomiona została wystawa na pierwszym piętrze zatytułowana: *Julian Fałat – malarz i kolekcjoner*. W trzech pokojach oraz na klatce schodowej zaprezentowane zostały akwarelowe, olejne, rysunkowe i graficzne dzieła mistrza. Pokój z kominem wypełniają prace o tematyce myśliwskiej, z przejmującą w swym wyrazie olejną sceną *Polowanie na niedźwiedzie z młodymi* z 1888 roku. Obok widać akwarelową *Nagonkę* z Nieświeża. Na korytarzu zimowe powroty z polowania, myśliwi grzejący się przy ognisku i litograficzne sceny z łowów. Pokój niebieski wypełniają impresje z miejsc które odwiedzał. Są tu tatrzańskie widoki i wizerunki górali, pejzaże z Leoben, panoramy Torunia i Krakowa, krakowianki stojące przed lustrem oraz zimowe zakola rzeki Soły malowanej na obrzeżach Osieka i uchwycony w tej miejscowości magiczny *Zachód słońca nad mokradłami*. W trzecim pokoju, pełniącym pod koniec życia artysty funkcję jego pracowni, zgromadzone są widoki z Bystrej i okolicy: zimowe strumienie, wiosenne roztopy i wylewające potoki, jesienne buki czy buchające witalnością – niczym wulkany lawą – kwitnące, majowe sady. Wszystko uzupełnione licznymi zachowanymi, ale autentycznymi przedmiotami należącymi



Zdjęcia: Alicja Migdał-Drost. Z archiwum Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej

Muzeum Historii Bielska-Białej – Fałatówka

do Fałata: masywna sztaluga, duża kasetka na farby z kilkoma szufladami, kanapa, kredens, szafa, stoliki, krzesła, lampy. Na uwagę zasługuje też kolekcjonerska pasja artysty. Wśród ocalałych przedmiotów z jego zbiorów znajdziemy zakopiańskie meble, drobną ludową i profesjonalną rzeźbę i ceramikę, kilka przedmiotów antycznych i zespół grafik artystów jemu współczesnych. Obiekty te są wyeksponowane w niewielkim pokoiku przylegającym do przeszklonej werandy.

Latem 2015 roku na parterze budynku uruchomiona została druga część ekspozycji o nazwie: *Julian Fałat – z paletą przez życie*. Główne akcenty tej prezentacji położone są na życie artysty. Trzon wystawy stanowią różnorodne archiwalia: dokumenty, świadectwa, dyplomy, fotografie, listy, czy rękopis pamiętnika. Przedstawione jest całe jego życie – od narodzin (metryka chrztu) po śmierć (gipsowa pośmiertna maska i odlew dłoni). Są pamiętki z podróży dookoła świata, odbytej w 1885 roku wspólnie z Edwardem Simmlerem. Istotnym elementem są dyplomy i pisma informujące o udziałach, nagrodach i wyróżnieniach na różnorodnych wystawach, a także odznaczenia za wybitne osiągnięcia artystyczne i państwowe. Ciekawa jest także dokumentacja z przygotowań i malowania wielkoformatowej panoramy *Berezyna*, wykonanej wspólnie z Wojciechem Kossakiem w latach 1894-1896. Ekspozyty mówiące o rodzinie i przyjaciółach nie ograniczają się tylko do archiwaliów. Są to także wspaniałe portrety najbliższych: olejny

ukazujący ojca, malarskie i rysunkowe ujęcia córki, akwarelony przedstawiający syna przy lekturze. Liczna jest galeria znajomych i współpracowników: niewielki szkic z cesarzem Wilhelmem Hohenzollernem, półpostaciowe ujęcia Władysława Studzińskiego i Michała Kozickiego, niezwykle psychologiczny wizerunek rzeźbiarza Henryka Hochmana, który z kolei wykonał pełnoplastyczny gipsowy konterfekt wnuka Fałata. Między tą mnogością wątków zarówno na parterze jak i na piętrze pojawiają się liczne autoportrety artysty malowane od wczesnej młodości do ostatnich dni. Natomiast warsztat mistrza poznać można nie tylko z pięknych, dużych dzieł, ale także z drobnych szkiców licznie prezentowanych na wystawie.

Dla wszystkich miłośników twórczości tego malarza Muzeum Historyczne w Bielsku-Białej przygotowało także kilka ciekawych propozycji wydawniczych. Najświeższą jest książka *Julian Fałat życiorys pędzlem zapisany prezentująca całokształt dzieła plastycznego artysty, zgromadzonego w zasobach bielskiej placówki*. Autorka opracowania, Teresa Dudek Bujarek, podzieliła zebrany materiał na grupy tematyczne, które starannie omówiła w kolejnych esejach rozdziałów: *Wizerunki; W knieję, miast ze strzelbą, szedł ze szkicownikiem: bezpośrednie reporterskie relacje z polowań, kompozycje pamięciowe i interpretacje graficzne; Z notatnika podróżnika – pejzaże miejskie i podmiejskie; Tajemniczy mężczyzna na koniu; W magicznym*

kontakcie z naturą; Bystra na Śląsku – nowe perspektywy malarskiego spojrzenia; Szkice ilustracyjne i inne drobne prace; Fałat! Ponadto autorka zawarła tu także krótką historię Fałatówki, omówiła tworzenie muzealnej kolekcji spuścizny po Fałacie, a także umieściła chronologiczny spis wystaw, na których eksponowane były prace z bielskich zbiorów. Istotnym dopełnieniem książki jest bogate kalendarium życia i twórczości artysty opracowane przez Marię Aleksandrowicz, opiekującą się archiwaliami mistrza. Album liczy ponad 260 stron, zawiera wspaniałe materiały ilustracyjny, na który składają się reprodukcje wszystkich prac ze zbiorów Muzeum, a także wybrane ekspozyty z zakresu pamiętek, fotografii, dokumentów i korespondencji. Jego niezwykle interesująca szata graficzna to dzieło Alicji Migdał-Drost kierującej działem wydawniczym bielskiej placówki.

Warto także wspomnieć o innych inicjatywach Muzeum w zakresie promowania postaci Juliana Fałata. Od kilku lat wydawane są kolejne tomy (do tej pory ukazały się już trzy) pasjonującej korespondencji artysty, w opracowaniu M. Aleksandrowicz. Ponadto organizowane są odczyty, zajęcia dla dzieci i seniorów. Co roku w ostatnią sobotę lipca odbywają się tzw. urodzinowe pikniki u Fałata (artysta urodził się 29 lipca), podczas których w ogrodkowej scenarii spotykają się miłośnicy jego twórczości. Wszystkich serdecznie zapraszamy!

17) WOMEX

THE WORLD MUSIC EXPO

Po raz pierwszy Targi Muzyki Świata WOMEX (World Music Expo) odbywały się w Polsce. Od 25 do 29 października 2017 Katowice – Miasto Muzyki UNESCO były gospodarzem jednego z najbardziej prestiżowych europejskich wydarzeń muzycznych.

W tych dniach w ramach największych targów muzyki świata Womex The World Music EXPO odbył się Womex Showcase Festiwal, podczas którego wystąpiło 33 artystów z całego świata, którzy zaprezentowali się na kilku scenach w centrum Katowic: Official Showcase Selection: Theatre Stage, Twin Stage, offWomex i DJ, które rozlokowane zostały w NOSPR, Spodku, Międzynarodowym Centrum Konferencyjnym oraz Klubie Królestwo.

WOMEX The World Music EXPO należy do ścisłej czołówki branżowych imprez muzycznych, obok MIDEM w Cannes czy Jazz Ahead w Bremie. Co roku przyciąga do jednego wybranego miasta w Europie tysiące wielbicieli „world music” z całego globu oraz setki artystów i przedstawicieli sektora muzycznych przemysłów kreatywnych. WOMEX to kilkadziesiąt koncertów, konferencji oraz targi dedykowane najnowszemu trendom w „muzyce świata”.

To wielkie przedsięwzięcie muzyczne jest organizowane od 1994 roku. Poprzednie edycje odbywały się m.in. w Berlinie, Sewilli czy Kopenhadze. WOMEX jest wydarzeniem o ogromnym rozmachu. W 2015 roku, w Budapeszcie brało w nich udział ponad 2 500 delegatów reprezentujących 1 500 przedsiębiorstw z 90 krajów. Na siedmiu scenach swoją muzykę zaprezentowało 280 artystów z 50 państw. WOMEX przyciągnął też 320 dziennikarzy krajowych i zagranicznych.

W Katowicach, podczas pięciu dni targów poza koncertami odbywały się konferencje oraz prezentacje filmowe. W sumie, w Katowicach spotkało się około 2 500 przedstawicieli branży world music z całego świata.



Znaki i twarze miasta



KATOWICE
dla odmiany



Zdjęcia: Radosław Kąrmierzak/Instytucja Kultury Miasto Ogrodów Katowice



JAN MIODEK

Kożdy majster mo wihajster

Naglówek dzisiejszego odcinka to zarazem tytuł jednego z rozdziałów bardzo ciekawej, napisanej gwara książkę Barbary Szmatloch zatytułowanej *Wihajster do godki. Lekcje śląskiego* (Agora SA, Warszawa 2017). Pisze autorka na str. 74: „Co to takego tyn wihajster? To coś, co koždy mo w doma, choć żodyn tak richtich niy wy, jak to wyglondo. Ale kej lojciec powiy do synka, coby mu przinios jakiś wihajster, tyn zaroz pylo do kamerlika (schowka) abo komorki, kaj stoi fajlbank (stół z narzędziami), i przinosi. Bo wihajstrym idzie wszystko łotrwić, zawrić, wydubać, naprawić, skrzywić abo wyprościć. To trocha hok, trocha wytrych, prosty, łokrongły, zagniony, dugi, krotki, bez kerego niy poradzymy sie łobyńś. Wihajster mo pochodzynie niymieckie: Wie heisst er? (Jak on się nazywa, jak mu tam?). A nojwyńkszy problem jes w tym, co nikaj go niy idzie kupić, nawet w internecie”.

Autorka bardzo przystępnie, dowcipnie i wyczerpująco opisała funkcjonowanie *wihajstra* w przestrzeni komunikacyjnej, odsłaniając też jego bardzo ciekawy, nietypowy źródłosłów, jakim jest niemieckie zdanie pytające *wie heisst er?* – „jak on się nazywa?”. Dopowiem tylko, że – oczywiście – bardzo popularny na Śląsku, rzeczownik ten zdobył sobie też prawo obywatelstwa w polszczyźnie ogólnej, czego potwierdzeniem jest chociażby jego obecność w słownikach, definiujących go jako „przrząd, narzędzie, zwykle małe, o nazwie nieznannej mówiacemu albo chwilowo przez niego zapomnianej” (*tam jest ten wihajster do otwierania*) i zaopatrujących to

słowo w stylistyczny kwalifikator potoczności, żartobliwości. Był już także *wihajster* wiele razy przedmiotem rozważań w moim telewizyjnym *Słowniku polsko@polskim*, bo on użytkowników języka intryguje i brzmieniem, i znaczeniem, i funkcjonowaniem.

– Tak jak czytelników Kazimierza Kutza intryguje tytuł jego książki *Fizymatenta. Felietony z lat 2004-2016* (Agora SA, Warszawa 2017), o których Adam Michnik napisał: „Kutz jest przekorny, prowokujący, miejscami ironizujący, ale jakże smakowity. Kiedyś – minęło już 27 lat – był moim nauczycielem Śląska, tak jak wszystkich Polaków uczył Śląska w swoich filmach. Ta książka to dalszy ciąg jego śląskich rekolekcji”.

Ale co to takiego owe Kutzowe *fizymatenta*? – Czytamy o tym słowie, że narodziło się ono w czasie wojny francusko-pruskiej (1870-1871), w której po raz pierwszy Ślązacy musieli służyć w armii niemieckiej. Kiedy Niemcy podbili Paryż, a chłopcy zaczepiali panienki w wiadomych celach, często z ust tych ostatnich padało zdanie: *Faisez ma tante!* – „weź się za moją ciotkę!”. Przystojone w gwarze śląskiej w postaci *fizymatenta*, dobrze przylega do spraw małych i większych, np. do losów Śląska.

Do tej interpretacji ustosunkował się w Internecie pan Andrzej Loboda. Twierdzi on, że intrygujące słowo pochodzi nie z Francji, ale z Bawarii – z czasów, kiedy na polach bawarskich rozbili namioty żołnierze Napoleona (Bawaria była wtedy z Napoleonem sprzymierzona). Żołnierze – jak to żołnierze – rozglądali

się za pannami. Zapraszali je do swych namiotów słowami *visite ma tente* – „odwiedź mój namiot”. *Tente* „namiot” ma taką samą wymowę jak *tante* „ciotka”, stąd łatwo o pomieszenie. Matki ostrzegały swoje córki, przekształcając brzmienie: *Mach ja keine Visimatente* – „nie rób fizymatenty, nie odwiedzaj namiotu”. Od tej pory *Visimatente* w Bawarii (jak *fizymatenta* u Kutza) to żartobliwe określenie nieposłuszeństwa, robienia głupstw, psoty, niesforności, np. *idź na zabawę, tylko nie rób fizymatenty*, czyli „idź na zabawę, ale zachowuj się odpowiednio, nie rób mi wstydu”. „Mieszkałem długo w Bawarii – kończy swój wywód Andrzej Loboda – i słyszałem takie właśnie tłumaczenie tego słowa”.

A mnie w tym momencie trudno opowiedzieć się za którąś z tych dwu opowieści o przywołanym słowie. Dodam więc tylko, że w *Słowniku gwary śląskiej* pod red. Ilony i Andrzeja Czajkowskich oraz Doroty i Andrzeja Klukowskich (konsultacja Jolanta Tambor), wydanym w Katowicach w roku 1996, nasz wyraz zapisany jest w postaci *fizmatynta*, *fizmatynty* i definiowany jest jako: 1. „wykręty”, 2. „skomplikowane urządzenie, niezrozumiałe dla laika”.

Drugie znaczenie można – moim zdaniem – związać metaforycznie z tytułem książki Kazimierza Kutza. Pisze on w niej przecież o śląskich fiz(y) matentach, czyli sprawach trudnych, skomplikowanych, często dla osób spoza naszego regionu niezrozumiałych czy wręcz opacznie ocenianych. ■



Tajemnica, Język, Zbawienie

KSIĄŻKI

MAGDALENA PIOTROWSKA-GROT

Tom poetycki Zbigniewa Mikołajki *Gorzkie żale* to zbiór, jak mówi podtytuł książki, *rzeczy* z lat 2012-2016. Owo dookreślenie zdecydowanie oddaje pewną zasadę konstrukcyjną, która zdaje się ów tom scalać. To bowiem zbiór poetyckich uwag, komentarzy, rozmyślań, przyjmujących formy rozbudowane lub miniaturowe, niemal aforystyczne – zachowujących charakter wysoce subiektywny, zindywidualizowany. Owe „rzeczy” dotyczą bowiem najbliższego otoczenia, ciała i refleksji konkretnej jednostki.

Gwarantem spójności omawianej książki jest także tematyka, pole semantycznych odniesień i zastosowana leksyka. Tom oscyluje bowiem nieprzerwanie wokół kwestii religii i duchowości człowieka, co w pewnym sensie zdradza już jego tytuł. Jednak ważnym aspektem prezentowanych wierszy pozostaje silna korelacja poszukiwania Tajemnicy i sensu istnienia z codziennością, cielesnością, procesami poznawczymi człowieka. Ów zwrot w stronę egzystencji wyraźnie w tomie przeważa, jednocześnie nie ograniczając przestrzeni dedykowanej próbom prześledzenia ścieżki prowadzącej do ładu i Absolutu, wraz z jej gorzkim finałem.

Gest poszukiwania sensu istnienia wiąże się w tym zbiorze bardzo wyraźnie z klasyczną wersją toposu *homo viator*. Podmiot przemierza określone przestrzenie (miasta, ogrody, uniwersytecki kampus) rozmyślając o sensie istnienia, zmagając się z upływającym czasem. Punkt ciężkości wyraźnie skierowany został jednak nie na miejsca, spotykanych ludzi, ale wewnętrzne doznania człowieka z wiersza. Ten jawi nam się w kondycji niegodnej pozazdrośczenia, bowiem: „Wszystko tylko płowieje, traci rysy i barwy...” (s. 20). Dość przewidywalnie cel wędrowki nie zostaje osiągnięty, nie jest nawet wyraźnie ukonstytuowany. Przemieszczanie się po kolejnych obszarach, pogłębiająca się wciąż niewiedza, zagubienie

i ciężar kolejnych doświadczeń (bardzo często symbolizowany przez poszczególne wiersze za pomocą leksemów związanych z kamieniem), obrazuje przede wszystkim niezwykle pokorną postawę wobec świata. Nie brakuje oczywiście werbalizacji żalu, jaki wywołuje owa niekończąca się szara droga, ale bierna postawa wynikająca z słów podmiotu niejednokrotnie wręcz zadziwia odbiorcę. Przede wszystkim bowiem poszczególne frazy zdradzają, iż jest to postać posiadająca wiedzę na temat wielu aspektów religii, świata, bogata w liczne doświadczenia, tym bardziej czytelnik oczekuje więc aktu niezgody wobec marazmu rzeczywistości. Ten jednak w kolejnych wierszach się nie pojawia. W trakcie lektury poszczególnych fragmentów powstaje więc obraz specyficznego paradoksu – świadomość sztuczności symboli, mitu, obrzędu jako gestu, nie chroni przed uczestnictwem w takim właśnie geście, niemal obrzędowego, rytualnego wędrowania, nieprowadzącego do osiągnięcia celu, pozabawionego Sensu, ten bowiem zdaje się po prostu w słowach podmiotu nie istnieć.

„W tej otchłani, porzucony przez język, | tracisz też, lekcja za lekcją, opowieść zmysłów” (s. 20); „Język skwierczy i pęka | [...] Nie ma go już we mnie...” (s. 10)

W trakcie owych zmagañ i wędrowek nie zabraknie poetyckiej refleksji nad naturą językowego narzędzia. Nie są to jednak rozważania jednoznacznie metaliterackie. Powiązanie głosu, możliwości artykulacji z cielesnością, zwodniczą i zawodzącą, niepodlegającą jakiegokolwiek kontroli, obrazuje przede wszystkim zatrącenie umiejętności „nadawania imienia”. W wierszach Mikołajko obserwujemy swoisty językowy regres – nie w samej tkance leksykalnej tekstów, ale w warstwie metaforycznej, symbolicznej. Jak wskazuje tytuł jednego z wierszy, to lekcje martwego języka, narzędzia skostniałego w tym samym stopniu, w jakim

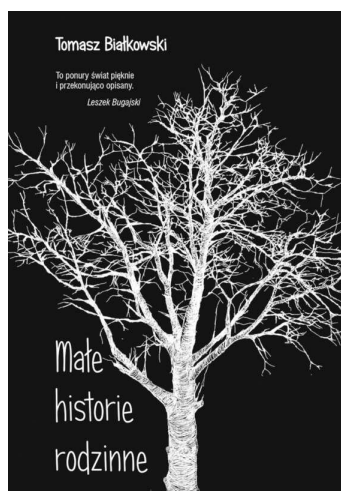
symbole, po które tak łatwo sięga. Ów „bezgłos” dotyczy jednak także ograniczeń samej cielesności – „śmierć zagładająca w gardło i trzewia” (s. 11), to wszak poetycki zapis słabnących sił vitalnych. Ciało poddaje się na równi z wiarą – dążenie ku śmierci obejmuje wszystkie aspekty życia jednostki, zniewala tkanki, paraliżuje możliwości poznawcze.

Owa podróż, właściwie pielgrzymka *à rebours*, której zapis stanowią kolejne wiersze zamieszczone w *Gorzkich żalach*, odzwierciedla bowiem właśnie, ujmując rzecz najprościej, dążenie ku śmierci. Barokowa niemal estetyka poszczególnych utworów („ciemna skóra”, „grzechot kości i język gorczy”, „gorzkie soki ciał”), gest odrzucenia świata, w końcu unaocznienie pustki wielkich systemów – sprawiają, iż ścieżka, u kresu której miało czekać Zbawienie, prowadzi jedynie do anihilacji Sensu. Człowiek nie dostępuje łaski zbawienia, nie wie co czeka go na końcu drogi, domyśla się właściwie, że może być to rewers sensu, nieprzenikniona nicność. Niepewny swego przeznaczenia, nie zadaje właściwie pytań, nie poszukuje alternatyw, odkrywa pustkę symboli, wokół których niegdyś próbował organizować się świat, co unaocznia choćby obraz zerwanego z płyty nagrobnej krzyżyka. Słowa podmiotu dokonują bardzo wyraźnie demystyfikacji mitu, którego ludzkość kurczowo się trzyma – wiary w paruzę, nadziei, iż na człowieka czeka coś poza ciemnością.

Omawiana książka poetycka to wyjątkowy przypadek debiutu, który jednocześnie stanowi specyficzną odmianę utworów senilnych. Poszczególne wiersze w tomie, ale także jego ogólny wydźwięk, nie pozostawiają wątpliwości, iż pomimo kilku poetyckich punktów wytchnienia, przeważa w nim jednak gorczy nieemożliwości odnalezienia swobodnego konsensusu. Religia jawi się w słowach podmiotu, jako droga ciągłego zmagania. To nie afirmatywne chrześcijaństwo celebrujące świat, to gorzka kontemplacja owej radości dość wyraźnie pozbawiona. Zapiski zawarte w tomie ciążą zdecydowanie ku unaocznieniu owego religijnego i egzystencjalnego poszukiwania, jako dramatu ludzkiej duszy. Pułapki cielesności, paradoksalnych w swym wydźwięku efektów zderzenia wiary i niewiedzy, braku pewności przesączonych właśnie nutą żalu, iż pomimo długich poszukiwań, nie można odnaleźć sensu, który zadowalałby potrzeby człowieka łaknącego pewnej stabilizacji. Wszystko to, sprawia iż nawiązanie do pasywnych *Gorzkich Żali* nie pozostaje bez znaczącego wpływu na nasz odbiór poszczególnych wierszy. Nastroj zostaje poprzez tytuł niemal odgórnie ustalony, w pewien sposób dyktuje on kierunek interpretacji. Jednak nawet w tym wyjątkowym, obarczonym silnym ładunkiem emocjonalnym, nabożeństwie nie brakuje miejsca na konsolację, którą trudno odnotować w trakcie lektury wierszy Zbigniewa Mikołajki. Nie ma w nich miejsca na ironię, rozładowanie napięcia trudów codzienności – wizja rozpadu, zgnilizna świata, gorczy i ciężar tych utworów zakłócają niemal odbiór ich przesłania, stają się jedynym, co po lekturze pozostaje w nieco zdruzgotanym czytelniku.

Zbigniew Mikołajko: *Gorzkie żale. Rzeczy z lat 2012-2016*. Instytut Mikołowski, Mikołów 2017, s. 54.





Historie rodzinne

KSIĄŻKI

EWA BARTOS

Wywiadzie udzielonym Magdzie Miłkołajczuk dla Programu Pierwszego Polskiego Radia Tomasz Białkowski powiedział, że „motyw rodziny jest [dla niego] tematem żelaznym”. *Małe historie rodzinne* – najnowsza książka pisarza – potwierdza tę deklarację. Na zbiór składają się – wcześniej już opublikowane – trzy minipowieści.

Tom rozpoczyna *Zmarzlina*, wydana po raz pierwszy w 2008. Jest to opowieść inspirowana doniesieniem prasowym o mężczyźnie, który zostawił na mrozie chorego członka rodziny. Podobnie postępuje bohater opowiadania, porzucając w zimowy poranek na dworcu autobusowym swoją matkę. Czytelnik śledzi przebieg wypadków, który doprowadził mężczyznę do takiej skrajności. Wraz z bohaterem zgłębia tajemnice jego duszy i umysłu, poznaje także jego rodzinne sekrety. Wykorzystanie przez pisarza informacji prasowej sprawia, że nieprawdopodobne losy rodziny, tak skrajnie dysfunkcyjnej, iż zdają się być jednocześnie mrocznymi i groteskowymi wizjami chorego umysłu, a także wariacją na temat telenoweli wenezuelskiej, nabierają prawdopodobnego charakteru. Prozaik na niespełna 150 stronicach zamieszcza tyle opisów zdrad, oszustw i dewiacji, że aż dziwi fakt, iż powieść nie nuży odbiorcy. Dzieje się tak dlatego, że autor *Rauszu* bardzo umiejętnie bawi się konwencjami gatunkowymi. Odbiorca pomalą poznaje ciemną psychologię bohaterów, oswaja się z kolejnymi złymi wydarzeniami z ich życia. *Zmarzlina* posiada elementy powieści detektywistycznej i psychologicznej, romanisu i powieści obyczajowej. Płynne zmiany stylu oraz inteligentny dowcip sprawiają, że choć jest to książka mroczna, to czyta się ją z przyjemnością.

Relacje rodzinne łączą również bohaterów drugiej powieści zbioru. Opublikowane po raz pierwszy w 2006 roku *Pogrzeby*

(*przypowieść w trzech odsłonach*), pomimo podobnego naszpikowania elementami dramatycznymi, są lepsze w odbiorze niż *Zmarzlina*. Białkowski skupia się tu na ukazaniu funkcjonowania mitów rodzinnych. Wyobrażeń na tyle silnych, że pozwalają funkcjonować człowiekowi w społeczeństwie we względnej szczęśliwości. Prozaik poddaje protagonistów próbie, pyta o to, co stanie się, gdy mit ulegnie zniszczeniu. Bohater powieści weryfikując sądy na temat dziadka, „żywej legendy Polskiej powojennej”, jednocześnie ośmiesza wielką historię, pokazując jej stałe uwikłanie w politykę.

Całość zbioru domyka *Teoria ruchów Vorbla*, którą czytelnik miał możliwość poznać w 2011 roku. Główny bohater tej opowieści, uznany profesor fizyki, porzuca stan względnej stabilizacji po tym, jak dowiady się, że może mieć raka. Domniemana choroba staje się impulsem do odbycia przez bohatera podróży do miejsca urodzenia. Weryfikacji dotychczasowego życia, a także odkrycia tego, czym dla niego jest rodzina.

Wszystkie powieści z *Małych historii rodzinnych* zostały dobrze przyjęte zarówno przez krytyków, jak i czytelników. Ich ponowna edycja pozwala zobaczyć Białkowskiego nie tylko jako przedstawiciela tzw. prozy północy, twórcę prozy ciemnego psychologizmu, lecz także jako pisarza posiadającego olbrzymi potencjał do tworzenia narracji groteskowych, ukazujących niejednoznaczne relacje międzyludzkie, weryfikujące rozumienie np. słowa rodzina. Dodajmy: prozaika przywodzącego na myśl dokonania Tadeusza Konwickiego, Marka Hłasko czy choćby *Dzień świra* Marka Koterskiego.

W zakończeniu *Pogrzebów* główny bohater zastanawiając się nad koniecznością szukania prawdy o sobie, stwierdza, że „czasami nie warto wiedzieć, co jest pod spodem. Wygodniej jest stąpać po mi-

tach niż po trupach”. I rzeczywiście, te poszukiwania nie prowadzą nigdy do pozytywnych wniosków. Człowiek, zdaniem Białkowskiego, potrzebuje mitów, a jednym z nich jest właśnie rodzina. Nawet rozbita – jest lepsza niż jej brak. Dlatego pisarz kreuje bohaterów, którzy pragną uwolnić się od pętających ich więzów i kłamstw, i łudzących się istnieniem mitu. Towarzyszący umierającemu Vorblowi, głos z radia pyta: „Pamięć to nie krzesło, co je można porąbać i w piec cisnąć. Czy jak przestawi pani krzesło, to co innego będzie pamiętała?” Podobne pytanie zadaje sobie i czytelnikowi autor. Na ile przeszłość determinuje losy człowieka? Jak styl prowadzenia opowieści o sobie wpływa na to, co z nami się stanie?

Prozaik nie pozostaje wyłącznie na gruncie rozważań psychologicznych, jego bohaterowie zawsze istnieją na styku dwóch rzeczywistości. W tle opowieści o współczesności rozgrywa się – mająca wpływ na teraźniejszość – historia peerelowskich sporów o kształt kraju. Bohaterowie uwikłani w historię własną i Polski prezentują szczególnie model rodziny, jaką jest naród. Białkowski nie ucieka przed polityką, co więcej: bawi się jej opisem, niejednoznacznością wynikającą z faktu przeobrażeń społeczno-gospodarczych. Chętnie osadza swoich bohaterów w czasach przeobrażeń, pokazując jak ważnym problemem jest niewiedza i niedopasowanie społeczne. Skomplikowane losy rodzinne wynikają często nie tyle z niesprzyjającego czasu historycznego, ile są wynikiem społecznego niedopasowania prezentowanych na kartach powieści par. Pojedyncze losy są determinowane w *Małych historiach rodzinnych* przez przypadek. To on, a także rozumiana po freudowsku kultura sprawiają, że bohaterowie zostają razem. Cierpią.

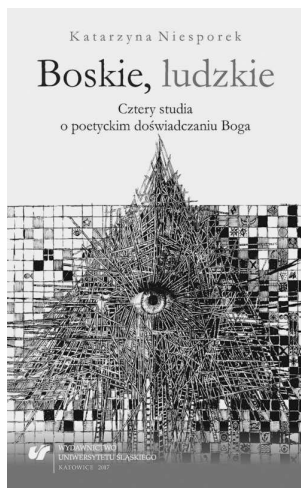
Ciekawie wygląda tu przedstawienie erotyki. Autor od niej nie stroni. Zbliżenie seksualne dokonuje się najczęściej na łonie natury, jest aktem dzikiemu wyzwolenia energii libidinalnej, a także w perspektywie dłuższego czasu pomyłką, której konsekwencją staje się narodzenie dziecka. Kultura wymusza na ludziach pozostawanie w relacjach. Co ciekawe, brak uczuć wyższego rzędu wobec tego samego gatunku prozaik równoważy opisem miłości, jaką darzą ludzie rośliny i zwierzęta. Często niezdolni do okazywania litości samym sobie, potrafią zauważyć w drzewie istotę cierpiącą, w psie widzą towarzysza.

Człowiek w prozie Białkowskiego pragnie być jednocześnie kochanym, uwolnić się od bolesnej samotności, jak i wolnym od wszelkich zobowiązań, jakie niesie z sobą kultura. Nade wszystko jednak nie jest istotą prostą. Prozaik nie lekceważy swoich bohaterów, buduje skomplikowaną siatkę zależności głównych protagonistów, rozbudowuje postacie drugoplanowe. Jak gdyby chciał powiedzieć, że każdy człowiek ma własną opowieść.

Ich połączenie tworzy małe historie rodzinne.

Tomasz Białkowski: *Małe historie rodzinne*. Wydawnictwo Muza, Warszawa 2017, s. 512.





Światoodczucia

KSIĄŻKI

PAWEŁ PRÓCHNIAK

Katarzynę Niesporek ciekawi „metafizyczna inklinacja” poetyckiej wyobraźni i powiązane z nią „doświadczenie metafizyczne”, którego przestrzenią – i narzędziem – jest wiersz. We wziętych na warsztat utworach Lieberta, Sebyły, Różewicza i Szewczyka inklinacja ta nie jest pozbawiona rysu religijnego, ale stanowi też wyczuwanie tajemnicy istnienia – tajemnicy jego trwania, jego źródeł i ujść, jego rękojm. W tym wyczuwaniu tajemnicy ma swoje źródło intuicja takiej transcendencji, która wyobraźnię – i ożywianą przez nią myśl – kieruje w stronę Absolutu jawiącego się jako sacrum. Autorkę interesują też poetyckie sposoby wyrażania „indywidualnego stanowiska” wobec tych zagadnień i jakości (oraz – po części – także doświadczeń), które sytuują się na styku tego, co „ludzkie”, naznaczone cierpieniem, dotknięte przez ciemność, wychylone ku śmierci, i tego, co „boskie” – uobecniające się w doświadczeniu sacrum, w intuicji transcendencji, w spotkaniu z tajemnicą.

Katarzyna Niesporek proponuje cztery aspektowe rekonstrukcje światopoglądów poetyckich – zobaczonych w ich załączkach (Liebert, Różewicz), w punktowym ujęciu (Szewczyk) lub w aspektowym przekroju (Liebert, Sebyła). Te cztery studia zebrane w książce *Boskie, ludzkie* ukazują światoodczucia wyrażone odmienne, naznaczone autorską sygnaturą mocnych osobowości poetyckich, ale zarazem w dający do myślenia sposób korespondujące ze sobą nie tylko z oczywistych względów historycznoliterackich, ale także – i może przede wszystkim – za sprawą wspólnej im wszystkim metafizycznej inklinacji.

Książkę otwiera szkic poświęcony Liebertowi. Autor *Guseł* to poeta religijnego niepokoju, szukający prześwitów w religijnie rozumianą „boskość”. Te prześwitów to wiersze. I tak rozumiane, mają w sobie coś z „posłańców”. Studium zogniskowane na anielskich lirykach Lieberta to omówienie młodzieńczej wiersza *Zmartwychwsta-*

nie oraz dwóch wierszy późniejszych – myślowo dojrzałych i znakomitych poetycko. W końcowej partii wywodu autorka sygnalizuje ponadto – w punktowych przywołaniach – obecność anielskich wątków i motywów rozsianych po innych wierszach poety. Przywołanie *Zmartwychwstania* pozwala dobrze zbudować ekspozycję rozważań. Lektura *Aniela żalu* i *Aniela pokoju* – utrzymana w nieco może nazbyt referującym tonie – daje wgląd w ambicje poezji Lieberta, wyostroża jej duchowy kontur i przypomina, jak niepokojąca potrafią być wiersze autora *Bożej Nocy*.

W studium o obrazie Boga w poezji Sebyły autorka bierze na warsztat te wiersze poety, w których do głosu dochodzi jego ciemna, wątpliwa religijność – religijność daleka od konfesji, poszukująca, na wskroś nokturmowa, utkana z wewnętrznych napięć. Wylania się z tych wierszy – dostrzegany i wcześniej, przez innych badaczy – „osobliwy wizerunek Boga” wewnętrznie sprzecznego, naznaczonego skazą, istniejącego w sposób paradoksalny. W szkicowanej przez Katarzynę Niesporek panoramie Bóg wierszy Sebyły to – po pierwsze – Bóg ułomny, otepiały, pogrążony w martwość, Bóg po części bezradny, po części bierny i bezduszny. Po drugie, Bóg tych wierszy to Bóg istniejący w sposób słaby – jako ślad odcisnięty w języku, jako rekwizyt wyobraźni. Taki Bóg jest dotkliwą nieobecnością, dojmującym brakiem. I zarazem ma w sobie coś z bibelotu stojącego na półce w mieszczańskim salonie. Jego nieokreślony status i negatywny sposób istnienia sprawiają, że uobecnia się w zwątpieniu, w daremnym przyzywaniu. Jest głębokim cieniem wiary pewnej swoich racji. I jednocześnie jest nabrzmiewającą w ciemności kropką, przez którą „przecieka [...] niepojęty / rzeczy wszelkiej ocean”.

Kolejny szkic rzuca światło na sam początek poetyckiej drogi Różewicza. Katarzyna Niesporek z uwagą przeczytała wiersze, które młodociany poeta opubliko-

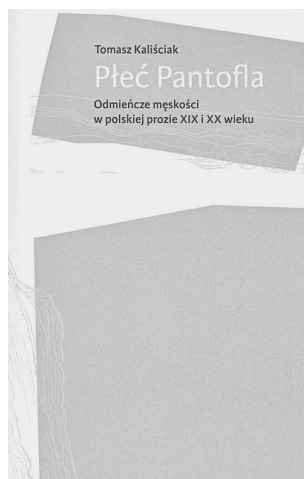
wał – w latach 1938-1939 – na łamach „Pod Znakiem Maryi”. Wiersze te rzadko były przedmiotem literaturoznawczego namysłu. Autorka szkicu pokazuje, że warto jednak poświęcić im uwagę nie tylko dla historycznoliterackiej akrybii. Ważne – w perspektywie późniejszych tekstów poety, w tym tomu *Matka odchodzi* – okazują się filiacje pomiędzy wierszami maryjnymi i wierszem, w którym pojawia się obraz – zmarłej przed laty – „matki ziemskiej”. Jeszcze istotniejszy jest obraz pustego kościoła – swoista prefiguracja ważnego wątku dojrzałej poezji autora *Plaskorzeźby*.

Najdonioślejszą poznawczo i najwnikliwszą partią książki jest jej część finałowa – obszerne studium o *Pasjach strasburskich* Wilhelma Szewczyka. Linearna i przede wszystkim komentująca lektura pozwala dobrze uchwycić spoiwości i wewnętrzną konsekwencję konstruowanego przez poetę wieńca sonetów – potraktowanego wariacyjnie, układającego się w hybrydyczny poemat. Lektura ta daje też wgląd w dynamikę znaczeń wpisanych w poszczególne ogniwa wieńca-poematu oraz w cykl jako całość. Autorka bierze na warsztat różne aspekty utworu – od dedykacji dla Miny Witkojc, poprzez rozbiory semantyczne wybranych elementów świata przedstawionego i intertekstualne nawiązania (zwłaszcza w zakresie topiki pasyjnej), po namysł nad symboliczną instrumentacją ewokowanej w *Pasjach* rzeczywistości oraz nad niuansami znaczeniowymi ważniejszych rozwiązań poetyckich. Wszystko to składa się na wyważoną – wyzbytą interpretacyjnych szarż – lekceją hybrydycznego poematu Szewczyka.

Cztery szkice składające się na książkę tworzą wyrazistą i zarazem nieoczywistą całość. Łączy je podobna optyka. Udzielają sobie wzajemnie intuicji i poręczeń. Budują panoramę utworzoną z lekturowych fleszy. Tak pomyślana publikacja daje dobry – choć siłą rzeczy fragmentaryczny – wgląd w ważny wątek polskiej liryki nowoczesnej. Przypomina o jej metafizycznej inklinacji – o odwadze wejścia w ciemność, w słuchania się w nieprzeniknionej cisze istnienia, w milczenie absolutu. Przypomina też, że nowoczesny wiersz bywa doświadczeniem duchowym, że od czasu do czasu wychyla się w stronę jakiejś – jak mówi George Steiner – „rzeczywistej obecności”, która jawi się jako rzeczywistość „boska”, ale zarazem – niekiedy – uobecnia się w tym, co na wskroś „ludzkie”, zjawia się w dojmującym doznaniu, w poruszeniu wyobraźni, daje o sobie znać z wnętrza metafory. Katarzyna Niesporek przygląda się takim uobecnieniom. Buduje wokół nich akustyczną przestrzeń. Pozwala im wybrzmieć. Stara się czytać wnikliwie, jest dociekliwa, swój wywód umie poddać rygorom literaturoznawczego rzemiosła, ale pamięta przy tym, że powinnością krytyka jest uważne słuchanie, że to poezja udziela nam głosu, nie my jej. Z szacunkiem i uznaniem myśle o historycznoliterackich studiach, które są efektem tak prowadzonej lektury.

Katarzyna Niesporek: *Boskie, ludzkie. Cztery studia o poetyckim doświadczaniu Boga*. Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2017, s. 152.





Mężczyzna pod pantoflem

KSIAŻKI

GAWEŁ JANIK

Tomasz Kaliściak od samego początku swojej naukowej kariery konsekwentnie porusza się w obrębie tematyki męskości odmiennych, alternatywnych i niehegemonialnych. *Płeć Pantofla. Odmienne męskości w polskiej prozie XIX i XX wieku* to druga, po wydanych w roku 2011 *Katastrofach odmienników*, monografia badacza. Naukowy debiut Kaliściaka, będący rozszerzeniem obronionej w 2009 roku pracy doktorskiej, stanowił w dużej mierze studium nad społecznymi aspektami poezji Józefa Czechowicza i stał się niewątpliwie ważnym głosem w rodzącej się dopiero na gruncie polskiego literaturoznawstwa dyskusji otwierającej pole dla *men's studies*. I choć niezaprzeczalnie pozycja ta wskazała nowe możliwości lektury twórczości Czechowicza, to w swoich rozważaniach teoretycznych Kaliściak rzadko wychodził poza ustalenia zachodnich badaczy tematu, a w partiach interpretacyjnych chętnie sięgał po znane i sprawdzone narzędzia literaturoznawcze.

Płeć Pantofla w stosunku do wcześniejszej monografii autora jest pozycją dużo dojrzalszą, bardziej przemyślaną i nowatorską. Dość wspomnieć, że sama bibliografia przedmiotowa liczy blisko 350 pozycji. Kaliściak bogato czerpie ze źródeł zagranicznych, przywołując w swojej pracy nie tłumaczone dotąd na język polski badania uznanych zachodnich specjalistów. W gąszczu przytaczanych ustaleń teoretycznych autor porusza się niezwykle sprawnie, wskazując najważniejsze założenia cytowanych książek w sposób z jednej strony precyzyjny, z drugiej zaś syntetyczny.

Nie jest to sztuka prosta, szczególnie, gdy badaczowi przychodzi omówić na przykład niezwykle złożoną i skomplikowaną, a co więcej na gruncie polskiego literaturoznawstwa odnotowaną w sposób jedynie symboliczny, teorię związaną z tak zwanym

„zwrotem analnym”. Ta część książki stanowi niewątpliwie jej największą wartość poznawczą. Kaliściak, związany na co dzień z Uniwersytetem Śląskim, nie tylko jako pierwszy na gruncie polskich badań nad męskością podjął się trudu opisanego przez Leo Bersaniego, ale także dokonał tego w sposób niezwykle rzetelny, co zasługuje na najwyższe uznanie. Szczególnie ważny okazuje się fakt, iż autor *Płci pantofla* nie tylko przeniósł na grunt polskiego literaturoznawstwa nieznane lub do tej pory słabo opisane narzędzia interpretacyjne, ale także wykorzystał je w praktyce, tworząc „projekt krytyki analnej” służący mu do odczytania kanonicznego dzieła Witolda Gombrowicza – *Ferdydurke*.

I choć monografia Kaliściaka skupia w sobie interpretacje twórczości kilkunastu polskich autorów publikujących w wieku XIX oraz XX, to właśnie Gombrowicz wydaje się grać w niej pierwsze skrzypce. Wychodząc od analizy nie tak często opisywanego opowiadania *Zdarzenia na brygu Banbury*, pochodzącego z debiutanckiego *Pamiętnika z okresu dojrzewania* (1933), badacz kolejno bierze na swój literaturoznawczy warsztat wspomniane już *Ferdydurke*, by na końcu przyjrzeć się męskiemu światu wykreowanemu na kartach *Trans-Atlantyku*.

Kaliściak w swojej monografii nie tylko próbuje rozłożyć na części pierwsze twórczość Gombrowicza, by tym samym znaleźć swoisty „męski klucz” do ich głębszego zrozumienia, ale także wykorzystuje postać autora *Dzienników* jako pretekst dla rozważań na temat odmiennych męskości w utworach innych autorów. Badacz nie wybiera jednak powieści, które, jak sam pisze, uznaje za najbardziej reprezentatywne dla tekstów podejmujących tuż po wojnie tematykę homoerotyczną. Nie przeczytamy więc

choćby o *Bramach raj* Jerzego Andrzejewskiego, lecz między innymi o wydanej w roku 1964 powieści Czesława Dobka *Na ratunek gołębiczy* – zapomnianej nie tylko przez czytelników, ale i literaturoznawców, a co szczególnie istotne także przez badaczy „polskiej literatury homoseksualnej”. Jak się okazuje niesłusznie, bowiem ta wydana na emigracji książka z wyraźnie zaznaczonym w niej wątkiem kryminalnym stanowi niezwykle szczegółowy opis życia codziennego homoseksualistów zamieszkujących Londyn wczesnych lat 60. ubiegłego wieku. Książkę Dobka czytać można, zdaniem Kaliściaka, jako rozwinięcie i kontynuację (choć dużo gorsze pod względem artystycznym) też postawionych w *Trans-Atlantyku* przez Gombrowicza, kiedy to autor *Dzienników* wskazuje czym grozić może radykalna postawa nacjonalistyczna.

Kaliściak buduje ponadto paralele między prozą Gombrowicza a francuską twórczością Jeana Geneta oraz rodzimą prozą Christiana Skrzyposzka. W przypadku tego drugiego, badacz sięga po współczesne dyskursy immunizacyjne by nazwać *Mojrę* Skrzyposzka powieścią autoimmunologiczną i autobiograficzną; opisującą męskością kaleką, niepełnosprawną fizycznie, a więc odmienną ze względu na wyniszczającą ją chorobę.

Na szczególne uznanie zasługuje rozdział poświęcony zapomnianej dzisiaj debiutanckiej powieści Zbigniewa Grabowskiego *Ciszy lasu i twojej ciszy*, która w momencie swojego wydania w roku 1931 była książką szeroko komentowaną i komplementowaną przez ówczesną krytykę. W rozdziale *W piekle heteroseksualizmu. O męskiej przyjaźni w powieści Zbigniewa Grabowskiego...* Kaliściak nie tylko przypomina o tej współcześnie właściwie nikomu nieznaną „modernistycznej powieści erotycznej” (s. 129), ale także podejmuje się jej odczytania w kontekście zmieniającego się wraz z nadejściem wieku XX wzorca męskiej przyjaźni. Co bowiem istotne, w *Ciszy lasu...* męska przyjaźń wiąże się nierozdzielnie z dwuznaczną, seksualną pożądlivością. Kaliściak wskazuje na wyjątkowo cienką granicę pomiędzy łączącą głównych bohaterów książki romantyczną „miłością dusz”, a homoerotycznym pragnieniem ciał. Tym samym powieść Grabowskiego staje się dla badacza świadectwem poważnych problemów ze zdefiniowaniem kategorii takich jak homo- i heteroseksualność w latach 30. ubiegłego wieku.

Lecz czymże jest tytułowa „płeć pantofla”? Odpowiedź na to pytanie znaleźć można w monografii Tomasza Kaliściaka, stanowiącej pokłosie projektu *Męskości w literaturze i kulturze polskiej od XIX wieku do współczesności* realizowanego na Uniwersytecie Śląskim. Książki potwierdzającej, że to właśnie katowicki Wydział Filologiczny wyrasta na jeden z najprężniej rozwijających się polskich ośrodków naukowych zajmujących się *men's studies* w kontekście badań nad rodzimą literaturą.

Tomasz Kaliściak: *Płeć Pantofla. Odmienne męskości w polskiej prozie XIX i XX wieku*. Warszawa – Katowice 2016.





NOTATNIK KULTURALNY

Redagują:

Wiesława Konopelska

Jan Picheta

Joanna Kotkowska

Janusz Ireneusz Wójcik

Musiół to był dobry człowiek

PSZCZYNA. Pamięć o Ludwiku Musiole, wybitnym śląskim historyku, twórcy monografii Pszczyzny jest w tym mieście ciągle żywa. Zasługi przeciw tej postaci dla zbadania przeszłości Ziemi Pszczyńskiej są niepodważalne. Dzieło Musiōła o Pszczyźnie od chwili wydania 1936 roku, poprzez reprint w 1993 roku, aż do naszych czasów kształtowało wyobrażenia pszczyńian o własnej przeszłości. Można więc powiedzieć, że jego znaczenie dla lokalnej historiografii jest fundamentalne. Praktycznie żadna książka traktująca o przeszłości Pszczyzny dzieła Musiōła pominąć nie może. I choć w 2014 roku wyszła nowa, dwutomowa monografia miasta – pod redaktorską wodzą prof. Ryszarda Kaczmarka i prof. Jerzego Spierki – to jednak dzieło Musiōła jest dalej niezastąpione. Świetnie się go czyta, ma swój niepowtarzalny, klimat, urok. Publikacja z 2014 roku dopiero takiej marki dorobić się musi – i są na to szanse, bo tworzona była w naprawdę dobrym, naukowym gronie.

Pamięć o Ludwiku Musiole nie może zagać – i temu służyła konferencja naukowa zorganizowana 9 listopada w pszczyńskim Starostwie, w tamtejszej sali sesyjnej, z inicjatywy dr Danuty Kocurek – radnej i naukowca, członka Polskiej Akademii Nauk, pracownika Wydziału Etnologii i Nauk o Edukacji Uniwersytetu Śląskiego. Jej tytuł brzmiał: „Ludwik Musiół (1892-1970) nauczyciel i historyk śląski. W 125. rocznicę urodzin”. Dzięki jej zaangażowaniu i wsparciu władz powiatu, udało się zorganizować trzecią już z cyklu konferencji „Ludzie tej Ziemi” (poprzednie dotyczyły Karola Miarki i Jana Kupca). Udało się skupić grono ludzi, naukowców, popularyzatorów i miłośników historii, którzy przybliżyli postaci i dorobek Musiōła – wszak o tym trzeba nieustannie przypominać. Wśród tego grona był i piszący te słowa – opowiadałem o znaczeniu monografii Pszczyzny w lokalnej historiografii. Dr Urszula Chrobok-Sztolter, moja żona, historyk i nauczyciel w pszczyńskim Zespole Szkół nr 1 przybliżyła model, jaki zastosował Musiół w około stu niepublikowanych w większości (niestety!) pracach o parafiach wiejskich na Górnym Śląsku. Dr Danuta Kocurek skupiła się na biografii Musiōła, w której nie brakowało dramatycznych momentów (jak choćby aresztowanie w latach 50. ubiegłego wieku i go pozbawienie praw obywatelskich). Aleksander Spyra, założyciel i długoletni prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Pszczyńskiej, mówił o pracach Musiōła, jakie wydało Towarzystwo i popularyzowało na łamach zasłużonego dla regionu „Orędownika Kulturalnego”. Cezary Waluszko z pszczyńskiej filii Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej im. Józefa Lompy w Katowicach przybliżył obszerne piśmiennictwo Ludwika Musiōła ze szczególnym uwzględnieniem Ziemi Pszczyńskiej, natomiast dr Halina Nocoń, zasłużona propagatorka regionalizmu i edukacji regionalnej, na co dzień dyrektor Zespołu Szkolno-Przedszkolnego w Studzienicach, przedstawiła miejsca związane z Musiołem-pedagogiem i opowiedziała barwnie o jego pracy nauczycielskiej – która obok historycznej, archiwalnej – była jego szczególną pasją.

Patronat honorowy nad Musiołową konferencją objęli m.in. ks. prof. dr hab. Józef Budniak z Uniwersytetu Śląskiego, dr hab. Andrzej Murzyn – kierownik Zakładu Historii i Teorii Wychowania Wydziału Etnologii i Nauk o Edukacji UŚ, dr hab. Marek Rembierz z UŚ, a także Komisja ds. Stosunków Polsko-Czeskich i Polsko-



Fot. Grzegorz Sztolter

Fragment ekspozycji poświęconej Ludwikowi Musiołowi

-Słowackich przy Polskiej Akademii Nauk, Oddział w Katowicach. Przerwywnikiem muzycznym były wystąpienia uczniów Powiatowego Ogniska Pracy Pozaszkolnej w Pszczyźnie (utkwiała mi w pamięci zwłaszcza „Gdybym to ja miała skrzydółka jak gąska...”). Konferencję otworzył starosta Paweł Sadza, a prowadził Damian Cieszewski, radny, przewodniczący powiatowej Komisji Edukacji, Zdrowia, Kultury i Sportu i dyrektor ZS nr 1 w Pszczyźnie.

Wszystkie wystąpienia mają znaleźć się w publikacji, jaka zostanie wydana w przyszłym roku. Jednym z istotnych wniosków pokonferencyjnych, jest ten, że z uwagi na zasługi Ludwika Musiōła dla Pszczyzny, pamięć o nim należy tu szczególnie pielęgnować. Może któraś z pszczyńskich szkół pokusi się w końcu o patrona – z naprawdę dobrym życiorysem? Musiół był pedagogiem, wrażliwym na młodzież – i jest dla niej znakomitym przykładem erudycji, pracowitości i miłości do ziemi rodzinnej. Był zresztą człowiekiem wielu talentów. Na wystawie dokumentów z nim związanych, ze zbiorów Muzeum Prasy Śląskiej w Pszczyźnie, można było zobaczyć m.in. jego rysunki (tworzył nie tylko plany miast, ale udane portrety i pejzaże).

Kolejny postulat – należy zająć się udokumentowaniem postaci L. Musiōła, popularyzacją jego dorobku (znanego głównie badaczom) szerszemu ogółowi, społeczności naszego regionu, czy to w formie cyklu publikacji (była to w końcu postać wielowymiarowa – historyk, nauczyciel, archiwista, lingwista, etnograf), czy też konkursów edukacyjnych. Przydała by się wreszcie jakaś obszerniejsza biografia, bo choć dysponujemy cenną źródłowo publikacją o Musiole autorstwa Henryka Stasińskiego z lat 90., to jednak warto spojrzeć na tego Historyka i jego dorobek na nowo. Życzeniem wreszcie ostatecznym jest wydanie wszystkich prac Musiōła, łącznie z tą o najstarszym protokolarzu miasta Pszczyzny z lat 1466-1544? Czy to się stanie? Czy to będzie możliwe? Pewno dzięki samozaparcu takich ludzi, jak dr Danuta Kocurek, pewno rzecz może się udać – ale tacy społecznicy muszą mieć wsparcie instytucji powołanych do dbania o naszą przeszłość i jej kulturową spuściznę – by pamięć o dobrych ludziach nie przemięła. Nigdy.

GRZEGORZ SZTOLTER





Fot. Ewelina Dzięwońska-Chudy



W OPK Gaude Mater prof. Marian Kisiel mówił o poezji Haliny Poświatowskiej



W Częstochowie odbywał się Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”

Dla Poświatowskiej i o Poświatowskiej

CZĘSTOCHOWA. Z okazji 50 rocznicy śmierci Haliny Poświatowskiej częstochowskie instytucje kulturalne przygotowały szereg działań utrwalających pamięć o poetce. Rozpoczęło się już 9 października; Janusz Radek w Filharmonii zaśpiewał jej poezję w programie *Kim Ty jesteś dla mnie*. Dzień później w OPK Gaude Mater profesor Marian Kisiel dociekał, dlaczego twórczość ta wciąż zachwyca badaczy i czytelników, a Wołodmyr Garmatiuk, tłumacz na język ukraiński, opowiadał o swojej fascynacji tymi utworami.

Kolejny wieczór w Gaude Mater wypełnił wernisaz wystawy Małgorzaty Omelańczuk-Pawluk, inspirującej się poezją częstochowianki. Potem odbyła się przekładana promocja książki Kamili Słomskiej i Zbigniewa Mygi *Poświatowska we wspomnieniach i inspiracjach*. Brat poetki opowiedział przy tej okazji wiele anegdot z jej życia, a jego prezentację uzupełniły utwory zaśpiewane przez Janusza „Yanine” Iwańskiego oraz Marzenę Lamch. Spośród autorów wspomnień obecni byli m.in. profesor Elżbieta Hurnik, Jerzy „Jotka” Kędziora oraz Mateusz Pospieszalski.

Dzień później Miejska Galeria Sztuki zaprosiła do Sali Śląskiej. Wieczór zaczął się filmem Roberta Jodłowskiego *Haśka. Wspomnienie o...*, były także wiersze w wykonaniu Adama Hutty oraz piosenki napisane dla Haśki (na fortepianie zagrał Michał Rorat).

Jubileusz Bibliotek

CZĘSTOCHOWA. W Roku Władysława Biegańskiego, ustanowionym w 100-lecie śmierci lekarza i filozofa związanego z Częstochową, swoje święto obchodziła także biblioteka miejska nosząca jego imię. Już 13 września w Czytelni Czasopism zagrała Agata Ślazyk i Tomasz Kmiecik. Uroczysta gala pod patronatem Prezydenta Miasta Częstochowy Krzysztofa Matyjaszczyka odbyła się w teatrze 20 września. Była to doskonała okazja, by odznaczyć wyróżniających się pracowników, wręczyć nagrody za najlepsze recenzje książek, ale także, a może przede wszystkim, złożyć życzenia na ręce pani dyrektor, Beaty Grzanki. Okolicznościowe medale szacowna jubilatka otrzymała od Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich oraz Prezydenta Miasta Częstochowy. Część artystyczną wypełnił montaż słowno-muzyczny *Nie tylko kobieta*, w którym wzięli udział: Marta Honzatko, Maciej Półtorak oraz Robert Dorosławski.

Uroczyste otwarcie biblioteki odbyło się 11 sierpnia 1917 roku, a jednym z pomysłodawców był dr Władysław Biegański. W grudniu 1916 odbyło się zebranie założycielskie Towarzystwa Biblioteki Publicznej w Częstochowie, które poza Władysławem Biegańskim tworzyli: Stanisław Biernacki, Edmund Nowak, Wacław Płodowski oraz Kazimierz Okuszek. Placówka miała powstać ze składek oraz darów mieszkańców. Po śmierci Władysława Biegańskiego Towarzystwo Opieki Szkolnej, prowadzące Kursy Samokształcenia, postanowiło uczynić go patronem biblioteki.

Absurdem w rzeczywistość

CZĘSTOCHOWA. 11. Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez Dotyk” trwał w tym roku od 22 września do 1 października. Temat przewodni brzmiał „Rzeczywistość i absurd”.

Rozpoczęło się *Humanką* z Teatru Polskiego w Bielsku-Białej w reżyserii Agaty Puszc. Następnie pokazano *Ku Klux Klan. W krainie miłości* Teatru Nowego w Zabrze, spektakl przygotowany na podstawie książki Katarzyny Surmiak-Domańskiej. Ciekawą propozycją był *Samobójca* w reżyserii Piotra Siekluckiego Teatru Nowego Proxima z Krakowa z Edwardem Lindą-Lubaszanką (w zeszłym roku duet ten widzieliśmy w spektaklu *Wysocki. Powrót do ZSRR*). Kinoteatr Mumio zaprosił widzów na *Welcome Home Boys* z Tomkiem Drozdkiem, multiinstrumentalistą z Częstochowy. Wreszcie na finał przygotowano *Scenariusz dla trzech aktorów* Bogusława Schaeffera, z udziałem Andrzeja i Mikołaja Grabowskich oraz Jana Peszka.

Gospodarze zaprezentowali *Miasto szklanych słoni* oraz program *Mój ulubiony Młynarski*, koncert Piotra Machalicy, w czasie którego artysta zaśpiewał m.in. *Idź swoją drogą* czy *Jeszcze w zielone gramy*.

Siedem dni z czytaniem

CZĘSTOCHOWA. Już po raz siódmy odbył się Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!”. W tym roku o atrakcję zadbało stowarzyszenie Komunikat. W dniach 16–22 października pojawili się w Częstochowie wyjątkowi goście: profesor Przemysław Czaplinski (zapowiadany Jan Miodek w ostatniej chwili odwołał przyjazd), pisarze – Dorota Masłowska, Sylwia Chutnik, Jacek Dehnel i Piotr Tarczyński, Maciej Sienczyk, dziennikarze i popularyzatorzy, np. Filip Łobodziński. Ten ostatni opowiadał o tym, w jaki sposób Literacka Nagroda Nobla dla Boba Dylana wypromowała wydaną przez niego właśnie w tym czasie książkę o artyście oraz płytę z jego piosenkami.

W programie tegorocznego festiwalu znalazły się także instalacje, wystawy, koncerty, filmy animowane Piotra Dumay, konkursy poetyckie, prezentacje twórczości, teatr lalkowy, literacka gra miejska i oczywiście wymiana książek. Przygotowano też różnorodne warsztaty – dla piszących i mówiących (z Przemysławem Błuszczem), plastyczne dla dzieci, dla marzących o przygotowaniu komiksu (Jakub Woynarowski), a nawet intrologatorskie, czyli wszystko, co tylko może skojarzyć się z książką.

Voo Voo prawie urodzinowo

CZĘSTOCHOWA. 8 października w Filharmonii Częstochowskiej odbył się koncert Voo Voo promujący nową płytę 7, wydaną w marcu br. Poszczególne utwory zapisują kolejne dni tygodnia reprezentanta średniego pokolenia, poczynawszy od *Srody*. Specyficzny układ muzyki tłumaczy trybem swojego życia. Artyści udowodnili, że rozumieją się doskonale, także wykonując solówki i niezapomniane koncertowe improwizacje. Liczy się wówczas również





Pożegnanie dyrektora Pawła Kozerskiego (pierwszy z lewej) na Zamku Piastów

ruch, gest, a także dialogi świadczące o ich otwarciu na interakcję. Można patrzeć, a przede wszystkim słuchać i podziwiać energię i radość płynące ze sceny.

Zespół działa od połowy lat 80. XX wieku, więc niedawno obchodził 30-lecie. Od wielu już lat gra w składzie z częstochowianinem Mateuszem Pospieszalskim (który dwa dni przed koncertem obchodził urodziny). Już choćby z tego powodu było to wydarzenie w naszym mieście. Na koncercie pojawili się wierni fani zespołu, który wciąż poszukuje nowych dźwięków i obszarów muzycznych.

Benefis Pawła Kozerskiego

OPOLE. Dyrektor Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu Paweł Kozerski, który odbudował Zamek Piastów Śląskich w Brzegu obchodził jubileusz 50-lecia pracy zawodowej podczas benefisu w Muzeum Śląska Opolskiego z udziałem przedstawicieli środowisk nauki i kultury. Jubilat urodził się 7 maja 1944 r. w Dassenen koło Einbeck, gdzie poznali się jego rodzice – Olga Wiśniewska i Adam Kozerski, przymusowo wywiezieni do pracy w III Rzeszy Niemieckiej. W 1947 r. zamieszkał w Przedczu na Kujawach (rodzinna miejscowość ojca Adama). Ukończył LO w Lubrańcu i w latach 1962-68 studiował na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, na kierunku historia i archiwistyka. W 1967 r. podjął pracę w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, obejmując funkcję kierownika i dyrektora. Wielokrotnie był nagradzany i odznaczany za osiągnięcia w pracy zawodowej i społecznej (aktywnie działał w PTTK). Najważniejsze laury kustosa śląskiego Wawelu to: Nagroda im. Karola Miarke, Śląska Nagroda Kulturalna rządu Dolnej Saksonii, Platynowy Laur Umiejędności i Kompetencji, Nagroda Wojewody Opolskiego, Nagroda Marszałka Województwa Opolskiego, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Złoty Medal za Długoletnią Służbę, Srebrny i Złoty Medal Zasłużony Kulturze „Gloria Artis” oraz wiele odznaczeń samorządowych i organizacji społecznych. Podczas benefisu dokonania Jubilatę wspominali m.in. prof. Stanisław S. Niciejka, były długoletni rektor UO, Romuald Nowak dyr. Panoramy Racławickiej we Wrocławiu, prof. Michał Lis z Instytutu Śląskiego. Wieczór prowadziła Urszula Zajączkowska, dyrektor Muzeum Śląska Opolskiego i Janusz Ireneusz Wójcik z redakcji opolskiej miesięcznika „Śląsk”. Opowieści Pawła Kozerskiego o śląskim Wawelu muzycznie ubogaciły artystki z Nysy – Maria Ruszecka (piano, śpiew) i Emilia Kos (skrzypce). W części towarzyskiej goście jeszcze długo rozmawiali z Jubilatę przy kawie i okazałym torcie. Od 1 października br. dyrektor Paweł Kozerski, jedna z najbardziej rozpoznawalnych i lubianych postaci opolskiego muzealnictwa przeszedł na zasłużoną emeryturę.

Huculi w Opolskiej Książnicy

OPOLE. Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu we współpracy z Departamentem Kultury Obwodowej Administracji Państwowej w Iwanofrankiwsku zorganizowała przedsięwzięcie kulturalne „Z huculskiej skrzyni” obejmujące warsztaty rękodzieła artystycznego „Gerdany” z Mariją Chulak (gerdany – typowe naszyjniki huculskie), wystawę „Z huculskiej skrzyni” prezentują-

cą przyrodę, kulturę oraz tradycje związane z Huculszczyzną oraz koncert kapeli „Huculi” z Werchowyny. Opolska publiczność podczas warsztatów mogła dowiedzieć się, że gerdany to długie naszyjniki, zakończone medalionem, noszone zarówno przez kobiety, jak i mężczyzn. Dawniej uważano, że tworzeniem biżuterii z koraliaków powinny zajmować się tylko osoby o czystym sercu i będące w dobrym nastroju, by potem przekazać tę pozytywną energię komuś, kto będzie nosił te ozdoby. Zaprezentowano również elementy stroju huculskiego: pięknie, ręcznie zdobione koszule, serdaki i keptary, biżuterię, i nakrycia głowy. Na potrzeby wystawy zaaranżowano także izbę huculską z elementami życia codziennego Huculów. Projekt z „Huculskiej skrzyni” zwieńczył w sali koncertowej Filharmonii Opolskiej występ kapeli „Huculi” Mikołaja Iliuka, złożonej z autentycznych muzyków huculskich. Zaliczanych do najlepszych wirtuozów gry na skrzypcach, sopiłce (fujarka) i cymbałach, zarówno w Karpatach jak i w Europie, którzy byli wielokrotnie nagradzani na międzynarodowych przeglądach zespołów folklorystycznych.

Festiwal „Tobie Polsko”

OLSZANKA W zabytkowym kościele w Pogorzeli, gmina Olszanka odbył się koncert Laureatów XXII Wojewódzkiego Festiwalu Pieśni Patriotycznej „Tobie Polsko”, podczas którego wystąpiło 24 laureatów wyłonionych w eliminacjach festiwalu. Prezentacje wykonawców wysłuchało jury z udziałem przedstawicieli gospodarzy oraz Pawła Golca (lidera zespołu Golec uOrkiestra). Grand Prix XXII Festiwalu Pieśni Patriotycznej w Olszance jurorzy przyznali Kacprowi Treli (piano, vocal), uczniowi klasy maturalnej Zespołu Szkół w Otmuchowie, za wykonanie utworu „Matko o twarzy jak Polska ziemia” (słowa i muzyka Krystyny Żak). Werdykt potwierdził aplauz publiczności, wypełniającej do ostatniego miejsca, zabytkową świątynię, uznawaną za jeden z najcenniejszych obiektów na Szlaku Brzeskich Polichromii Średniowiecznych. Festiwal odbywa się od wielu lat pod patronatem honorowym, Marszałka Województwa Opolskiego, Wojewody Opolskiego i Wójta Gminy Olszanka. W eliminacjach do koncertu laureatów wystąpiło ponad 60 podmiotów wykonawczych (sic!) – soliści, zespoły i chóry, reprezentujące wszystkie grupy wiekowe od przedszkolaków po emerytów. Uczestnicy Festiwalu niemal ze wszystkich stron województwa zaprezentowali w całodziennym maratonie eliminacji po dwa utwory: oprócz dowolnej pieśni patriotycznej również utwory o tematyce kresowej. Zarówno Jury jak i publiczność i organizatorzy Festiwalu podkreślali wysoki poziom wykonawców występujących w koncercie laureatów „Tobie Polsko”, festiwalu, o którym w jednym z komentarzy napisano na FB, że jest próbą ocalenia od zapomnienia pięknej polskiej tradycji śpiewania, ponad podziałami, różnicami pokoleniowymi, tak aby młode pokolenie zapamiętało pieśni z narodowego śpiewnika i zapamiętało, że naród, który przestaje śpiewać – przestaje żyć”. Koncert laureatów Festiwalu poprowadził Tomasz Zacharewicz – dziennikarz radiowy i telewizyjny, a jego głównymi organizatorkami były: Ewa Rosińska – sekretarz gminy Olszanka i wójt Aneta Rabczewska.

W SKRÓCIE...

■ Wystąpili: klub Rura – Strachy na Lachy, Happysad; OPK Gaude Mater – Dobry Wieczór, klub Muzyczna Meta – Lewe Łokcie; Konduktorownia – Lidia Pospieszalska *Podróże na chmurze*;

■ Wystawiali: OPK Gaude Mater – Arkadiusz Dzielawski; Wejściówka – Maciek Skowronek; Galeria Zwiastun – *Minotaur: Sztuka przez dotyk*, efekt warsztatów dla dzieci i młodzieży;

■ 20 października w Filharmonii Częstochowskiej wykonano *Niemieckie requiem op. 45* Johanna Brahmsa. Orkiestrę Symfoniczną Filharmonii Częstochowskiej i Chór Collegium Cantorum wsparł Chór Filharmonii Łódzkiej oraz soliści: Ewa Breza i Adam Szerzeń. Dyrygował Adam Klocek;

■ 29 września na otwarcie sezonu 2017/2018 w Filharmonii Częstochowskiej wykonano m.in. koncert skrzypcowy D-dur op. 77 Johanna Brahmsa z udziałem koreańskiej skrzypaczki Bomsori Kim, zdobywczyni drugiego miejsca 15. Międzynarodowego Konkursu Skrzypcowego im. Henryka Wieniawskiego w 2016 roku.

■ 11 października w MGS-ie Artur Andrus wraz z Wojciechem Karolakiem w cyklu *Nieśmiertelni* wspominali Marię Czubaszek.



Teatr im. Adama Mickiewicza rozpoczął sezon 2016/2017 koncertem *Wesołe miasteczko*, który był jednym z wydarzeń upamiętniających 20. rocznicę śmierci Agnieszki Osieckiej. Złożyły się na niego songi z ostatnich lat życia poetki. Autorka bardzo je ceniła, nazywając nawet labędzim śpiewem. Wcześniej współtworzyły one spektakle – *Wilki*, *Do dna*, *Apetyt na życie*, *Darcie pierza* czy *Nie żałuję*, wszystkie, poza ostatnim, przygotowane przez André Hübnera-Ochodlo w Teatrze Atelier w Sopocie, obecnie noszącym imię Agnieszki Osieckiej. Ostatni przygotował Jerzy Satanowski, a Hübner-Ochodlo był jednym z wykonawców. Dwa z wymienionych spektakli wystawiono także w Teatrze im. Adama Mickiewicza i nie były to jedyne utwory Osieckiej grane w naszym teatrze.

Wesołe miasteczko powstało we współpracy częstochowskiego teatru z sopońską sceną. To już osma realizacja Hübnera-Ochodlo z naszymi aktorami, ostatnio były *Proca* i *Hamlet*, więc podwójne premiery stały się już niemal tradycją. Podobnie było i tym razem. Koncert w Sopocie zagrano 8 lipca 2017. Wystąpili w nim: Marta Honzatko, Waldemar Cudzik, Adam Hutyra i Marcin Januszkiewicz (gościnnie), zwycięzca 14. konkursu *Pamiętajmy o Osieckiej* w 2011 roku. Aranżacje piosenek, do których muzykę napisali – Ewa Kornecka, Zygmunt Konieczny, Jerzy Satanowski i Przemysław Gintrowski, przygotował Adam Żuchowski – w czasie spektaklu grał na kontrabasie. Towarzyszyli mu: Michał Ciesielski (fortepian), Krzysztof Paul (gitara) i Sławek Koryzno (perkusja).

Aktorzy występowali w niezwykle oszczędnej, ale sugestywnej scenografii. W tle znajdowało się stylizowane drzewo, przywołujące na myśl drzewo życia, a może drzewo wiadomości dobrego i złego. Jego zarys ginął w dominującej ciemności. Poza tym na scenie ustawiono szeregi krzesel, co potęgowało motyw teatralny, a jednocześnie pozwalało aktorom nieco odpocząć przed kolejnym występem. Wykonawcy śpiewali solo, w duetach, grupowo, by także za pomocą formy powiedzieć o ludzkim życiu, przypadkowych spotkaniach ludzkich głosów, które potęgują śpiewany tekst albo zagłuszają się nieco, jeśli różnią ich słowa. Korzyści z elementów gry aktorskiej – ruchu, ale przede wszystkim interpretacji tekstu, tworząc w ten sposób scenki rodzajowe i silnie oddziałując na widownię.

Wybrane teksty złożyły się na wstrząsającą opowieść o zapasach ze śmiercią, o dochodzeniu do kresu i ciągłym buncie przeciwko nieuchronnemu. Trudno jednak zamknąć przesłanie koncertu średnio-wiecznym motywem *dance macabre*, mimo że raz po raz nachalnie nasuwał się na myśl. Piosenki utrzymane są w podobnym rytmie i nastroju, a teksty mówią także o takcie toczącego się świata.



Wesołe miasteczko było wydarzeniem początku sezonu artystycznego w teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie

Śmierćka w wesołym miasteczku

TEATR

Aktorzy występują w jasnych strojach, dość uroczyście, przypominających stylizką stroje wieczorowe, a przy tym niezwykle prostych, bez butów, z nieco pobielonymi i postarzonymi twarzami, co jeszcze bardziej eksponuje ich zbliżanie się do śmierci. To jednocześnie upodabnia ich do marionetek albo do postaci Kantora, choć ich główną aktywnością jest przecież śpiew. To podobieństwo będzie jeszcze wzmacniane ruchem, a to z kolei przypomina o drugim ważnym motywie naszej kultury – świecie-teatrze (*theatrum mundi*), gdy Bóg i szatan, nie tylko są oceniającymi widzami, ale przecież aktywnie uczestniczą w życiach poszczególnych. Zresztą, tylko boska perspektywa, do której dążą ironiści, przekształcić może ludzką egzystencję w wesołe miasteczko i cyrk, upiorne, pełne tajemniczych odgłosów, chichotów, zniekształconych emocją oraz niemal demoniczną i jednocześnie nieokiełnaną chęcią użycia. A użytkownicy potęgującymi tę historyczną walkę są oczywiście alkohol czy machora, które pozwalają uwierzyć, że życie stanie się pięknie i proste mimo wszystko. Nawet jeśli postacie nie wierzą w to, co mówią. To śpiew straceńców, potrzebujących znieczulenia przeciwko fałszom życia, malowanym twarzom i papierowym emocjom. Teksty przypominające dziecięce wylizanki często okazują się przecież heroicznym wyzwaniem rzuconym śmierci, wyborem życia wbrew wszystkiemu. Nie znajdziemy w nich młodzieńczego optymizmu, który z tej perspektywy zdawałby się jakimś kłamstwem, a zachęta „pijcie wino, pijcie słodkie wino” nieco przypomina piosenkę w *Kordianie*. Byłoby to zresztą jedno z wielu odwołań do klasyki. Bo przecież śmierć nie tylko przypomina teatralny motyw *deus ex machina*, to także moment rozpoznania, kim jestem i jaki jest naprawdę świat. Inne nawiązania to fraza

z *Hamleta* – „Niech ryczy z bólu ranny łoś”, skojarzenie śmierci z przeprawą promem, co przypomina przecież Charonową łódź, ale także przekonanie, że nie warto wówczas żałować róż. Więc lasy już płoną, jak przekonywał Juliusz Słowacki w *Lilli Wenedzie*. Niewiarę w szczęście i jednocześnie pożądanie go zapisuje egzotyczne i niezrozumiałe w odbiorze „mazłtow” („mazel tov” albo „mazal tov” po hebrajsku oznacza przecież szczęście albo gratulacje).

Utwory Osieckiej mierzą się z motywem podejmowanym przez wielu pisarzy. Poetka próbuje oswoić śmierć za pomocą języka. To „śmietka”, kusząco wyginająca się i wyjąca, czarnogęba i czarnosina, ale także hycel czy potwór czający się w człowieku. Okazuje się bowiem, że jej oścień tkwi w każdym z nas. Piosenki zdają się zapisem bólu towarzyszącego nieuchronnemu konaniu. To ból egzystencjalny, ale także ten fizyczny, co paradoksalnie świadczy o tym, że jeszcze

się żyje. Niewiele znajdziemy tu zwrotów do Boga, mimo że to on zdaje się adresem tych utworów, o czym przypomina pieśń *Panie obłoczny*. Bóg jawi się jako zbyt daleki, ale jednak czuły i wspomagający...

Przygotowany przez Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie i Teatr Atelier im. Agnieszki Osieckiej koncert to doskonała okazja, by zasłuchać się w piękny i mądry tekst, dobrze podany i świetnie zinterpretowany. Piosenki wykonywane były żywiołowo przez wszystkich aktorów, choć mnie najbardziej wzruszył Marcin Januszkiewicz w utworze *Wybac, mamasza*. Na bis aktorzy zaśpiewali *Parademarsch*, który zdefiniował życie jako defiladę przed publicznością, gdy po raz kolejny okazuje się, jak ważne jest utrzymanie rytmu, by stworzyć dobre widowisko. Koncert to także zaproszenie do refleksji na temat przemijania i odchodzenia, tematów nieco wypartych z kultury pośpiechu i pogoni za czymś bliżej nieokreślonym. To okazja, by zatrzymać się na godzinę, a potem jeszcze długo wracać myślą do usłyszanego słów. Można także zakupić płytę i wracać do utworów Agnieszki Osieckiej i wykonać w dowolnym czasie.

JOANNA WAROŃSKA

Wesołe miasteczko – Agnieszka Osiecka – piosenki ostatnie. Reżyseria André Hübner-Ochodlo. Songi Agnieszki Osieckiej ze spektakli „Do dna”, „Darcie pierza”, „Wilki”, „Apetyt na śmierć”, „Nie żałuję”. Muzyka: Ewa Kornecka, Przemysław Gintrowski, Zygmunt Konieczny, Jerzy Satanowski, aranżacje – Adam Żuchowski. Występują: Marta Honzatko, Waldemar Cudzik, Adam Hutyra, Marcin Januszkiewicz (gościnnie). Premiera w Teatrze im. A. Mickiewicza w Częstochowie: 17 września 2017 r.





Rok 2017 dla poradnictwa psychologiczno-pedagogicznego na Śląsku Cieszyńskim jest rokiem jubileuszowym, bowiem 50 lat temu, 1 września 1967 r. powstała Powiatowa Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Cieszynie.

Nadążyć za tempem życia

50-lecie poradnictwa psychologiczno-pedagogicznego na Śląsku Cieszyńskim

JADWIGA MIĘKINA-PINDUR

Trzy lata wcześniej ówczesne Ministerstwo Oświaty zobowiązało podległych mu kuratorów do tworzenia tego rodzaju placówek na terenie całego kraju, przy czym w samym województwie katowickim powstało ich kilkanaście. Merytorycznie nowo powstałe jednostki podlegały Wojewódzkiej Poradni Wychowawczo-Zawodowej w Katowicach.

Rejestracja nowej poradni z siedzibą w Cieszynie miała miejsce 15 sierpnia 1967 r., natomiast oficjalne jej otwarcie nastąpiło wraz z rozpoczęciem roku szkolnego, tzn. 1 września (podobnie jak w tym roku, był to piątek). Pierwszą siedzibę stanowiło pięć niedużych pomieszczeń wydzielonych z zasobów szkoły specjalnej. Kadre pedagogiczną w początkowym okresie tworzyły zaledwie trzy osoby: dyrektor – Stanisław Jadwiński, były inspektor oświaty, z wykształcenia pedagog, sprawujący tę funkcję przez trzy lata, aż do przejścia na emeryturę, Renata Ronchetti-Hryn timer – psycholog (późniejsza wieloletnia dyrektorka tej poradni) oraz Barbara Studenska – pedagog. Po trzech latach dołączyła do nich Aurelia Piwko – psycholog. W początkowym okresie poradnia czynna była tylko przez dwie godziny dziennie pięć dni w tygodniu, mimo to jednak w tak krótkim czasie i przy tak małej liczbie pracowników zdołała

w pierwszym roku szkolnym udzielić pomocy aż 400 dzieciom.

Dyrektor S. Jadwiński w artykule pt. *Z pomocą rodzinie i dziecku, który ukazał się w „Głosie Ziemi Cieszyńskiej” w październiku 1967 r., nakreślił najważniejsze kierunki i cele działalności poradni* (używając dzisiejszych modnych i chętnie używanych w niektórych kręgach określeń: „mission, vision and values” czyli misję, wizję i wartości jako elementy strategicznej organizacji firmy). W wielu dzisiejszych poradniach ich misje i wizje, jakie zobowiązane są tworzyć, niewiele odbiegają od tamtych sprzed pięćdziesięciu lat. S. Jadwiński podkreśla, że poradnia jest instytucją oświatowo-wychowawczą typu specjalnego i – jak to określa – „usługowego”, której najważniejszym zadaniem jest zapobieganie trudnościom wychowawczym, a w razie ich wystąpienia – ich likwidowanie. W tym celu autor artykułu wskazuje na konieczność przeprowadzania badań specjalistycznych dzieci i młodzieży w celu określenia źródeł ich zaburzeń rozwojowych, wskazania przyczyn trudności i możliwości udzielenia pomocy. Zapowiada konsultacje dla rodziców i nauczycieli oraz współpracę z władzami szkolnymi oraz lekarzami. Ich celem ma być wszechstronne i kompleksowe poznanie dziecka. Z dzisiejsze-

go punktu widzenia trudności wychowawcze (a także emocjonalne i/lub zaburzenia, które te trudności wywołują) są przyczyną jeśli nie najczęstszą, to na pewno bardzo częstą, wizyt rodziców z dzieckiem w poradni. Specjalistyczne badania odbywają się oczywiście za pomocą innych, doskonalszych narzędzi, choć na przykład Międzynarodowa Wykonaniowa Skala Leitera po raz pierwszy wystandaryzowana była w Polsce w 1964 r. i jest używana do dziś, choć w nieco zmienionej formie (standaryzacja z 1993 r.). Powstało wiele instrumentów do badania nie tylko ilorazu inteligencji czy funkcji poznawczych, ale także innych różnorodnych zaburzeń, jak choćby tzw. baterie metod diagnozy niepowodzeń szkolnych dzieci w różnym wieku czy testy badające zaburzenia emocjonalne.

Drugą ważną dziedziną działalności ówczesnej poradni była pomoc udzielana młodemu człowiekowi dokonującemu wyboru kierunku kształcenia i zawodu. W tym celu przeprowadzano diagnozę predyspozycji i zainteresowań oraz uzdolnień pod kątem właściwego wyboru – jak dziś powiedzielibyśmy – ścieżki kariery zawodowej. Obecnie szczególnie ważne wydaje się badanie rynku pracy i informowanie młodych ludzi o perspektywach na przyszłość, zwłaszcza w zakresie potencjalnych możliwości znalezienia za kilka lat zatrudnienia, stąd kolejne edycje akcji „Ogólnopolski Tydzień Kariery” organizowane corocznie w październiku z jednej strony nastawione są na aktywizację młodzieży, a z drugiej – doradców zawodowych, pedagogów i szkoleniowców pracujących z uczniami.

Trzecim kierunkiem działania, wymienianym przed półwieczem przez S. Jadwińskiego, miała być pomoc w niwelowaniu trudności szkolnych. Zapowiada on prowadzenie w naturalnym środowisku obserwacji dzieci, u których podejrzewa się „niedorozwój umysłowy” (w dzisiejszej nomenklaturze niepełnosprawność intelektualną), wady wzroku, słuchu czy „kalectwa narządów ruchu” (czyli niepełnosprawność ruchową). Mimo nieużywanych już dziś i nieco archaicznie brzmiących określeń sama idea wydaje się nadal aktualna; do dziś obserwacja w naturalnym środowisku dziecka jest uznawana za bardzo dobrą metodę diagnostyczną. Oprócz niej doceniano już wówczas wszechstronny wywiad środowiskowy (w tym szkolny), badania specjalistyczne oraz rozmowy z rodzicami i nauczycielami, które pozwolić mają na weryfikację pierwszej diagnozy i określenie, czy dziecko jest upośledzone, czy też tylko zaniedbane. Diagnoza różnicująca dziś stosowana jest powszechnie w celu potwierdzenia bądź wykluczenia hipotezy dotyczącej przyczyn niepowodzeń szkolnych dzieci i młodzieży lub zaburzeń, które uniemożliwiają młode-





mu człowiekowi prawidłowy rozwój i funkcjonowanie w szkole.

Najczęściej stosowanymi formami pracy, wymienionymi przez S. Jadwińskiego, były pogadanki, odczyty, prelekcje i konsultacje skierowane przede wszystkim do rodziców i opiekunów oraz wychowawców i nauczycieli. Wykorzystanie prasy i „radiowęzła” miało stanowić drogę dotarcia do „ogółu społeczeństwa”. Mimo wpływu lat i definitywnych zmian w zakresie narzędzi społecznej komunikacji docieranie za pośrednictwem mediów do szerokiego grona odbiorców pozostaje jednym z zadań poradni. Zmieniły się zapewne kategorie przekazywanych informacji i ich wizerunek (przewaga zdjęć, znaków ikonicznych, krótkich komunikatów), jednak sam imperatyw, by na bieżąco informować, co ważnego dzieje się w poradni, zyskał jeszcze na znaczeniu. Facebook jest obecnie tak silnym medium, że wymusza nawet na instytucjach (w tym poradniach) niemal natychmiastową aktualizację informacji, a rozprzestrzeniane tą drogą wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy. Adresaci działań wymienieni w artykule pozostają do dziś tacy sami, choć na pewno ich grono znacząco się poszerzyło. Oprócz specjalistów pracujących w szkołach, takich jak: psycholodzy, pedagodzy szkolni, logopedzi, terapeuci, doradcy zawodowi itp., zaliczyć do nich należy również władze oświatowe i samorządowe, kuratorów sądowych, organizacje powołane, by nieść pomoc (np. ośrodki pomocy społecznej, wsparcia rodzin), domy samotnej matki, domy dziecka, ośrodki socjoterapeutyczne i wychowawcze, lekarzy różnych specjalności (zwłaszcza lekarzy orzeczników w zespołach orzekających działających w poradniach) i wielu innych.

Istotną bolączką współczesnych poradni jest brak spójności działań i przepisów prawa stanowionego w resortach edukacji i służby zdrowia. Zespoły orzekające działające w poradniach psychologiczno-pedagogicznych zobowiązane są między innymi do wydawania orzeczeń o potrzebie kształcenia specjalnego. Niestety, od lat obserwuje się brak spójności w zakresie przepisów obowiązujących w miejskich czy też powiatowych zespołach do spraw orzekania o niepełnosprawności i zespołach orzekających w poradniach, ponieważ każdy z nich funkcjonuje i orzeka w oparciu o inne przepisy. Sfrustrowani rodzice często słyszą, że ich przewlekle chore dziecko nie kwalifikuje się do otrzymania orzeczenia o potrzebie kształcenia specjalnego, mimo uzyskania orzeczenia o niepełnosprawności, co wynika z mocno okrojonej i ograniczonej kafeferii niepełnosprawności wymienionych w rozporządzeniu MEN, na które można uzyskać orzeczenie. Uporządkowanie i ujednolicenie orzeczeń

niactwa na szczeblu centralnym wydaje się dziś jedną z ważniejszych spraw do załatwienia, jeśli chce się mówić o rzetelnej edukacji niepełnosprawnych dzieci i młodzieży.

Kilkanaście lat po powstaniu cieszyńskiej placówki, 1 stycznia 1980 roku, rozpoczęła działalność druga na terenie Śląska Cieszyńskiego – Poradnia Wychowawczo-Zawodowa w Skoczowie. Jej dyrektorem została pedagog – Elżbieta Kłoda. Pierwsza siedziba mieściła się w Przedszkolu nr 1 w Skoczowie, przy ulicy Mickiewicza, kolejne – w skoczowskich szkołach podstawowych oraz Miejskim Centrum Kultury „Integrator”, a dziś poradnia zajmuje ostatnie piętro budynku Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących w Skoczowie przy ulicy Góreckiej. Podobnie jak w Cieszynie i tutaj zaledwie trzyosobowa grupa pracowników nowej instytucji z zapalem przystąpiła do pracy, niosąc pomoc dzieciom, młodzieży, rodzicom i nauczycielom z terenu trzech gmin: Skoczowa, Brennej oraz Chybia. Zadania, jakie miała do spełnienia nowa placówka, były podobne do tych, które od kilkunastu lat realizowano w Cieszynie. Stopniowo rozrastał się skład osobowy – aż do ośmiu osób w roku 2012; z czasem powstawały również punkty konsultacyjne, a nawet filia poradni w Górkach Wielkich.

Zespół Poradni Psychologiczno-Pedagogicznych w Cieszynie powołano do życia 1 września 2012 roku. Powstał on z połączenia poradni cieszyńskiej i skoczowskiej; tym samym stały się one jednym organizmem, posiadającym wspólnego dyrektora. Zespół objął zasięgiem oddziaływania bardzo rozległy teren 12 gmin powiatu (od Jaworzynki, Koniakowa i Istebnej, poprzez Strumięń, aż po Zebrzydowice), co obecnie przekłada się na ponad 200 placówek publicznych i niepublicznych (przedszkoli, terapeutycznych punktów przedszkolnych, szkół podstawowych, gimnazjów, szkół ponadgimnazjalnych, szkół specjalnych, ośrodków rewalidacyjno-wychowawczych itp.). Organ prowadzący – Powiat Cieszyński postanowił odejść od rejonizacji, która do tej pory obowiązywała, i dać rodzicom możliwość wyboru, do której poradni chcą zapisać dziecko. Oferta diagnostyczno-terapeutyczna i zakres działania Zespołu znacznie się poszerzyły, gdyż Śląski Kurator Oświaty nadał zespołowi orzekającemu działającemu w cieszyńskiej poradni uprawnienia do orzekania w sprawach dzieci niewidomych i słabowidzących, niesłyszących i słabosłyszących oraz dzieci z autyzmem, w tym z zespołem Aspergera, które do tej pory musiały udawać się po pomoc do specjalistycznej poradni w Bielsku-Białej. Psycholodzy i pedagodzy zatrudnieni w Zespole ukończyli kursy kwalifikacyjne i studia podyplomowe z zakresu oligofrenopedagogiki, tyflopedagogiki i surdopedagogiki, by móc udzielać skutecznej pomocy nowej grupie dzieci i młodzieży.

Poradnia cieszyńska przez 50 lat swego istnienia kilkakrotnie zmieniła lokalizację. Gdy powstaje ten artykuł, funkcjonuje jeszcze przy placu Wolności, choć za kilka tygodni zmieni siedzibę po raz kolejny. Trwa remont pierwszego piętra budynku internatu Zespołu Szkół im. W. Szybińskiego przy ul. Kraszewskiego w Cieszynie, gdzie od września tego roku przeniesie się Zespół Poradni. Warunki lokalowe ulegną zdecydowanej poprawie, zwłaszcza że w ciągu ostatnich lat z konieczności wydłużał się dzień pracy poradni cieszyńskiej – od 7.00 do 19.00, ze względu na pełną obsadę gabinetów, w których pracownicy wymieniali się, by zrealizować godziny pensum. Ponadto w nowej siedzibie dostępne będą dwie większe sale (a nie – jak dotąd – tylko jedna, pełniąca jednocześnie funkcję sali do ćwiczeń i konferencyjnej) przeznaczone na grupowe zajęcia terapeutyczne, na które zapotrzebowanie jest coraz większe.

Jakie zadania (nowe w stosunku do tych sprzed pół wieku) stoją dziś przed cieszyńskim Zespołem Poradni? Diagnoza różnych zaburzeń wcześniej nieznanych lub niediagnostozowanych, jak np. autyzm, zespół Aspergera czy ADHD (zespół nadpobudliwości psychoruchowej z deficytem uwagi), mutyzm, oraz zachowań dysfunkcyjnych (agresji, w tym autoagresji, zachowań suicydalnych, autodestrukcyjnych, w tym samookaleczeń itp.) czy depresji wymaga od psychologa czy pedagoga nie tylko specjalistycznej wiedzy, ale także wystandaryzowanych narzędzi badawczych i odpowiednich metod. Diagnoza różnicowa często wymaga od specjalisty wiedzy nie tylko psychologicznej, ale coraz częściej także medycznej (w tym psychiatrycznej) i doświadczenia, by trafnie sklasyfikować zaburzenie i podjąć właściwą terapię. Zapotrzebowanie na zajęcia terapeutyczne jest ogromne. Dotyczy to nie tylko psychoterapii indywidualnej, ale także zajęć grupowych dla dzieci z różnymi zaburzeniami, zwłaszcza w ostatnich latach dla dzieci lękowych, w tym z mutyzmem selektywnym oraz dzieci z ADHD. Dużym zainteresowaniem cieszą się również zajęcia treningu umiejętności społecznych (TUS) dla dzieci z zespołem Aspergera, tym bardziej że w ostatnich latach znaczna ich część trafia do szkół ogólnodostępnych (a nie jak kiedyś tylko do szkół specjalnych), stąd konieczność usprawniania ich komunikacji.

Ważne miejsce w pracy poradni zajmuje także działalność na rzecz nauczycieli i rodziców w ramach grup wsparcia oraz sieci współpracy i samokształcenia. Pedagodzy szkolni, psycholodzy, logopedzi, doradcy zawodowi, wychowawcy przedszkolni, nauczyciele pracujący z dziećmi z mutyzmem wybiórczym, a także rodzice dzieci autystycznych i dzieci lękowych tworzą zespoły, które spotykają się cyklicznie, by





opracowywać ważne dla każdej z grup tematy czy dzielić się doświadczeniami. Szczególnie cenna i potrzebna – jak wynika z rozmów z rodzicami – jest możliwość wymiany informacji dotyczących rozwiązywania różnorodnych problemów, na które napotykają oni w sytuacjach życiowych i szkolnych, zwłaszcza że często otoczenie nie wykazuje zrozumienia, a szkoła nie udziela wsparcia, jakiego by oczekiwali. W ramach pedagogizacji rodziców (zwłaszcza słabo radzących sobie w tej roli) cyklicznie prowadzone są zajęcia warsztatowe pod nazwą „Szkoła dla rodziców”. W ramach spotkań uczestnicy „przepracowują” nie tylko sytuacje trudne, jakie potencjalnie mogą stać się ich udziałem i poznają sposoby radzenia sobie z nimi, ale także pracują nad swoimi emocjami, co często bywa trudne i wymaga znacznego zaangażowania. Niektórzy rodzice kierowani są na te zajęcia przez sąd rodzinny czy psychologa, inni sami odczuwają potrzebę poszukiwania skutecznych metod komunikacji ze swymi dziećmi.

Od kilku lat obie poradnie aktywnie włączają się w ogólnopolskie, a nawet ogólnosiękatowe akcje: „Zapal się

na niebiesko dla autyzmu” czy „Dzień kolorowej skarpetki” (dotyczy dzieci i młodzieży z zespołem Downa). Autorskim projektem jest cykl działań pod nazwą „Gdy życie traci smak”, dotyczący depresji. W minionym roku szkolnym akcje informacyjne i warsztaty, jak sobie z nią radzić, objęły większość młodzieży z gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych powiatu cieszyńskiego. Zapotrzebowanie na tego rodzaju działania jest coraz większe, zwłaszcza że co roku zdarzają się – niestety – epizody suicydalne i próby samobójcze, a formą skutecznej profilaktyki jest w tym wypadku leczenie depresji. Szeroko zakrojoną akcją jest również coroczne kwietniowe „Zapalenie się na niebiesko”, czyli warsztaty, happeningi i podświetlanie budynków użyteczności publicznej, by pokazać, jak funkcjonują osoby z autyzmem i przełamywać bariery społeczne oraz demaskować mity związane z tym zaburzeniem.

Zapotrzebowanie na pomoc psychologiczno-pedagogiczną przez 50 lat z całą pewnością nie zmalało. Nadal oczekują jej uczniowie, ich rodzice i nauczyciele, jednak może w nieco innej formie niż dawniej. Tempo życia i zmian wokół oraz

chroniczny brak czasu rodziców dla swoich dzieci sprawia, że w klasyfikacjach chorób i zaburzeń pojawiają się coraz to nowe jednostki, z którymi przychodzi się mierzyć lekarzom różnych specjalności (i co stanowi swoiste *signum temporis* – zwłaszcza psychiatrom i neurologom), a równolegle z nimi – również psychologom i pedagogom. Czy można zatrzymać ów pęd lub próbować go jakoś okiełznać? Przed półwieczem – jak wynika z relacji jednej z ówczesnych pracownic poradni cieszyńskiej – podczas wyjazdu w teren do Istebnej, gdy bardzo się śpieszyła, żeby zdążyć przebadać wszystkie dzieci, usłyszała od miejscowego górala następującą receptę: *Biercie se to Pani poleku...* I może to jest sposób na zwolnienie tempa także dziś. ■

W artykule wykorzystano publikację: S. Jadwiński, *Z pomocą rodzinie i dziecku*, w: „Głos Ziemi Cieszyńskiej”, nr 44 (595) z 29 X 1967 r., s. 4. J. Sliwka, D. Sikora, *Poradnia Psychologiczno-Pedagogiczna w Skoczowie*, w: „Więści Skoczowskie. Informator Samorządowy” nr 10 (105)/2011. Październik 2011, s. 16.



OBLICZA SZTUKI

NA OBSZARZE OBECNEGO WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO
W LATACH 1945–1975

Oblicza sztuki na obszarze obecnego województwa śląskiego w latach 1945–1975. Materiały z sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddziału Górnośląskiego w Katowicach 2-3 czerwca 2016 roku. Red. T. Dudek Bujarek, Katowice 2017.

O artystycznym dziedzictwie Górnego Śląska i ziem przyległych

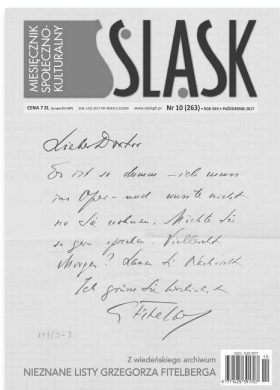
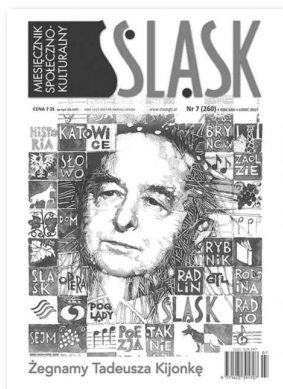
sztuki doby secesji i dwudziestolecia międzywojennego, przyszedł czas na zagadnienia z zakresu pierwszego trzdziestolecia po II wojnie światowej. Najnowsza publikacja zawiera 25 artykułów, które w przekrojowy sposób analizują życie artystyczne obszaru obecnego województwa śląskiego w tym czasie. Są to teksty omawiające zagadnienia architektoniczne i urbanistyczne, ukazują twórczość rzeźbiarską i pomnikową, nie brak także analizy malarstwa, witraży, scenografii, a także projektowania przemysłowego, rzemiosła artystycznego, filmu animowanego i fotografii. W dużej mierze są to zagadnienia związane ze sztuką świecką, ale kilka tekstów poświęconych jest również istotnym zmianom w sferze plastyki sakralnej. Oprócz Górnego Śląska obecne są tu i inne obszary województwa: Śląsk Cieszyński, Często-

chowa, Ziemia Raciborska i Żywiecka. Autorami tekstów są badacze z różnych ośrodków akademickich (m.in. Politechniki Śląskiej, uniwersytetów: Jagiellońskiego, Śląskiego, Wrocławskiego), placówek badawczych i popularyzatorskich (Instytutu Sztuki PAN w Warszawie, Narodowego Instytutu Dziedzictwa, Regionalnego Instytutu Kultury w Katowicach), a także muzealnicy z takich miast jak: Bielsko-Biała, Katowice, Opole, Sosnowiec, Tychy, Zabrze, Żywiec. Całość jest bogato ilustrowana współczesnymi i archiwalnymi fotografiami. Materiał opatrzony jest redakcyjnym wstępem, a jego recenzji podjęły się dr hab. Małgorzata Smorąg-Różycka z Uniwersytetu Jagiellońskiego i dr hab. Aleksandra Giełdoń-Paszek z Uniwersytetu Śląskiego.

Oprac. KINGA KAWCZAK

Członkowie Stowarzyszenia Historyków Sztuki Oddziału Górnośląskiego od lat prowadzą badania nad artystycznym dziedzictwem Górnego Śląska i ziem przyległych. Cyklicznie organizują tematyczne konferencje i publikują materiały na nich zebrane. Po omówieniu śląskich witraży, oblicz





Drodzy Czytelnicy!

Zapraszamy do zaprenumerowania miesięcznika „Śląsk” na 2018 rok!
 Wystarczy wyciąć i wypełnić zamieszczony obok blankiet, a następnie dokonać przelewu na wskazane konto.

*
 Prenumerata redakcyjna gwarantuje systematyczną dostawę pisma do osoby zamawiającej!

*
 Cena prenumeraty, podobnie jak cena pojedynczego egzemplarza nie ulega zmianie!

*
 Prenumerata roczna – 84 złote
 Prenumerata półroczna – 42 złote
 Prenumerata kwartalna – 21 złotych

*
 Cena jednego egzemplarza wynosi 7 złotych.

*
 Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*
 „Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku.

*
 Zachęcamy także do odwiedzenia strony internetowej www.slaskgttl.com

*
POLEĆ „ŚLĄSK” SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM – WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE ŚLĄSK!

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	G O R N O Ś L A S K I E T O W A R Z Y S I T W O L I T E R A C K I E
nazwa odbiorcy cd.	U L J U L I U S Z A L I G O N I A 7, 4 0 - 0 3 6 K A T O W I C E
I.k.	0 8 2 0 3 0 0 0 4 5 1 1 1 0 0 0 0 0 4 0 7 9 4 9 0
nr rachunku odbiorcy	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	W P P L N
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	P R E N U M E R A T A M I E S I E C Z N I K A
tytułem cd.	" Ś L A S K "

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Opłata:

pieczęć, data i podpisy(zy) zleceniodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	G O R N O Ś L A S K I E T O W A R Z Y S I T W O L I T E R A C K I E
nazwa odbiorcy cd.	U L J U L I U S Z A L I G O N I A 7, 4 0 - 0 3 6 K A T O W I C E
I.k.	0 8 2 0 3 0 0 0 4 5 1 1 1 0 0 0 0 0 4 0 7 9 4 9 0
nr rachunku odbiorcy	
nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)	W P P L N
nazwa zleceniodawcy	
nazwa zleceniodawcy cd.	
tytułem	P R E N U M E R A T A M I E S I E C Z N I K A
tytułem cd.	" Ś L A S K "

Polecenie przelewu / wpłata gotówkowa

Opłata:

pieczęć, data i podpisy(zy) zleceniodawcy

K A S I S

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO - KULTURALNY

Wejść do gry. Kultura czytania i twórczego działania w bibliotece

Miejska Biblioteka Publiczna w Katowicach zorganizowała w dniach 20-21 października br. dwudniową konferencję szkoleniową dla bibliotekarzy – *Wejść do gry. Kultura czytania i twórczego działania w bibliotece*.

Zainteresowani wydarzeniem bibliotekarze stawili się licznie w Filii Dąb Miejskiego Domu Kultury, gdzie odbywał się zjazd. Głównym tematem wykładów oraz warsztatów pierwszego dnia konferencji było zapoznanie ze współczesnymi trendami czytelniczymi wśród młodych czytelników. Naszymi gośćmi byli znawcy literatury dla dzieci i młodzieży, pasjonaci i autorytety w swojej dziedzinie. Zarówno wykłady jak i warsztaty cieszyły się ogromnym zainteresowaniem wśród uczestników. Wśród prowadzących byli m.in. Anna Czernow – Prezes Polskiej Sekcji IBBY, Iwona Hąberty z Agencji Promocyjnej OKO, Małgorzata Swędrowska – wykładowca Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, animatorka warsztatów literackich dla dzieci, czy Michał Jankowski i Jędrzej Chojnacki z Krakowskiego Stowarzyszenia Komiksowego.

Uczestnicy mieli okazję dowiedzieć się z jakimi tytułami warto zapoznać młodych czytelników, nauczyli się sposobów ożywiania tekstu czytanego małym dzieciom czy wzięli udział w warsztatach komiksowych.



Drugi dzień konferencji dedykowany był grom planszowym, które znacznie uatrakcyjnają oferty bibliotek i stwarzają szansę na zdobycie nowych użytkowników w każdym wieku. Wśród prowadzących gościliśmy m.in. dr Natalię Pamulę-Cieślak – adiunkta z Instytutu Informacji Naukowej i Bibliologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, Adama Łatę z BeCeKowego Pokoju Gier, Bartka Zbączyniaka z Planszopernika, Agnieszkę Bilską z GamifikacjaEdu czy Sławomira Wiechowskiego z Pionkolandii. Prowadzący są znawcami gier planszowych, mają bogate doświadczenie w pracy z dziećmi i młodzieżą. Wiedza, którą przekazali uczestnikom konferencji, pomoże bibliotekarzom w wyborze ciekawych i wartościowych gier, które warto włączyć do zajęć. W trakcie warsztatów oraz podczas zGranego Wieczoru bibliotekarze zapoznali się z ofertą najlepszych wydawnictw planszówkowych, poznali bestsellerowe tytuły, mogli zagrać z profesjonalistami. Wielu z uczestników konferencji przekonało się, iż gry planszowe są wartościowym elementem zabaw edukacyjnych z dziećmi – rozwijają wyobraźnię, ucą zdrowej rywalizacji, przewidywania, podejmowania decyzji i brania za nie odpowiedzialności.

Zarówno uczestnicy i goście Miejskiej Biblioteki Publicznej w Katowicach wypowiedzieli się pozytywnie o konferencji – chwalili sprawną i profesjonalną organizację przedsięwzięcia oraz docenili wysoki poziom merytoryczny wykładów i warsztatów.

Konferencja dofinansowana była ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, objęta została Honorowym Patronatem Prezydenta Miasta Katowice – Marcina Krupy, patronatami merytorycznymi udzielonymi przez Bibliotekę Śląską, Stowarzyszenie Bibliotekarzy Polskich oraz Polską Sekcję IBBY, a także patronatami medialnymi TVP3 Katowice, Pulowerek. pl, Silesia on Board, Orange i Lustró Biblioteki.

ANTONINA SZYMITOWSKA
Dział Metodyki, Analiz i Promocji



W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Piekarach Śląskich nowe technologie są wykorzystywane w wielu sferach działalności. Nowoczesne rozwiązania ułatwiają realizację podstawowych zadań księżnicy, takich jak: gromadzenie, opracowanie i udostępnianie zbiorów. Zintegrowany komputerowy system biblioteczny Mateusz – używany w naszej placówce – pozwala na sprawdzenie informacji o pozycjach, które użytkownicy mogą zamawiać i rezerwować przez Internet. Oferujemy zarówno książki oraz czasopiśma, jak i audiobooki, w tym książkę mówioną. Czytelnicy mają możliwość uzyskania darmowego dostępu do bazy ponad 2000 e-booków znajdujących się na platformie IBUK Libra.

W piekarskiej bibliotece i jej filiach można korzystać – oczywiście nieodpłatnie – z 46 komputerów z łączem internetowym. Ponadto w Bibliotece Głównej działa ogólnodostępna sieć Wi-Fi. Od lat promujemy nasze działania w Internecie. Prowadzimy stronę internetową, na której informujemy czytelników o wydarzeniach w bibliotece, jesteśmy aktywni na portalach społecznościowych (mamy swoje profile na Facebooku oraz Instagramie).

Wpisujemy się w nieuchronną modę na nowoczesność, realizując przedsięwzięcia edukacyjne i kulturalne z wykorzystaniem nowych możliwości technologicznych – przeznaczone dla różnorodnych grup odbiorców.

1. Mistrzowie Kodowania – podczas zajęć (organizowanych w ramach ogólnopolskiego programu edukacyjnego firmy Samsung) uczestnicy tworzą proste programy, animacje i gry w języku Scratch.

2. Europejski Tydzień Kodowania – włączając się w jego obchody, zorganizowaliśmy zajęcia z programowania dla dzieci, młodzieży oraz seniorów, pokaz druku 3D oraz prezentację robotów.

3. Warsztaty robotyki – cotygodniowe zajęcia dla dzieci od lat 10 z budowania i programowania robotów z klocków Lego Mindstorms, prowadzone przez trenera z Koła Naukowego Pasjonatów Informatyki.

4. Kursy komputerowe dla seniorów w ramach programu Polska Cyfrowa Równych Szans – od 2013 roku w bibliotece działają Latarniczki Polski

B
Biblioteka Śląska

Z ŻYCIA
BIBLIOTEK



Fot. z arch. MBP w Piekarach Śląskich

Miejska Biblioteka Publiczna
w Piekarach Śląskich

10 x nowe technologie

Cyfrowej, które pomagają osobom 50+ w obsłudze komputera i poruszaniu się w Internecie. Organizujemy też zajęcia doskonalące zdobyte już umiejętności i umożliwiające sukcesywne poznawanie nowych obszarów wirtualnego świata. Kilka spotkań poświęciliśmy przedstawieniu możliwości urządzeń mobilnych – smartfonów i tabletów, których seniorzy używają coraz częściej. Obecnie trwa już X edycja szkolenia.

5. Tablety w Twojej bibliotece – zostaliśmy laureatami projektu Fundacji Rozwoju Społeczeństwa Informatycznego i otrzymaliśmy sześć nowoczesnych tabletów Apple iPad Air, które wykorzystujemy podczas warsztatów, takich jak: „Pajacyk i Bajka” – zajęcia edukacyjno-literackie dla dzieci w wieku od 4 do 6 lat; „Biblioteka pod Chmurką” – plenerowe spotkania z najmłodszymi dziećmi w okresie wakacyjnym; Odkryj cyfrowy świat – warsztaty nowych technologii dla starszych dzieci i młodzieży (w ramach tzw. lekcji bibliotecznych); zajęcia językowe dla dzieci, prowadzone przy użyciu aplikacji do nauki języków przez uczestni-

ków Wolontariatu Europejskiego (EVS).

6. 3DPen – warsztaty dla dzieci i młodzieży z wykorzystaniem długopisów 3D prowadzone przez bibliotekarzy. Długopisy 3D, których obsługa jest bardzo prosta, umożliwiają tworzenie przestrzennych obiektów.

7. Warsztaty drukowania 3D – uczestnicy zajęć mogą wybrać gotowy projekt do wydruku z zasobów internetowych i obserwować proces drukowania. Dla bardziej zaawansowanych użytkowników zorganizowaliśmy warsztaty modelowania 3D w programie Blender.

8. Konkurs Książka mi pasuje, którego celem było zainteresowanie czytelników profilem biblioteki na Instagramie. Zadanie konkursowe polegało na zrobieniu oryginalnej fotografii z książką i opublikowaniu jej w serwisie. Najlepsze zdjęcie zostało nagrodzone tabletem.

9. Zajęcia z wykorzystaniem konsoli Xbox One – bogaty zestaw gier przyciąga do biblioteki młodych użytkowników, którzy przy okazji sięgają też po książki. Dysponujemy dwoma konsolami – w Bibliotece Centralnej i Filii nr 9.

10. Gra miejska „Dorwij Małpę” w ramach Dni In-

formatyki. Cztery drużyny reprezentujące piekarskie gimnazja miały do wykonania – czasem dosyć trudne – zadania, jak np. częściowe złożenie komputera. Uczestnicy poruszali się po mieście, wykorzystując GPS oraz aplikacje pobierane na smartfony, a wspierani byli przez internautów-kibiców. Wydarzenie, objęte honorowym patronatem prezydenta miasta Piekary Śląskie, zostało zorganizowane we współpracy z firmą Piekary.net, przy merytorycznym wsparciu jednej ze szkół średnich.

Zajęcia, podczas których omawiamy zagadnienia z dziedziny informatyki czy mediów cyfrowych i wykorzystujemy nowoczesne urządzenia (tablety, drukarki 3D, okulary VR, smartfony), są niezwykle atrakcyjne dla naszych użytkowników. Wprowadzenie do bibliotecznej oferty propozycji uwzględniających innowacyjne rozwiązania technologiczne niewątpliwie przyczynia się do upowszechnienia wizerunku biblioteki jako nowoczesnej instytucji kultury

MAŁGORZATA KOECK

85





ŚLĄSKI

MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

ODNOWIENIE doktoratu prof. Jana Malickiego, człowieka renesansu: historyka literatury, bibliotekarza, dziekana Wydziału Filologicznego w latach 1987-1990, miało miejsce podczas inauguracji roku akademickiego 2017/2018 w Centrum Naukowo-Dydaktycznym Instytutów Neofilologicznych w Sosnowcu. Profesor Jan Malicki doktoryzował się w 1976 roku na podstawie dysertacji *Twórczość Wacława Potockiego wobec polskiej tradycji literackiej*, pisanej pod opieką naukową prof. Jana Zaremby. Dziś jest jednym z najwybitniejszych znawców literatury staropolskiej oraz śląskiej. Dotychczas wypromował 25 doktorów z Polski i Czech, z których

8 jest profesorami w Warszawie, Krakowie, Bielsku-Białej, Częstochowie i Katowicach. **NAWET** jedna piąta drzewostanu w Parku Habsburgów ucierpiała z powodu wichury, zwanej Orkanem Ksawerym. Jego odtworzenie zajmie dekadę, bo wśród powalonych drzew są i takie, które miały nawet 200 lat. Park znalazł się w samym centrum wichury. Ucierpiała drzewa, sprzęt parkowy, a na jeden z bloków – na szczęście bez konsekwencji – osunęło się drzewo. Dobrze, że park jest zamykany na noc – aż strach pomyśleć, co mogłoby się stać, gdyby ktoś tamtędy spacerował...

DWORZEC w Katowicach stał się miejscem promocji niezwykłych ludzi – otwarta tu wystawa zdjęć „Lokalnych Bohaterów” opowiadała o działalności śląskich społeczników, aktywistów, wolontariuszy – słowem ludzi dobrego serca i wrażliwych. Wystawa czynna była do 22 października, a potem trafiła do Rybnika, Bielska-Białej i Częstochowy. Jak wyjaśnia Marcin Gawel, kierownik referatu prasowego w Urzędzie Marszałkowskim, wybór bohaterów nie był łatwy, napłynęło 100 zgłoszeń. Ostatecznie wybrano 30. Czyli – w woj. śląskim nie brakuje dobrych ludzi...

TONĘ waży nowy mieszkaniec Chorzowa. Ma zaledwie 4 latka. I jest rzadkim okazem. A na dodatek – cudzoziemcem, a raczej cudzoziemką. To Nambi, która urodziła się w Szwecji i jest samcią nosorożca białego. Jest wielka szansa, że doczekamy się w śląskim zoo potomstwa nosorożców. A sprawa jest bardzo ważna, bo to gatunek zagrożony wymarciem. Miesięcznik „Śląsk” deklaruje w związku z tym, że jeśli doczeka się narodzin, chętnie zostanie potkiem, czyli chrzestnym...

ZNACZEK z wizerunkiem Matki Boskiej Piekarskiej odślonięto uroczystie w Muzeum Sanktuaryjnym w Piekarach Śląskich. Za jego projekt odpowiada pracownik Poczty Polskiej Adam Kultys, na co dzień

mieszkaniec Radzionkowa. Na znaczku przedstawiono koronację Matki Boskiej Piekarskiej. W tle znajdują się części szaty liturgicznej z 1925 roku i chyba jeden z najważniejszych symboli Polski – złoty kielich podarowany przez Jana III Sobieskiego. Rarytas.

SZANSA na budowę w woj. śląskim oceanarium z prawdziwego zdarzenia istnieje od wiosny 2017, kiedy to wrocławska firma PFI Global, ta sama, która wybudowała kilka lat temu słynne wrocławskie Afrykarium, ogłosiła, że chętnie postawi taki sam obiekt u nas. Gotowa była też wyłożyć na budowę pół miliona złotych. Dla porównania: koszt budowy wrocławskiego Afrykarium wyniósł ponad 245 mln zł. Na apel odpowiedziało kilka miast. Wśród nich Chorzów, Zabrze i Ruda Śląska. Gdzie i czy będzie oceanarium pokaże przyszłość i determinacja naszych samorządów (w końcu wybory już za rok).

SYSTEM kształcenia dualnego jako sposób na znalezienie dobrej pracy. Transport przyszłości i rozwój elektromobilności. Cyfryzacja jako wyzwanie dla europejskiej gospodarki. To tylko kilka z zagadnień, nad którymi obradowali uczestnicy Europejskiego Kongresu Małych i Średnich Przedsiębiorstw. W tym roku do Katowic przyjechało ponad 6 tys. osób, by rozmawiać o sukcesach, bolączkach i wyzwaniach dla małych i średnich przedsiębiorstw.

SYLWESTROWA Moc Przebojów telewizji Polsat po raz kolejny odbędzie się w Katowicach. Zeszłoroczna edycja zakończyła się wielkim sukcesem, dlatego stacja telewizyjna w tym roku ponownie nawiązała współpracę z władzami Katowic, dla których wydarzenie to świetna promocja. Przed Spodkiem znowu zagrają gwiazdy polskiej sceny muzycznej i nie tylko.

GDYBY w Katowicach skażeniu uległa sieć wodociągowa ponad połowa mieszkańców została by bez dostaw wody pitnej – alarmuje Najwyższa Izba Kontroli. Kontrolerzy sprawdzili, czy duże aglomeracje są przygotowane na sytuacje kryzysowe związane z działaniem systemu wodociągowego. Przyjrzeni się spółkom wodociągowym, ich sprzętowi oraz dokumentacji planistycznej czterech samorządów – Wrocławia, Łodzi, Poznania i Katowic. Dla wszystkich miast kontrola wypadła fatalnie. W ocenie Krzysztofa Kwiatkowskiego, prezesa NIK, nie jesteśmy przygotowani na sytuacje nadzwyczajne. Zabezpieczenie dostaw wody w kontrolowanych miastach, w przypadku kryzysu, np. skażenia sieci wodociągowych, jest za małe. Brakuje sprzętu do transportowania wody i jej dystrybucji. Nie brzmi to dobrze panie prezydencie...

BYŁ wielkim budowniczym Śląska i wybitnym intelektualistą. Jerzy Gottfried zmarł 24 października w Katowicach. To wielka strata dla śląskiej architektury. W grudniu skończyłby 95 lat. Urodził się we Lwowie (22 grudnia 1922 roku), ale dzieciństwo, młodość i większość dorosłego życia spędził na Śląsku. Tworzył znakomity tercet architektów z Henrykiem Buszką i Aleksandrem Frantą. Zespół nazywany „Zielonymi Końmi” zaprojektował razem m.in. gmachy Okręgowej Rady Związków Zawodowych, Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych (w Katowicach), a także Teatr Ziemi

Rybnickiej i Dom Kultury huty Zgoda w Świętochłowicach. Samodzielnymi dziełami Gottfrieda są np. Ośrodek Postępu Technicznego i hala Kapeluszw w Chorzowie, budynek DOKP w Katowicach (wyburzony w zeszłym roku), Hala Widowiskowo-Sportowa w Sosnowcu czy hala „Okrągłak” w Opolu.

MONIKA Jaskólska, inicjatorka akcji „Bielsko-Biała dla Toma Hanksa”, spotkała się w USA z wybitnym amerykańskim aktorem, niebawem właścicielem białego fiata 126p. Emocje były ogromne, pani Monika bardzo się wzruszyła. Tom Hanks obiecał przyjazd do Bielska-Białej. Szykuje się więc piękne zakończenie całej akcji. **MIESIĄC** temu wydawało się, że siedziba metropolii będzie w starym gmachu Muzeum Śląskiego (al. Korfanteo 3 w Katowicach). Województwo miało przekazać budynek muzeum Katowicom, a w zamian za to uzyskać wsparcie w procesie rewitalizacji zabudowań kopalni Katowice w Strefie Kultury. Ale prezydent Katowic Marcin Krupa uważa, że kwota 16 mln zł, o której mówił wicemarszałek Henryk Mercik (na tyle wyceniono gmach przy Korfanteo 3), jest wygórowana. Tym bardziej że miasto dołożyło już 8 mln zł do remontu łazni i stolarni byłej kop. Katowice. Szef metropolii Kazimierz Karolczak nadal liczy na kompromis na linii Katowice-województwo, ale zaczyna rozglądać się za alternatywnymi siedzibami dla związku. Chorzów, Siemianowice i Ruda Śląska już oferują metropolii alternatywne lokalizacje jej siedziby. W Chorzowie chodzi o stary ratusz gminy Hajduki Wielkie.

ŻADNE miasto w Polsce nie ma tylu autobusów-hybrid, co Sosnowiec – nawet Katowice. Sosnowiecki PKM posiada łącznie 78 takich autobusów za 127 milionów złotych. Do stolicy Zagłębia dotarł pod koniec października ostatni z trzydziestu pięciu takich pojazdów marki Volvo. To zamknięcie realizacji dostaw 78 autobusów realizowanych od marca br. Zaś do końca marca przyszłego roku pojawią się jeszcze trzy autobusy elektryczne. Z 66 linii, które obsługuje sosnowiecki PKM, nowe autobusy obsługują 26 linii. W Sosnowcu, kochani Ślązacy, już dawno przestały kopicie wysłużone węgierskie ikarusy...

NADMORSKA plaża powstanie koło Jasnej Góry. Końcem października w częstochowskim Urzędzie Miasta podpisano umowę na rewitalizację parku Lisiniec. Wykonawca, tamtejsza Przemysłówka, może już zaczynać prace. Do 1 czerwca przyszłego roku ma być gotowa plaża. Trzykrotnie większa od obecnej. Nie byle jaka, bo usypana z morskiego, bałtyckiego piasku. Częstochowa zamówiła już w porcie morskim w Uście 500 wywrotek piasku, który zostanie wydobyty z dna morza, przy pogłębianiu wejścia do portu. A do 15 października przyszłego roku będzie gotowy pawilon – z kawiarnią i pomostem. Ponadto powstaną nowe alejki z oświetleniem, ścieżki rowerowe. Wprawdzie zostaną wycięte 62 drzewa, ale zostaną zasadzone 102 nowe i to kilkuletnie. Tak więc po modlitwie – zasłużone plażowanie, pątniku i pątniczko (raczej)...

KRONIKARZ





GRAND PRIX – Sebastian Krok, Amor

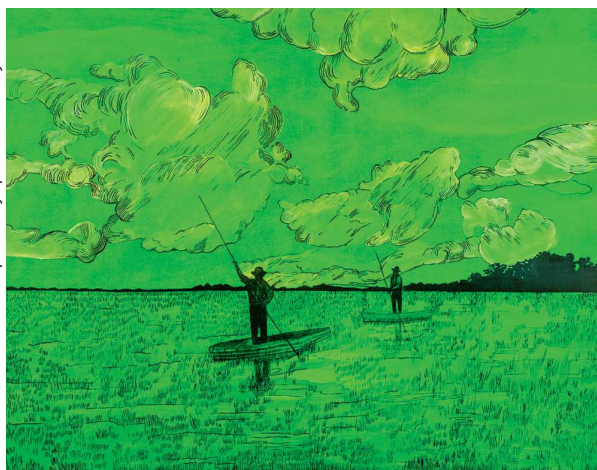


Reprodukcje prac: Jacek Rajkowski

II MIEJSCE – Karolina Jabłońska, Jedząca błoto



Reprodukcje prac: Jacek Rojtkowski



III MIEJSCE – Aleksandra Bujnowska, Bez tytułu



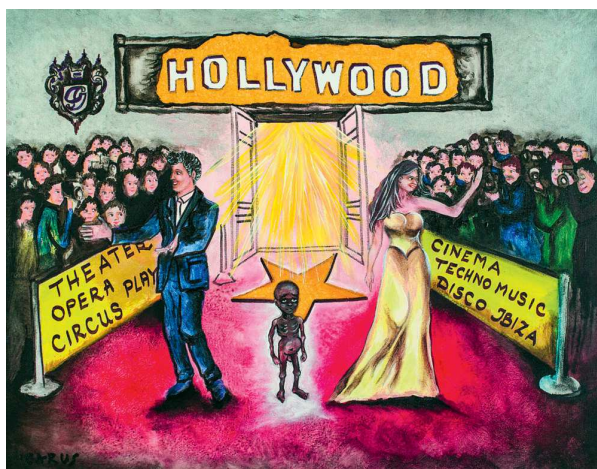
WYRÓŻNIENIE REGULAMINOWE – Katarzyna Kukuła, Przyjemność



WYRÓŻNIENIE REGULAMINOWE
– Joanna Kaucz, z cyklu „Zabawy bronią”



WYRÓŻNIENIE REGULAMINOWE
– Marek Rachwałik, Logo i maskotki wiejskiej nu kapeli metalowej z młodą dziewczyną na wokalu



WYRÓŻNIENIE REGULAMINOWE
– Jolanta Stachyra, Afryka a świat. Dobro? Byt? 2

43. Biennale Malarstwa

Bielska Jesień 2017



Szopienice centrum



Annency

Henryk
Bzdok
„Śląsk nieskończony”
grafika



Pod Skalą



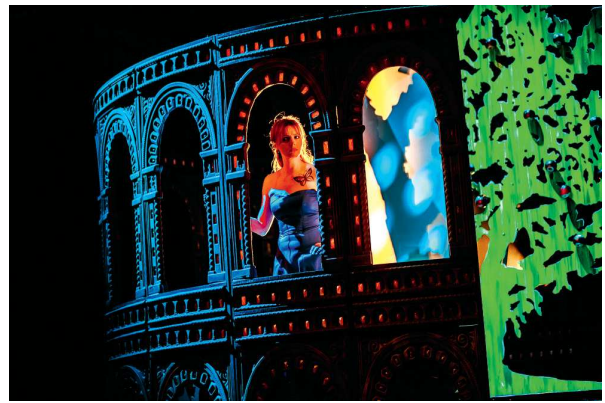
Bytom



MK



Bieszczady



„ROMEO i JULIA”

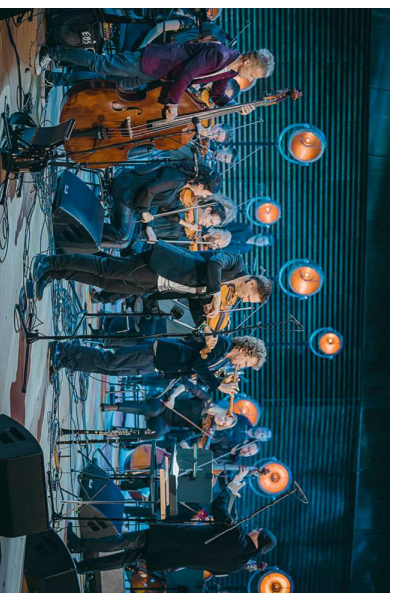
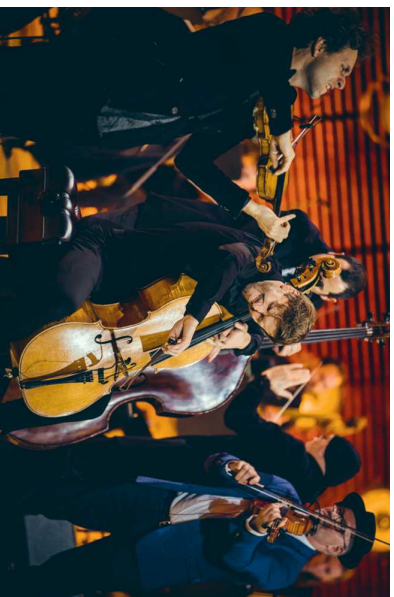
premiera w Operze Śląskiej w Bytomiu



17) WOMEX

THE WORLD MUSIC EXPO

Katowice, Poland
25-29 October
2017



Znaki i twarze miasta

 **KATOWICE**
dla odmienny

Fot. Janusz Ireneusz Wójcik



Wilno: XVII Międzynarodowy Festiwal Poetycki „Maj nad Wilią” – kościół Franciszkanów, maj 2010: od lewej – redaktor Romuald Mieczkowski, Edmund Borzowski, Andrzej Wajs

Fot. archiwum Konfraterni Poetów

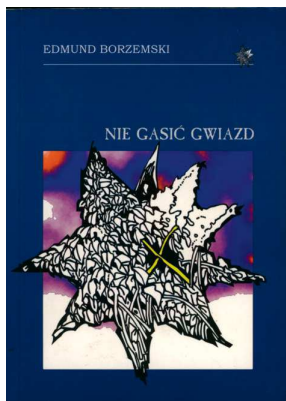


Kraków: Misterium Konfraterni Poetów „Chleb Nadziei” – kościół Franciszkanów, kwiecień 2005, E. Borzowski z bochnem chleba obok Wojciech Kowalczyk, artysta plastyk, ilustrator tomików poetyckich Konfraterni

Fot. Jerzy Stemplewski



Brzeg: XXV Międzynarodowy Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu; od lewej E. Borzowski z przyjaciółmi – Ewą Maj-Szczygielską, Piotrem Żarczyńskim



Okładki tomików poetyckich



EDMUND BORZEMSKI – IKAR Z KORFANTOWA



Fot. Jerzy Stemplewski

Korfantów: E. Borzowski na spotkaniu autorskim w Miejsko-Gminnej Bibliotece, lipiec 2014

Edmund Borzowski – opolski poeta, historyk i animator kultury obchodzi jubileusz 30-lecia twórczości literackiej. Pochodzi z rodziny o korzeniach kresowych. Urodził się w Opolu 15.06.1959 r. i tu ukończył Wyższą Szkołę Pedagogiczną. Historyk, poeta, w swoim dorobku pisarskim posiada kilkadziesiąt artykułów z dziedziny krytyki literackiej oraz historii. Mieszka w Korfantowie. Debiutował jako poeta w 1987 roku. Jego wiersze ukazywały się w licznych czasopismach i wydawnictwach zbiorowych, m.in. w „Piśmie Literacko-Artystycznym”, „Zdaniu”, „Kalendarzu Opolskim”, „Kwartalniku Nauczyciela Opolskiego”, „Opolu”, „Roczniku „Muzea Walki”. Uczestniczy aktywnie w życiu literackim w kraju i zagranicą. Od wielu lat popularyzuje poezję wśród młodzieży szkolnej. Jest inicjatorem konkursu recytatorskiego poezji jenieckiej, który organizowany jest przez Centralne Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach oraz cyklicznych spotkań z poezją patriotyczną. W uznaniu osiągnięć i zasług w dziedzinie kultury Edmund Borzowski został uhonorowany tytułem „Zasłużony dla Gminy Korfantów”, „Honorowy Obywatel Gminy Łambinowice” oraz odznaką honorową „Zasłużony dla Województwa Opolskiego”. Jest członkiem Związku Literatów Polskich, Konfraterni Poetów w Krakowie, Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Opolu oraz Niemodlińskiego Towarzystwa Regionalnego. Wydał zbiory poezji: „Podzielmy się słowem” (Opole 1992), „Obok milczenia” (Opole 1995), „Nieobecność to kamień” (Opole 1996), „Wyścig o” (Opole 1998), „Gwiazda Syzyfa” (Opole 2002), „Nie gasić gwiazd” (Kraków 2005), „Wiatrem po szkłe” (Kraków 2009), „Przetrzeć” (Kraków 2011), „Człowiek za burzą” (Kraków 2014), „Coraz więcej ciszy” (Kraków 2015).

(jiw)